



PAŃSTWO
BEZ FLOTY.
DLACZEGO
TO JEST GROŹNE

NA PRAWO SKRĘT!
PRZYBYWA POLEK
I POLAKÓW

O KONSERWATYWNYCH
POGLĄDACH

OSCARY 2025.
ZASKOCZENIA I BANAŁY

SIECI

JAN ROKITA OSTRO
O BIERNEJ POLSCE
W CZASIE
SZALEJĄCEGO
KRYZYSU

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

11 (641) 2025
10-16 marca 2025

CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)



UJAWNIAMY

KAMPANIA KAROLA NAWROCKIEGO

TAK CHCE TO WYGRAĆ

KLUCZ DO SUKCESU MA TKWIĆ W PUNKTOWANIU
TRZASKOWSKIEGO I POZYSKANIU WYBORCÓW MENTZENA
PRZED II TURĄ. NA TEJ DRODZE JEST JEDNAK KILKA PUŁAPEK

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



Numer w sprzedaży do 17 III 2025 r.

polsat box 

Telewizja na start 12 miesięcy bez opłat



AUDIO BY
BANG & OLUFSEN

 **Dolby**
ATMOS

Od 13. mies. 30 zł/mies., od 25. mies. 40 zł/mies. Pakiet S – 57 kanałów. Umowa na min. 24 mies.

Oferta telewizji dla nowych Klientów na min. 24 mies. Zwolnienie z opłat nie obejmuje pakietów oraz opcji dodatkowych ani opłaty jednorazowej 1 zł za dekodery. Łączna opłata za Pakiet S i udostępnienie dekodera polsat soundbox 4K od 13. mies. 45 zł/mies., a od 25. mies. 55 zł/mies. W liczbie kanałów uwzględniono kanały niegwarantowane. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Renomowani akustycy z firmy Bang & Olufsen starannie zaprojektowali i udoskonaili dźwięk dekodera polsat soundbox 4K, aby uzyskać czyste i mocne brzmienie. Dolby, Dolby Audio, Dolby Atmos i symbol podwójnego D są znakami towarowymi Dolby Laboratories Licensing Corporation.

Możemy odwrócić zły los

Z perspektywy kilkunastu miesięcy wybory z jesieni 2023 r. były prawdziwą tragedią, wręcz katastrofą narodową. Przyniosły nam zapaść w niemal wszystkich ważnych dziedzinach życia. Przyniosły regres rozwojowy, zapaść demokracji, śmierć państwa prawa.

Zdegradowały Polskę do roli biernego przedmiotu rozgrywek międzynarodowych, i to w czasie, gdy decydują się losy nowego porządku światowego. Obecna władza tego zresztą nie ukrywa, zrezygnowała z choćby symbolicznego wykorzystania polskiej prezydencji w Unii Europejskiej, zadowolając się rozdawaniem pączków w tłusty czwartek. Nie zorganizowała szczytu, niczego nie zaproponowała, niczego nie wniosła. Cieszy się, że nikt niczego od niej nie chce. Widocznie na tym etapie nawet symboliczne akcentowanie podmiotowości drażni mocodawców, którzy w czasie realnych kryzysów nie po raz pierwszy rezygnują z jakichkolwiek pozorów partnerstwa.

W sumie obecna Polska wygląda tak, jak byśmy przegrali wojnę o niepodległość. Bo rzeczywiście przegraliśmy. Ci, którzy przed październikiem 2023 r. przestrzegali, że stawka nie może być wyższa, nie przesadzali.

Na razie mamy pauzę rozwojową. Ale trzeba zrobić wszystko, by była to jedynie pauza, krótka przerwa, a nie cezura, która oznacza zakończenie epizodu 30-letniej względnej niepodległości podniesionej na wyżyny możliwości w latach 2015–2023.

Czasy są wyjątkowo niebezpieczne, „koniec historii” okazał się wielkim złudzeniem. Agresywne imperium na Wschodzie za chwilę zacznie się rozgłądać za kolejną ofiarą. Zapewne będzie mogło liczyć na pomoc z Zachodu. W tym czasie w Polsce rządzi ekipa wyjątkowo niepoważna, wyjątkowo nieporadna i wyjątkowo uzależniona od sił zewnętrznych. Całą politykę państwową sprowadziła do represji wymierzonych w opozycję, PR-owych sztuczek i kupowania czasu liczonego w dniach i tygodniach. Nic więcej nie ma do zaproponowania. Nie ma

i nawet nie szuka, bo nie po to wyniesiono ją do władzy.

Ale nie załamujemy rąk, nie rozpaczamy. Los sprawił, że już za trzy miesiące możemy odwrócić sytuację, możemy zakończyć ten smutny okres naszych dziejów. To naprawdę dobra wiadomość. Bywało przecież w naszych dziejach, że na jakąkolwiek szansę na odmianę losu trzeba było czekać całe dekady. Tymczasem Polacy mogą zmienić kurs swojego państwa już 18 maja. Mogą sprawić, że rząd albo będzie czekał na swój upadek, albo po prostu upadnie zaraz po wyborach. Jedno wydarzenie może nas wyrwać ze spirali śmierci.

Co więcej, szanse na wygraną obozu niepodległościowego są bardzo duże. Podczas konferencji programowej Karol Nawrocki wygłosił przemówienie, w którym potwierdził, że ma solidne „prezydenckie papiery”. Wykazał się orientacją w najważniejszych sferach, przedstawił nowe pomysły, kolejny raz błysnął energią. Rośnie też poparcie dla Sławomira Mentzena, wśród młodych ludzi wręcz skokowo, co znacznie zmienia sytuację polityczną w perspektywie drugiej tury. Dramatycznie słabnie, po prostu znika, Szymon Hołownia. To rzecz niebagatelna, oznacza bowiem unieważnienie, a może i uśmiercenie, tej konstelacji politycznej, która umożliwiła obecnej ekipie zafalszowanie rzeczywistej woli Polaków w ostatnich wyborach. Lewicowi kandydaci na razie nie istnieją w tej rywalizacji i chyba już nie zaistnieją.

Głębsze zmiany społeczne wsparte silnym, korzystnym cywilizacyjnie wiatrem z Ameryki także już wybrzmiewają nad Wisłą. Nie można wykluczyć bardziej śmiałej amerykańskiej interwencji w obronie podstaw naszej demokracji, demolowanych przez koalicję 13 grudnia.

Wybory rozstrzygną się o punkt procentowy, może dwa, może trzy. Ale najważniejsze, że ratunek jest na wyciągnięcie ręki. Możemy znów ruszyć do przodu. Nie można zmarnować tej szansy. Wciąż wszystko zależy od nas. W przypadku Polaków to już bardzo dużo.

Jacek Karnowski




26
Ryzykowna misja
Piotr Gursztyn

40
Geopolityczny pojedynek na miny
Dariusz Matyszak

54
Nowoczesne opluwanie żołnierzy wyklętych
Stanisław Flużański

NA POCZĄTEK

- 5 NIE ZAMYKAJMY OCZU**
Bronisław Wildstein
- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 WYRAZY WSPARCIA**
Krzysztof Feusette
- 9 WALKA ZE ZDROWYM ROZSĄDKIEM**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 CLEAN INDUSTRIAL DEAL, CZYLI ZIELONY ŁAD NA STERYDACH**
Daniel Obajtek
- 13 CHIŃCZYCY ZACIERAJĄ RĘCE**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 WALIZKA JOANNY BIAŁOBRZESKIEJ**
Michał Korsun
- 16 OSTATECZNE STARCIE**
Samuel Pereira
- 16 EUROPA ŚLE TWITTEROWE WSPARCIE, A TRUMP PLAN REALNEGO ZAKOŃCZENIA WOJNY**
Arkadiusz Mularczyk
- 17 W GĄSZCZU ZIELONEGO ŁADU**
Jan Pietrzak
- 18 ZŁODZIEJE MIANOWANI**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

- 20 PLAN NA ZWYCIĘSTWO**
Marek Pyza
- 24 SKOK NAWROCKIEGO**
Stanisław Janecki

KRAJ

- 26 RYZYKOWNA MISJA**
Piotr Gursztyn
- 29 TRZY REAKCJE NA KRYZYS**
Jan Rokita
- 32 BITWA O PRZEŻYCIE**
Konrad Kołodziejski
- 35 PAŃSTWO BEZ FLOTY HANDLOWEJ**
Z kpt. Tadeuszem Hatałskim rozmawia Grzegorz Górny
- 38 PANIE NA PRAWO, PANOWIE TEŻ**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 40 GEOPOLITYCZNY POJEDYNEK NA MINY**
Dariusz Matyszak
- 43 W JAKI SPOSÓB ZEŁENSKI CHCIAŁ PRZECZYTRZYĆ TRUMPA**
Marek Budzisz

46 BBC, STRONNICZOŚĆ I GAZA

Aleksandra Rybińska

48 KONIEC SYSTEMU OBAMY

Grzegorz Górny

OPINIE

50 PROSTE, LECZ NIELATWE

Romuald Szeremietiew

HISTORIA

54 NOWOCZESNE OPLUWANIE ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Stanisław Flużański

SIECI KULTURY

57 W BLASKU I CINIENIU OSCARÓW

Jolanta Gajda-Zadworna

60 TYPY KOWALSKI

Maciej Walaszczyk

62 KATOLICKI RAMADAN

Robert Tekieli

63 WOJNA CYWILIZACJI

Robert Tekieli

64 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY

Maciej Walaszczyk

GOSPODARKA

66 PODATKOWA KARA ZA OSZCZĘDZANIE

Stanisław Koczoł

PODRÓŻE

68 MOJE SZLAKI: JESSE EISENBERG

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 NOTORYCZNY KŁAMCA

Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST

Andrzej Rafał Potocki

72 PIEKIELNY KARNAWAŁ

Aleksander Nalaskowski

73 DLACZEGO BYŁO TAK ŻŁE?

Ryszard Czarnecki

74 ZNÓW NIE WIDĄĆ LASU

Andrzej Zybortowicz

Nie zamykajmy oczu

Sytuacja Ukrainy zmienia się dynamicznie i kiedy tekst mój dotrze do czytelników, będzie inna, niż kiedy go piszę. Zastanawiam się zatem nad polskimi reakcjami na nią. Ułożyły się one w sposób najbardziej trywialny: sympatycy lewej strony gromią Trumpa i popierają Zelenskiego, zwolennicy prawicy usprawiedliwiają prezydenta USA, a winą obciążają przywódcę Ukrainy. Niestety w tej sprawie to ci pierwsi mają rację.

Oburzenia nie zastąpią niezbędnych w polityce racjonalnych rozwiązań. Dlatego wypowiedzi Karola Nawrockiego czy Jarosława Kaczyńskiego, którzy w przeciwieństwie do Donalda Tuska deklarują, że polski interes wymaga działania na rzecz odbudowy amerykańsko-ukraińskiego sojuszu, służą naszemu krajowi. Niemniej zwłaszcza komentatorzy winni choćby uświadomić sobie, po której stronie leży racja.

Trzeba zamykać oczy na rzeczywistość, aby twierdzić, że podczas konferencji w Owalnym Gabinetie to Zelenski zachował się niewłaściwie albo chociaż że odpowiedzialność za waszyngtoński skandal jest podzielona.

Można przyjąć, że prezydent Ukrainy popełnił taktyczny błąd, dał się sprowokować i nie zachował się tak, jak przywódca jego kraju zachować się powinien. Powinien był przemilczeć insynuacje oraz sposób traktowania go przez Amerykanów i rygorystycznie trzymać się sprawy, w której do Waszyngtonu przybył, czyli traktatu gospodarczo-politycznego o wspólnej eksploatacji minerałów Ukrainy. Podtrzymując ten sąd, pamiętać jednak musimy, że Zelenski spotkał się z arogancką postawą prezydenta USA i jego zastępcy, co biorąc pod uwagę to, że byli oni gospodarzami, dodatkowo ich obciąża. Odsłania imperialną butę nowych przywódców Stanów, którzy dzielą swoich rozmówców zależnie od ich siły i demonstrować to potem ze szczególną satysfakcją, czego dowodził Trump, powtarzając Zelenskiemu, że powinien dziękować i przeproszać, gdyż „żadnych kart w ręce nie ma”.

Najbardziej niebezpieczna wydaje się próba wybielania Putina ze strony prezydenta Stanów. Stwierdził on, że prezydent Rosji „chce zawrzeć porozumienie”. W trakcie tej samej konferencji Trump atakował ukraińskiego lidera, że nie chce rozejmu. Wpisuje się to w jego wcześniejsze wystąpienia, w których oskarżał Zelenskiego o „rozpoczęcie wojny”. Amerykańscy demokraci głoszą, że spektakl w Gabinetie Owalnym był świadomym działaniem w celu uzasadnienia zerwania układu z Ukrainą ze strony co najmniej Vance’a. Podtrzymują to ich europejscy sojusznicy, czyli prawie cały rządzący dziś na naszym kontynencie establishment.

Nie wiem, czy to prawda, ale przekonuje mnie bardziej niż prawicowi analitycy, którzy uznają, że zachowanie Zelenskiego było elementem jego szerszej strategii. To przeszacowanie wy-

rachowania polityków, którzy są tylko ludźmi, o czym historia przekonuje nas na każdym kroku.

Europa ma wystarczający potencjał, aby samodzielnie wspierać Ukrainę do zwycięstwa. Bardzo niewiele zrobiła w tym kierunku przez trzy lata trwania wojny. Obecne retoryczne wzmożenie ma antyamerykański charakter i nie sędzę, aby przełożyło się na konkrety dla Ukrainy. Grzmiąc przeciw ustępstwom Stanów, Parlament Europejski zdejmując z agendy plan uniezależnienia Unii od rosyjskich surowców. Wspólny dług UE na rzecz obronności służył będzie jej centralizacji, a nie pomocy naszym sąsiadom. Wyobrażenie, że bardziej zwarta Unia będzie bardziej efektywna, jest nieporozumieniem o czym przekonuje nas zarówno analiza jej działania, jak i doświadczeń historycznych, choćby katastrofy, jaką była reakcja Brukseli na pandemię, za co nikt nie poniósł odpowiedzialności, a Ursula von der Leyen nadal pełni funkcję lidera KE.

Przyjmując z uznaniem każdą pomoc dla Ukrainy, liczyć możemy głównie na USA. Dodatkowo Trump jest naszym najważniejszym sojusznikiem w cywilizacyjnej wojnie. Nie znaczy to, że mamy przymykać oczy na jego działania i imperialistyczne skłonności, zwłaszcza iż możemy za to srogo zapłacić.

W historii bywaliśmy w sytuacji podobnej do tej, w jakiej Ukraina znajduje się dziś. Określenie „zdrada Zachodu” przetrwało w naszym języku jako potępienie egoizmu mocarstw, które oddały swojego alianta, Polskę, Sowiecom. Sięga ono czasów wcześniejszych, kiedy to Europa nie pomagała nam, Europejczykom, w walce o niepodległość z rosyjską despotcją. Oceny te odwoływały się do ładu naturalnego, na którym zbudowana została zachodnia cywilizacja i którego bywaliśmy rzecznikami. Nie kwestionujemy za łatwo naiwności tamtego podejścia, zwłaszcza jeśli deklarujemy, iż chcemy odtworzyć porządek zachodniego świata i jego kultury.

W polityce skazani bywamy na różnych sojuszników. Realizm każe nam mieć oczy szeroko otwarte na ich przypadłości i nie sygnować działań budzących wątpliwości. Zgoda w podstawowych kwestiach nie oznacza zgody we wszystkim, a zdanie wygłaszane przez naszych przeciwników nie zawsze jest fałszywe. Zaciekleść politycznego sporu, która każe nam o tym zapominać, prowadzi na manowce.



Sygnalista nadaaje



Z cyklu „Cytaty wielkich ludzi”.

Adam Bodnar: „Nie boję się, bo jestem pryncypialnie uczciwy”. Nasz minister ds. praworządności i rozliczeń z kaczymem wypowiedział te piękne słowa w wywiadzie dla jakiegoś postępowego i równie praworządnego portalu, który przeżywa teraz ciężkie chwile, gdyż mroczna postać niejakiego Trumpa zabrała im pieniądze. A należały im się jak psu micha, jak areszt Ziobrze i stanowisko marszałka Sejmu Czarzastemu. Należały im się, gdyż zawsze byli po stronie postępu, praworządności, europejskości, inkluzywności i innych takich fajnych rzeczy, dzięki którym dostaje się granty i różne pyszne konfitury. A nasz ukochany minister powiedział jeszcze wiele innych mądrych i wzruszających słów o nieustającej walce z hydrą kaczynizmu-zio-bryzmu. Np. to o sobie: „Staram się być katalizatorem emocji”. Zapamiętamy i będziemy przypominać.



Jeśli chodzi o przypomnianie, to redaktor Piotr Kraśko zaskoczył całe Miasteczko Wilanów i aspirującą część Jagodna. Mianowicie przypomniał społeczeństwu mało znany fakt, że niejaki Donald Trump nie jest prezydentem uśmiechniętej Polski, tylko prezydentem nieuśmiechniętej Ameryki. Może stąd rozczarowanie, że ten Trump nie postępuje według standardów, które już dawno określiła „Gazeta Wyborcza” (możliwe, że ten amerykański prostak w ogóle jej nie czyta). Na szczęście spełni się proroctwo pani Gosi z Sopotu, że wystarczy jeden Donald. Czyli Donald Tusk, a nie jakiś Trump. Kijem na tego gburę okazał się nadzwyczajny apel działaczy opozycji PRL (tych właściwych,

a nie niewłaściwych). Lech Wałęsa, Bronisław Komorowski, Stefan Niesiołowski, a nawet Seweryn Blumsztajn i Adam Michnik. Tej siły to żaden Trump nie zatrzyma. A jak nie pomoże jeden apel, zawsze może się jeszcze ukazać list krakowskich intelektualistów skupionych wokół „Tygodnika Powszechnego” i seria wpisów internetowych z hasztagiem „Trump to Rosja” podpisanych: Silni Razem. Ale to opcja atomowa. Mało prawdopodobne, że Trump nie posłucha się naszych autorytetów moralnych. Wracając zaś do redaktora Kraśki – oczekujemy, że poniesie karę, a przynajmniej nagane, za swoją nieodpowiedzialną wypowiedź.



Wróćmy jeszcze do katalizatora emocji Adama Bodnara. Pozytywna rzecz zdarzyła się w Sądzie Najwyższym (którego normalnie nie uznajemy, bo nie jest żadnym sądem, ale tym razem przez chwilę był). Neosędziowie z tego sądu wydali orzeczenie, dzięki któremu łatwiej możemy zmieniać pleć (wybór jest szeroki, więc trzeba się zastanowić, która aktualnie jest najbardziej trendy). Ale to orzeczenie tak przełomowe, że z tego powodu na tę jedną chwilę neosędziowie stali się prawdziwymi paleosędziami, a izba sądu, która nie jest izbą sądu, przez moment była jednak praworządna. Ale tylko przez ten moment. I niech nie cieszą się te durne prawaki, że to hipokryzja i że wszyscy sędziowie są równi. Otóż nie: to nie oni będą ustalali, jaka w danej chwili obowiązuje mądrość etapu. Bo nie ma praworządności dla wrogów praworządności.



Osoba ministerialna ds. nieodrabiania lekcji Baśka Niejaka

Nowacka wygłosiła ważne kazanie. W swej homilii potępiła tych młodych, których dotknął „kryzys wiary w Unię Europejską”. Z niepokojem zauważyła, że rozwydrzone szczeniactwo nie docenia beneficjów, którymi szczerze obdarza ich Bruksela. Podpowiadamy, że to rozwydrzenie bierze się z tego, iż wyrostki i podlotki w niekontrolowany sposób czytają to, co jest w internetach. Nie oglądają TVN ani nawet nie zaglądają do „Gazety Wyborczej”. Wracą zatem postulat zamknięcia tych wszystkich fejsbuków i innych tub trumpowskiej propagandy.

Na razie osoba ministerialna nie zapowiada odcięcia dziatwy szkolnej od internetów. Najpierw będzie perswazja, która ma przywrócić gówniarzerce wiarę w dogmaty brukselsko-strasburskie i radość mocowania się z nakrętką od butelki. Zgłaszamy się do tego dzieła. Mamy już nazwę dla naszej grupy: Świadkowie Nowackiej i pytanie, którym zagaimy pogadankę: „Czy chcesz, młody człowieku, młoda człowieczko i inna młoda osobo człowiecza, porozmawiać o Unii Europejskiej?”.

Głowa państwa oznajmiła, że nie wybiera się na emeryturę, jak już nie będzie głową państwa. Z zainteresowaniem wysłuchaliśmy tej deklaracji. Zakiełkowała w nas nadzieja, że **Andrzej Duda** ma szansę zostać pierwszym byłym prezydentem RP, który nie zwariuje po zakończeniu prezydentury i nie zacznie publicznie wygadywać głupot. Nie jesteśmy przesadnymi optymistami w tej sprawie, ale wystarczy już to, że mamy Legendarnego Noblistę, bezwąsego Bronisława i sfrustrowanego brakiem wnucząt Aleksandra. Na razie obserwujemy symptomy. Naczelny macher kancelarii Marcin Mastalerek podlizuje się Konfederacji celem uzyskania miejsca na listach wyborczych. Nowy nabytek, czyli Rachoń-bis, kombinuje sobie jakąś robotę u Amerykanów. Reszta kancelaryjnych bonzów lazi za Karolem Nawrockim w nadziei, że po wygranej weźmie ich do pałacu. Będzie tu konkurencja, bo w tym samym celu lazi za nim kilku matolków z IPN. A tak w ogóle to może być dobry znak, że Andrzej nie planuje założenia jakiegoś instytutu swojego imienia. Lechu i Bronek takie założyli, a Olek fundację. No i potem zwariowali. To nie jest przypadek.

Szok! **Adrian Zandberg** ma poczucie humoru. I to nawet niezłe. „Nowy program badawczy rządu Tuska: czy koryto może latać?” – napisał po tym, jak ukazała się wiadomość, że Instytut Lotnictwa ma nowego szefa. Wprawdzie całkowicie niekompetentnego, ale za to bliskiego znajomego samego Donalda Tuska. I tu kończy się śmiech, bo zaszczuto tego człowieka. Okazuje się, że pisowski dipstejt nadal głęboko siedzi w mediach, które zda-



wałoby się są po właściwej, nieprawackiej stronie. Otóż tak nie jest, bo one zaczęły tę nagonkę. A my widzimy tę sprawę zupełnie inaczej. Instytut Lotnictwa czy jakiegoś innego tam nudziarstwa miał szefa mianowanego jeszcze za czasów PiS. Typ był kompetentny i bezpartyjny, ale uwikłany w kacyzm. A za to trzeba płacić. Wybuchła awantura w jego obronie, bo jakieś profesorki i inni jajogłowi nie rozumieją, że rozliczenia są konieczne. Zresztą co im przeszkadzał nowy dyrektor? Fajny facet, Tomek Szymczak (zna się z samym Donaldem jeszcze z Gdańska). Podczas konkursu na stanowisko Tomek powiedział, że nie zna się na technologii, ale chętnie się zapozna. Z Wikipedii albo z czata GPT. No i gites! O co ta afera? Przecież on z zawodu jest dyrektorem i na to stanowisko przyszedł. Dodajmy, że kompetencje są przereklamowane i odchodzi się od nich. My np. nie mamy żadnych kompetencji, nie planujemy ich mieć, ale chętnie zostaniemy dyrektorami jakiegoś fajnego instytutu. Tylko poważne oferty.

Kończy się heroiczny bój **Szymka Hołowni** ze Sławomirem Mentzenem. Szymek leży na dechach, ale dalej próbuje walczyć. Niestety nie będzie jak w bajce ani nawet Piśmie Świętym – konfederacki Goliat pokona sejmfliksowego Dawida. Właściwie już pokonał. Sondaże są dla Szymka nieublagane. A właściwie Szymusia, bo robi się coraz mniejszy.

To jednak nie koniec dziejów walecznego Szymka. W następnym odcinku opowiemy, jak przegrał na sondażu z Grzegorzem Braunem. W przygotowaniu kolejne części: o tym, jak Szymek przegrał z Magdą Bieją, Adrianem Zandbergiem i Pawłem Tanajno. Zostańcie z nami!

Kaczystowski śmieszek, oficjalnie eurodeputowany PiS, człowiek o nazwisku, jakby był z AFD, w oszczerczy sposób zaatakował członków rządu pana premiera Tuska. Mowa o **Piotrze Müllerze** i jego komentarzu dyskredytującym nie tylko rząd, lecz także praworządne organy ścigania. Prokuratura poinformowała, że nakazała zatrzymanie dwóch ludzi handlujących amfetaminą. A Müller to skomentował: „Oj, ten komunikat może zabość niektórym ministrów obecnego rządu”.

Po pierwsze, nie wierzymy w te insynuacje. Ministrowie obecnego rządu są znani z ascetycznego trybu życia. Zwłaszcza gdy mają związki ze sportem. A przydomki typu „Biały nosok” są pieszczołliwym nawiązaniem do sympatycznych cech charakteru. Po drugie, pisiory nie wiedzą, co to jest dobra zabawa i dlatego próbują zepsuć ją innym. Ale im się to nie uda. My wszyscy łagodnie uśmiechnięci!

Wyrazy wsparcia



KRZYSZTOF FEUSETTE

Macron: My, przywódcy Europy...
Merz: Nie, trzeba inaczej, bo się Brytyjczycy obrażą...

Tusk: I Rosjanie, bo tam też jest przecież Europa...

Macron: Ale na Ukrainę najechała chyba ta część azjatycka?

Tusk: A, to już zależy, jak patrzeć. Panowie, może policzmy głosy? Albo dobra, później...

Macron: Musi być napisane, że jesteśmy z nimi.

Merz: Tak jest i że zawsze będziemy. To jest bardzo ważne. Każdy może zapewnić: „Jestem z tobą”, ale trudniej obiecać: „Zawsze będę z tobą”.

Tusk: Tylko co to oznacza?

Macron: „Zawsze” czy „będę”?

Tusk: No bo oni chcą do Unii.

Merz: I bardzo dobrze. Spróbowałiby nie chcieć. A my, jak tu siedzimy, jesteśmy za tym, prawda?

Macron: Oczywiście. Ja to bardzo jestem za Ukrainą.

Tusk: A jak ja jestem! Przecież to są nasi sąsiedzi.

Merz: Czyli trzeba napisać tak: „Jesteśmy z panem, panie Zieliński...”

Tusk: Zelenski...

Macron: To są niuanse. Ważne, żeby dotarło.

Tusk: Tylko co?

Macron: To, że albo przeprosi Trumpa, albo niech na nas nie liczy.

Tusk: A on co robi?

Merz: A co nas to obchodzi?

Tusk: No ale mówiliście, że Europa musi być samowystarczalna. Sam pisałem, że 500 mln Europejczyków prosi o wsparcie 350 mln Amerykanów, żeby ich obrotni przed 250 mln Rosjan. Najpiękniejszy wiersz, jaki w życiu napisałem.

Merz: To koledze szybko się poezja starzeje. Co innego szczekać na prezydenta Trumpa, a co innego uznać jego siłę. Prawda, Emmanuelu?

Macron: Dokładnie. Poskakał pan, osikał mu nogawki, a teraz trzeba będzie ponieść tego konsekwencje.

Tusk: Jak to, przecież mnie namawialiście. Sam nigdy bym się nie odważył.

Macron: Ciekawe. Bo to, że jest rosyjskim szpiegiem, już sami wymyśliliście.

Tusk: Bo wiedziałem, jakie jest zapotrzebowanie liberalnych elit.

Merz: To teraz też wiecie. Przeprosicie ładnie Trumpa, a potem powiecie Zelenskiemu, że ma zrobić to samo.

Tusk: Ale on mnie nie słucha.

Merz: To powiecie, że jesteście ode mnie.

Tusk: A sam pan przyszedł kanclerz nie może?

Merz: Nie może, gdyż nie czas teraz na zadrażnienie stosunków z Zelenskim. On musi wiedzieć, że my chcieliśmy, żeby on wiedział, że my chcieliśmy, żeby oni dawno się poddali. Trzeba wrócić do real politik, czyli wojna musi się skończyć. A w tym pomoże nam Trump. O ile żaden idiota nie będzie go obrażał.

Tusk: To o Zelenskim?

Merz: Nie tylko.

Macron: Wy, kolego, przyjacielu, towarzyszu, jesteście zbyt narwani. Ktoś coś tam powie, ktoś krzywo spojrzy, a wy już leciecie wykrzykiwać się do mediów i rżnąć bohatera. Mówicie, że macie prorosyjską opozycję, a zaraz potem wasi ludzie chcą wyrzucać Amerykę na śmietnik. Jakies barany piszą do Trumpa list otwarty...

Tusk: O przepraszam, nic nie poradzę, że te jelopy potrafią się podpisać. No ale kto tam jest? Szpicel, który przez sześć lat donosił na kolegów, dzięki czemu wygrał w totka, a potem został prezydentem i chciał z Rosją tworzyć NATO-bis? Kolejny były prezydent, który po Smoleńsku chciał budować jeszcze lepsze relacje z Putinem? Opozycjonista, który jako je-

dyny dorobił się zaraz po upadku komunizmu floty ciężarówek, a potem paradował z ośmioma gwiazdkami po rosyjsku?

Macron: A ten Seweryn, co u nas w teatrach występował?

Tusk: No głupek totalny. Wnuczkowi kazał bić się po mordzie z powodów politycznych. Taki aktor.

Merz: Jak Zelenski.

Tusk: Właśnie.

Merz: Tylko co z tego wynika?

Tusk: Że udaje! Trump mówił, że on nie chce pokoju!

Macron: Ech, że u was nie ma nikogo równie oddanego, ale jednak ciut bystrzejszego... Ten wasz Trzaskowski też jakiś taki ociężały...

Tusk: On normalnie jest inny, tylko teraz udaje prawicowca.

Merz: Przynajmniej na Donalda nie pluł...

Tusk: Niechby tylko spróbował...

Merz: Nie o was mówię. Dla was to i tak wiecznie deszcz pada. A kogo na ministra spraw zagranicznych wzięliście?

Tusk: No Sikorskiego.

Merz: Tego, którego żona wyzywała Trumpa od Hitlerów i Stalinów? Tego, co z Ławrowem Rosjan z Kaliningradu do Polski bez wiz wpuszczał? Aha.

Tusk: Ale ambasadora w USA to już nam Duda nie podpisał.

Macron: A kto miał zostać?

Tusk: Mister Klich, psychiatra z zawodu, związał wojsko nam, a potem obrażał Trumpa, to myślałem, że się nadaje. Gdyby oczywiście Kamala Harris wygrała...

Macron: Kłamala chyba?

Merz: A tobie to przeszkadza? Dobra, piszcie: „Drogi Wołodimirze, bracie nasz...”

Macron:...i siostru. W tych czasach lepiej dopisać.

Merz:...i siostru, wszyscy jak tu siedzimy...

Tusk: Może lepiej „stoimy”? Po co los kusić.

Merz:...jak tu stoimy, ramię w ramię, z dzielnym narodem niemieckim...

Tusk: Chyba ukraińskim?

Merz:...niemieckim, wspierającym cię, tak jak cała Unia Europejska. Pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć, bo Ukraina pozostanie w naszych sercach. Na dowód wysyłamy ci 100 puszek kakao oraz batony energetyczne. A przede wszystkim darmową poradę dyplomatyczną: wróć do Waszyngtonu i bądź grzeczny...

Tusk: Pięknie napisane.

Macron: I to jest najważniejsze. 

Walka ze zdrowym rozsądkiem

W ramach walki o równość płci wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego ogłosiła, że walczy z Dniem Chłopaka

Bruksela chce walczyć z dezinformacją, a może lepiej powiedzieć – demokracją w Polsce. Wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej ds. suwerenności technologicznej, bezpieczeństwa i demokracji Henna Virkkunen zapowiedziała w rozmowie z niemieckim portalem Deutsche Welle, że w ciągu najbliższych tygodni odbędzie się okrągły stół w sprawie wyborów prezydenckich w naszym kraju.

„Przed wyborami zawsze organizujemy okrągły stół i analizujemy różne scenariusze z władzami krajowymi, NGO i samymi platformami, ponieważ są one również ważnym kanałem komunikacji zarówno dla obywateli, jak i dla polityków. Nie mogą być nadużywane ani manipulowane, powinny mieć systemy, które zapobiegają rozprzestrzenianiu się dezinformacji” – powiedziała wiceszefowa KE.

Tylko co zrobić w sytuacji, gdy największym siewcą dezinformacji jest premier kraju, w którym odbywają się wybory? Donald Tusk napisał na platformie X: „Publicznie wyrażona przez Pana Prezydenta Dudę sugestia, że moglibyśmy oddać naszą polską miedź Amerykanom za ich wsparcie, to jednak krok za daleko”. Rzecz w tym, że prezydent Duda niczego takiego nie powiedział. Podczas wywiadu dla TVN24 został zapytany m.in., czy w erze Donalda Trumpa możemy liczyć na Amerykę, czy nie przyjdzie taki dzień, gdy Trump powie: „Chcecie amerykańskich wojsk w Polsce? Oddajcie mi swoją miedź”. Prezydent odpowiedział: „Jeżeli prezydent Donald Trump będzie w takiej sytuacji, że, nie wiem, wyda na wsparcie dla Polski setki miliardów dolarów, to trudno mi powiedzieć, jakie będzie miał wobec nas oczekiwania. Natomiast póki co takiej sytuacji nie mamy”. Dopytywany, czy nie obawia się tego, odparkł: „Ja mam nadzieję, że takiej sytuacji nie będzie, bo jak na razie to nazywa nas [Trump – przyp. red.] bardzo odpowiedzialnym sojusznikiem. Mówi, że to raczej on ma zobowiązania wobec Polski, bo przecież sam to ostatnio powiedział, że czuje się wobec Polski zobowiązany”.

Pan premier usłyszał jednak coś zupełnie innego i skomentował

słowa, które nie padły. Ale przecież mogły paść, dziennikarz stacji bardzo się starał, żeby padły. Może ktoś za wcześniej dał cynk Donaldowi Tuskowi, że prezydent palnie coś o miedzi, bo będą dociskać. Nie wyszło, ale wpis na platformie X wyszedł, i to spod ręki człowieka, który apelował w Sejmie o polityczny umiar i jedność w obliczu zagrożeń geopolitycznych, wzywając wszystkie siły polityczne do wspólnej odpowiedzialności za polską rację stanu.

Donald Tusk sieje podobną dezinformację, gdy mówi, że ostrzegał Europę przed Rosją. Ostrzegali Lech Kaczyński i Jarosław Kaczyński, a Tusk chciał współpracy z Rosją, taką, jaką ona jest. Poza tym

pozwał na rosyjsko-niemiecki sojusz energetyczny i jeździł do Moskwy dogadywać się z Władimirem Putinem.

Gdy KE udaje, że walczy z dezinformacją, Lewica udaje, że walczy z dyskryminacją i sama dyskryminuje. Mężczyzn.

W ramach walki o równość płci Karolina Ziolo-Pużuk, wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, ogłosiła, że walczy z Dniem Chłopaka. Podczas konferencji naukowej i eksperckiej „Nierównowagi płci w środowisku naukowym i eksperckim: Jak osiągnąć balans bez eskalacji konfliktów?” pani minister pochwaliła się swoją skutecznością w walce z tym świętem. Stwierdziła, że tak naprawdę nie jest to żadne święto, a jedynym argumentem przemawiającym za jego istnieniem jest fakt, że 8 marca kobiety i dziewczęta dostają kwiatki. „No nie, bo pozostałe dni to jest tak naprawdę dzień chłopaka” – stwierdziła, wywołując rozbawienie wśród zgromadzonych.

Wypowiedź Ziolo-Pużuk zaszokowała nie tylko działaczy na rzecz praw mężczyzn, lecz nawet polityków Lewicy. Na profilu Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn znalazł się taki komentarz: „Więc pamiętajcie, chłopcy! Może macie znacznie słabsze wyniki w nauce, częściej powtarzacie klasę, szybciej wypadacie ze szkoły, ale takie działania na rzecz równowagi płci jak czekoladka na Dzień Chłopaka to wytrych do ograniczania praw kobiet!”. Każdy walczy z czym lubi i jak lubi. Często mam jednak wrażenie, że większość polityków koalicji 13 grudnia walczy głównie ze zdrowym rozsądkiem.

Dorota Losiewicz



Komitet ds. Zmian Klimatu (CCC) w Wielkiej Brytanii domaga się zmiany zachowań całego społeczeństwa, aby osiągnąć zerową emisję netto dwutlenku węgla do 2050 r. Mówiąc wprost, brytyjscy obywatele powinni ograniczyć spożycie mięsa o co najmniej 260 g tygodniowo. Odpowiadałoby to ok. dwóm dużym kebabom albo dwóm stekom.

„Absolutnie nie twierdzimy, że wszyscy muszą być weganami. Ale spodziewamy się zmiany nawyków żywieniowych” – powiedziała Emily Nurse, szefowa ds. zerowej emisji netto w Komitecie. Ale to nie wszystko, bo jej zdaniem rząd powinien również dążyć do zniechęcenia społeczeństwa do podróży lotniczych, proponując wprowadzenie różnych dotkliwych podatków. Zasugerowano nawet wprowadzenie daniny „od częstych lotów”, która mogłaby zostać nałożona na osoby zbyt często korzystające z samolotów. Poza tym rząd ma nakłaniać do ograniczenia jazdy samochodem, likwidacji kotłowni gazowych w domach i instalowania w nich pomp ciepła.

Te absurdalne wysiłki mają zostać podjęte, mimo że Wielka Brytania odpowiada za mniej niż 1 proc. globalnych emisji gazów cieplarnianych. Co więcej, by wprowadzić w życie tę z ducha totalitarną inżynierię społeczną, zalecana jest poli-

tyka „popychania”, a więc subtelnych, ale skutecznych technik kontroli zachowań, które powinno stosować państwo w celu wpływania na ludzi i nakłaniania ich do posłuszeństwa.

Komitet ds. Zmian Klimatu to quasi-konsultacyjne gremium powołane jeszcze przez poprzedni rząd Partii Pracy w 2008 r. Podpiera się ono własnymi sondażami sugerującymi, że większość Brytyjczyków zgadza się z ich propozycjami. Jak jednak wynika z badania przeprowadzonego przez Freshwater Strategy, na pytanie, czy rząd powinien stawiać na wzrost gospodarczy, czy na osiągnięcie zerowej emisji netto do 2050 r., siedmiu na dziesięciu Brytyjczyków stwierdziło, że gospodarka jest ważniejsza.

W odpowiedzi na zalecenia CCC zastępca lidera Partii Reform

Richard Tice napisał na portalu X, że jest to „droga do zerowego poziomu netto głupoty”. W przeciwieństwie do obu największych brytyjskich partii ugrupowanie Nigela Farage’a nie tylko wzywa do porzucenia planów klimatycznych, lecz także do zniesienia zakazu szczelinowania, przejścia na energię jądrową oraz nałożenia na firmy zajmujące się energią odnawialną podatku od zysków, aby zrekompensować podatnikom koszty inwestowania w zieloną politykę.

Maciej Walaszczyk



 **Wielka Brytania**

Orwellowska ekologia

Po tym, jak Donald Trump zagroził Kanadzie przekształceniem w 51. stan USA i zapowiedział wprowadzenie barier celnych, sytuacja polityczna w tym kraju szybko zaczęła się zmieniać. Jeszcze sześć tygodni temu w badaniach opinii publicznej rządzący liberałowie premiera Trudeau mieli 26 proc. straty do opozycyjnych konserwatystów. Jednak pogrożki ze strony amerykańskiego prezydenta doprowadziły do zmiany trendu.

Kanadyjczycy poczuli się zagrożeni i w rezultacie w ostatnim badaniu, przeprowadzonym w minionym tygodniu, liberałowie o 2 proc. wyprzedzili konserwatystów, których lider Pierre Poilievre uchodzi za polityka sympatyzującego z Trumpem.

Po rezygnacji Justina Trudeau z funkcji premiera i przewodniczącego partii liberałowie dokonują zmiany przywództwa. Największe szanse na zwycięstwo ma Mark Carney, były szef banku centralnego, który wyraźnie prowadzi w rywalizacji z Chrystią Freeland, była



Kanada

Nadzieja dla liberałów

minister finansów i wicepremier. Carney akcentuje potrzebę przygotowania Kanady na kryzys ekonomiczny, który jest niemal pewny, jeśli Trump wprowadzi cła. Uważa się, że jego bardzo prawdopodobne zwycięstwo w rywalizacji o przywództwo wśród liberałów doprowadzi do szybkiego rozpisania przedterminowych wyborów parlamentarnych, w których mają oni szanse zwyciężyć na fali uczuć nacjonalistycznych.

David Coletto, szef firmy Abacus Data prowadzącej badania kanadyjskiej opinii publicznej, powiedział, że „wybory zostaną zdominowane przez kwestię, jak najlepiej przygotować kraj na zamęt wywołany przez Trumpa”, co obiektywnie sprzyja rządzącej formacji. Warto jednak zwrócić uwagę na to, że Carney w swoim programie wyborczym zapowiedział działania przejęte z instrumentarium obozu Trumpa. Chce doprowadzić do redukcji zatrudnienia w administracji publicznej, która w ostatnich latach rosła się o 40 proc., a także zmniejszyć podatki i udział państwa w PKB, który za czasów Trudeau zwiększył się o 3,7 proc. Kanada przygotowuje się też na pogorszenie relacji ze Stanami Zjednoczonymi w kwestiach bezpieczeństwa. Pojawiły się koncepcje, według których Ottawa powinna rozpocząć negocjacje z Londynem obliczone na pozyskanie od Wielkiej Brytanii parasola nuklearnego, bo w nowej epoce amerykański może już nie być taki pewny.

Marek Budzisz



Niewolnictwo morskie XXI w.

Korea Północna

Fundacja na rzecz Sprawiedliwości Środowiskowej opublikowała niedawno raport na temat aktywności chińskich statków rybackich na południowo-zachodnim Oceanie Indyjskim w latach 2019–2024. Autorów dokumentu interesowały głównie szkody dla środowiska naturalnego wyrządzane przez wspomniane jednostki, np. obcinanie płetw rekinów czy połowy chronionych gatunków takich jak delfiny. Przy okazji odkryto jednak inny proceder, który dotyczy nie tyle zwierząt, ile ludzi.

Okazuje się, że na statkach pod chińską banderą pływają dziesiątki północnokoreańskich marynarzy, którzy pracują tam w niewolniczych warunkach. Na podstawie umowy między Pjongjangiem a Pekinem nie mają oni prawa wychodzić na brzeg, gdy jednostki cumują w portach, gdyż władze KRLD boją się, że mogliby próbować uciec. Ponieważ chińscy dowódcy ściśle egzekwują ten zakaz, marynarze z Korei Północnej potrafią latami nie opuszczać statków. Rekordziści nie postawili stopy na suchym lądzie przez ponad dekadę. Poza tym mają oni zakaz posiadania telefonów komórkowych, by nie mogli kontaktować się z rodziną. Zgodnie ze standardami Międzynarodowej Organizacji Pracy, warunki, w jakich są przetrzymywani, spełniają wszelkie kryteria pracy przymusowej. Do kieszeni tych współczesnych niewolników trafia tylko 10 proc. ich wynagrodzenia, ponieważ resztę zatrzymuje państwo. W ten sposób reżim Kim Dzong Una pozyskuje obce waluty.

Obecność północnokoreańskich marynarzy na jednostkach pływających stanowi naruszenie sankcji ONZ nałożonych na Pjongjang w 2017 r. W mediach od dawna pojawiały się doniesienia, że Pekin i Moskwa łamią ten zakaz, zatrudniając pracowników z KRLD, jednak teraz po raz pierwszy udało się oficjalnie udokumentować to zjawisko. Według danych Departamentu Stanu USA w samych Chinach może pracować 20–100 tys. obywateli Korei Północnej.

Grzegorz Górny

Turcja

BRICS 2024

W poczekalni do BRICS

Turcja, która przez blisko 30 lat bezskutecznie starała się o członkostwo w Unii Europejskiej, wyraziła zamiar przystąpienia do BRICS. Na razie wygląda jednak na to, że jej starania o wejście do chińsko-rosyjskiego bloku również nie będą łatwe.

BRICS nazwano od pierwszych liter członków założycieli tego bloku: Brazylii, Rosji, Indii, Chin i RPA. Jego celem jest współpraca gospodarcza, dyplomatyczna i militarna, a spoiwem rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi oraz państwami zachodnimi. W styczniu 2024 r. BRICS zaoferowało członkostwo sześciu krajom. Iran, Egipt, Etiopia i Zjednoczone Emiraty Arabskie przyjęły zaproszenie. Argentyna, po objęciu władzy przez prezydenta Javierę Mileia, odmówiła. Z kolei Arabia Saudyjska nie podjęła żadnej decyzji w tej sprawie.

Na październikowym szczycie BRICS w Kazaniu pojawił się prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan, którego kraj zgłosił zamiar przystąpienia do bloku. Stwierdził on wtedy, że BRICS „wnosi wyjątkowy wkład w budowę bardziej sprawiedliwego porządku globalnego, służąc wzmocnieniu światowego handlu, wzrostu gospodarczego i celów zrównoważonego rozwoju”.

Jednak oprócz Turcji zainteresowanie wejściem do bloku zgłosiło aż 30 innych państw. Ostatecznie podjęto więc decyzję o stworzeniu nowej kategorii tzw.

partnerstwa, które nie daje przywilejów wynikających z pełnego członkostwa. Ten status zaproponowano Ankarze. Było to upokarzające dla Turcji, która została ustawiona w jednym szeregu z państwami znacznie mniej rozwiniętymi od niej gospodarczo i militarnie, takimi jak Kuba, Białoruś czy Uzbekistan. W tej sytuacji ofertę partnerstwa odrzucono.

Pod koniec lutego odbyły się rozmowy pomiędzy szefami dyplomacji Turcji i Rosji. Turecki minister spraw zagranicznych Hakan Fidan nazwał BRICS „niezwykle inkluzywną” organizacją w odróżnieniu od Unii Europejskiej. „Łączy ona kraje każdego koloru skóry, religii, kultury i cywilizacji – muzułmańskie, chrześcijańskie, hinduistyczne, buddyjskie; czarne, białe – tworząc platformę, która obejmuje różnorodność” – chwalił. Mimo to niewiele wskórał i Turcja pozostała w poczekalni.

W odróżnieniu od nowych członków BRICS, których głównym zasobem są surowce (w szczególności ropa naftowa), Turcja ma znacznie więcej do zaoferowania. Przede wszystkim – jak wskazują komentatorzy – jest członkiem NATO i dzięki temu ma wgląd w metody działania Sojuszu. Wydaje się jednak, że problemem mogą być globalne aspiracje Ankary, która chciałaby wykorzystać BRICS jako dźwignię własnych interesów. Chinom i Rosji najwyraźniej to nie odpowiada. **✚**

Konrad Kołodziejcki

Clean Industrial Deal, czyli Zielony Ład na sterydach

Bruksela znowu to zrobiła. Myśleliście, że Zielony Ład to szczyt ich kreatywności w niszczeniu europejskiego przemysłu? Nic z tych rzeczy! Oto nadciąga Clean Industrial Deal – wersja 2.0, nowa, jeszcze bardziej absurdałna, jeszcze bardziej utopijna i rzecz jasna jeszcze droższa. A skoro Zielony Ład działa tak świetnie, że ceny energii szybują, fabryki się zamykają, a Europa traci konkurencyjność szybciej niż francuski rząd popularność, to czemu nie przycisnąć jeszcze bardziej?



Oczywiście wszystko podlane sosem wielkich, pustych sloganów o „zielonej rewolucji przemysłowej”, „wzmocnieniu europejskiego sektora” i „innowacyjnych rozwiązaniach”. Brzmi pięknie, prawda?

A teraz usiądźcie wygodnie. Sprawdzmy, co się za tym kryje.

W Clean Industrial Deal wszystko się zgadza – prócz podstawowej rzeczy: pieniędzy. Bo skąd Unia je weźmie? To proste – magicznie się pomnożą! Bruksela chyba pozazdrościła cudów finansowych znanych z latynoskich republik i postanowiła, że miliardy na transformację przemysłową pojawiają się same. Skąd? Nie wiadomo, ale czy to istotne? Będzie fundusz, będą dotacje, a jak zabraknie, to podniesiemy podatki, dołożymy kolejne opłaty za emisję CO₂, a przedsiębiorcy jakoś sobie poradzą... albo wyemigrują do USA, gdzie zamiast „zielonych wizji” mają tanią energię i sensowną politykę przemysłową.

Unia Europejska nadal nie przyjęła do wiadomości, że przemysł potrzebuje stabilnej i taniej energii. To drobiazg, który zupełnie umknął unijnym strategom. Przecież każdy wie, że huta stali czy zakład chemiczny może funkcjonować w oparciu o wiatraki i panele słoneczne! Co z tego, że przestanie działać, gdy nie wieje i nie świeci? Możemy wtedy po prostu zamknąć

produkcję i czekać na lepsze warunki atmosferyczne.

Clean Industrial Deal to marzenie, w którym europejskie fabryki stają się „zielone”, neutralne klimatycznie i konkurencyjne. Brzmi jak plan. Problem w tym, że nie istnieje żaden sposób, żeby osiągnąć te wszystkie cele jednocześnie. Przemysł ma być tani, bezemisyjny oraz konkurencyjny – i to wszystko naraz. To trochę jak dieta cud: możesz jeść ciastka i chudnąć, wystarczy, że przestaniesz oddychać.

Gdy UE wprowadza kolejne ograniczenia i obciążenia dla własnych przedsiębiorców, Chiny, USA i Indie zacierają ręce. Przypomnijmy, że „zielone technologie”, na których tak bardzo opiera się nowy europejski porządek, pochodzą głównie z Azji. Strategia Brukseli wygląda więc tak: zamykamy europejskie fabryki, podnosimy koszty energii, importujemy „zielony” sprzęt z Chin i udajemy, że to wszystko działa.

Nie trzeba być geniuszem ekonomii, żeby zauważyć, że to plan na gospodarczą katastrofę. I nie mówimy tu o jakiejś odległej przyszłości – to już się dzieje. Wystarczy spojrzeć na fabryki zwijające interes w Niemczech, które jeszcze kilka lat temu były potęgą przemysłową.

Clean Industrial Deal to po prostu Zielony Ład na sterydach. Jeszcze więcej regulacji, jeszcze więcej ideologii, jeszcze mniej realizmu. Europejski przemysł nie potrzebuje kolejnej dawki brukselskiej utopii – potrzebuje taniej energii, uczciwej konkurencji i warunków, które pozwolą mu rozwijać się tutaj, a nie przenosić się do Azji. Ale cóż, Bruksela wie lepiej. A jeśli fabryki padną, to zawsze można zaproponować kolejny „deal” – tym razem Clean Unemployment Deal, który będzie rozdawał zasiłki tym, którzy stracili pracę z powodu poprzednich genialnych pomysłów eurokratów.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

Chińczy zacierają ręce

Komisja Europejska zaprezentowała główne założenia projektu Clean Industrial Deal, czyli pakietu wsparcia czystych technologii, które mają się stać kołem zamachowym europejskiej gospodarki i narzędziem do walki z emisją dwutlenku węgla, którego aktualnie jest zbyt mało w atmosferze, a jego wpływu na podniesienie temperatury na Ziemi nie udowodniono naukowo.

Priorytetem UE mają być tzw. odnawialne źródła i czyste technologie. Podobnie jak w założeniach Zielonego Ładu, Europa ma być liderem tych technologii oraz wytwarzać nawet 40 proc. potrzebnych elementów i usług dla odnawialnych źródeł. Komisja przewiduje redukcję emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. do 2040 r. i całkowitą dekarbonizację do 2050 r. UE musi zwiększyć swoje roczne inwestycje w energię, innowacje przemysłowe i system transportowy o ok. 480 mld euro w porównaniu z poprzednią dekadą.

KE proponuje m.in. utworzenie Banku Dekarbonizacji Przemysłu z celem pozyskania 100 mld euro finansowania. Ma on wspierać projekty redukujące emisję, wykorzystując przychody w szczególności z zabijającego konkurencyjność europejskich firm systemu ETS. Uproszczeniu ma ulec udzielanie wsparcia na projekty z zakresu dekarbonizacji i czystych technologii przez kraje członkowskie. Powstaną indywidualne schematy pomocowe dla energetyki wiatrowej i słonecznej.

Zdaje się, że organy UE, co prawda pod zmienioną nazwą dokumentu (z Europejskiego Zielonego Ładu na Ład Czystego Przemysłu), wciąż ugruntowują zależność Unii od dostaw kontrolowanych przez Komunistyczną Partię Chin, które są niezbędne do zielonej transformacji. Polityka klimatyczna i energetyczna przykuje Unię do chińskich kluczowych minerałów, podzespołów elektronicznych i zielonej energii, tym samym niebezpiecznie podważając bezpieczeństwo narodowe państw europejskich.

Istnieje ok. 50 minerałów o kluczowym znaczeniu dla nowoczesnych technologii. Chiny dominują w tym sektorze i kontrolują 38 proc. światowych rezerw pierwiastków ziem rzadkich, 60 proc. wydobycia metali ziem rzadkich, 85 proc. ich przetwarzania i 90 proc. produkcji magnezów trwałych z metali ziem rzadkich, 80 proc. produkcji komponentów solarnych, 85 proc. globalnej produkcji baterii i 80 proc. zdolności rafinacji kobaltu.

Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej (IEA) aby prognozowana zielona transformacja miała się powieść, do 2040 r. świat musiałby zwiększyć globalną produkcję pierwiastków ziem rzadkich trzykrotnie lub nawet siedmiokrotnie. Przy obecnej strukturze rynku największą część tego wzrostu kontrolowałyby Chiny.

W ramach zielonej transformacji IEA przewiduje czterdziestokrotny wzrost popytu na lit do 2040 r. Chiny produkują ok. połowę węgla i litu potrzebnego światowemu przemysłowi, a Komunistyczna Partia Chin kupuje duże udziały w kopalniach tego metalu w krajach afrykańskich.

W latach 2022–2023 ChRL zwiększyła swoje „zaangażowanie” w technologię, taką jak baterie, pojazdy elektryczne, części

samochodowe i produkcja telekomunikacyjna o 1046 proc., a w górnictwo i rafinację metali o 158 proc. W 2023 r. Chiny wyprodukowały 85 proc. światowych baterii elektrycznych. Katoda baterii litowej potrzebuje minerałów, takich jak fosfor, kobalt, mangan lub nikiel, a anoda – naturalnego lub syntetycznego grafitu. Chiny kontrolują 82 proc. światowego wydobycia grafitu używanego w anodach baterii, 72 proc. rafinacji litu, 53 proc. rafinacji fosforanów i 68 proc. rafinacji kobaltu. Krytyczne pierwiastki ziem rzadkich są również niezbędne do produkcji katod w bateriach. Chiny dominują w łańcuchu dostaw energii słonecznej. W 2022 r. Międzynarodowa Agencja Energetyczna potwierdziła „udział Chin we wszystkich etapach produkcji paneli słonecznych” (polikrzem, sztabki, wafle, ogniwa i moduły).

Państwo Środka, nie przejmując się zmianami klimatu, stworzyło gigantyczny zielony biznes, a Unia Europejska w imię wydumanych celów klimatycznych konsekwentnie osłabia europejską gospodarkę.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

REKLAMA

**REKOLEKCJE
WIELKOPOSTNE**

Radio 106,2
Warszawa
młoda klasa

w Radiu Warszawa na 106,2 FM
w dwóch terminach:
9-15.03.2025 r. o godz. 15.40 i 20.45
6-12.04.2025 r. o godz. 15.40 i 20.45

Ojciec Nasz

MODLITWA WYZNAWCÓW
JEZUSA CHRYSTUSA

Głosi: ks. prof. Waldemar Chrostowski

09/0225/F



Walizka Joanny Białobrzeskiej

*mamy czworga dzieci, pedagoga z 30-letnim stażem,
autorki podręczników, założycielki wydawnictwa,
szkoły i przedszkola Didasko*

Od 40 lat mojej podróży przez życie towarzyszy mi mój kochany mąż. To mężczyzna, z którym wszystko buduję. Piotr zawsze mnie wspiera, wykazując przy tym niekończące się pokłady cierpliwości. Gdy słyszy, że mam nowy pomysł, robi dziwną minę, ale po chwili dodaje, że jakoś to będzie. Przez ten czas nigdy nie powiedział, że mogłabym przystopować i przestać realizować nowe projekty. Co najbardziej zaskakujące, nasze małżeństwo jest udane mimo odmiennych charakterów, bo ja jestem romantyczką i wizjonerką, a mój mąż to twardo stąpający po ziemi inżynier uczący w szkole fizyki. Gdyby nie on, moja „walizka życia” wyglądałaby inaczej. Nie miałabym czwórki dzieci, sześciorga wnucząt (choć w ogóle nie czuję się babcią). Bez inspiracji moich latorośli nie powstałoby też wiele realizacji i książek. Bagażem, który mi towarzyszy, są przemyślenia wynikające z obserwacji moich dzieci, tych dorosłych, które pozakładały domy, a także najmłodszej Tosi, która jeszcze studiuje. Jesteśmy z mężem dumni z przekazania im pasji, która napędza ich w życiu i daje satysfakcję. Polecam każdemu z rodziców, by nie patrzyli na szkolne oceny, tylko na mocne strony dzieci. Czerwone paski na świadectwach niejednokrotnie nie pomogły w życiu, bo młody człowiek nie wie, czego chce i co daje mu radość.

CZAS

Trzeba mieć czas dla najbliższych. Nawet gdy jesteśmy zawałeni robotą, kiedy przychodzi do nas dziecko z błahym z naszej perspektywy problemem, należy mu poświęcić czas. Bo to, co według nas jest nieistotne, dla małego człowieka może być osobistą tragedią – trzeba wtedy odłożyć swoje sprawy na bok, wysłuchać dziecka i dać mu narzędzie, jak sam może rozwiązać problem. Niech uczy się samodzielności.



PRZEDSZKOLE „ROŚNIJ Z DIDASKO”

Motto przedszkola brzmi: „Jestem ciekawy/ciekawa świata. Pozwól doświadczyć, zrozumieć”. To cudowne miejsce,



gdzie uczymy się pokory oraz jak być wiecznie dziećmi. Przekazując najlepsze wartości, kształtujemy dzieci, które są przecież jutrem. Placówka działa już 19 lat.



JANUSZ KORCZAK

„Dziecko jest jutrem”. Ten i inne cytaty oraz rady Starego Doktora, jak rodzice powinni wychowywać swoje dzieci, są aktualne. Korczak to jedyna znana mi osoba, która w pełni i do końca rozumiała i kochała dzieci. Nigdy nie zostawił swoich małych podopiecznych.



„ZOSTAŃ NAWIEDZONA NAUCZYCIELKA, CZYLI JAK UCZYĆ, ŻEBY NAUCZYĆ”

– napisałam wiele lat temu.

Pokazuję w niej nauczycielkom, jak ważne jest najpierw pokochanie siebie, niemaru-dzenie, zadbanie o swój wygląd i dobry czas dla siebie... Wtedy możemy zacząć rozmawiać o metodyce. I najważniejsze – nauczyciel musi znaleźć satysfakcję w swojej pracy. Jeżeli tak się nie stanie, powinien wybrać inny zawód.

„BAJKI O LITERKACH”

Tę książkę zawdzięczam Tosi. Napisałam ją dla pięciolatek, a jej bohaterką jest Tosia, która znajduje się w Królestwie Liter. Tam każda litera jest spersonifikowana, np. O jest obrażalska, B to bałaganiara, a E – elegantka. W bajce jest dużo zabawnych sytuacji, a dzieci nie tylko poznają alfabet, lecz także ludzkie charaktery.



SZKOŁA

Jej motto to: „Uczę się mimochodem”. Tutaj dzieci mają się czuć bezpiecznie i chcieć się uczyć, a ja z nauczycielami stworzyliśmy do tego odpowiednią

przestrzeń. Szkoła istnieje już 30 lat. Niezwykle jest to, że mogę obserwować rozwój dzieci w wieku 3–15 lat.

DZIENNICZEK FAUSTYNY

Nie wyobrażam sobie wyjazdu z Warszawy bez Faustyny. To fantastyczna kobieta dająca mi dużo siły i motywacji. Powiedziała, że pokora to stanąć w prawdzie. To najważniejsze zdanie stale trzymam w sercu, walcząc o prawdę i dobro dzieci.

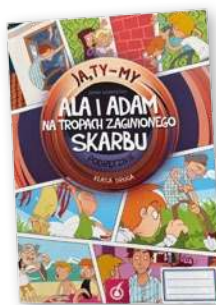


ŚW. HILDEGARDA

Kolejna święta, która mi stale towarzyszy. Komponowała muzykę, malowała, jako pierwsza kobieta zajęła się ginekologią. Mówiła, że trzeba się troszczyć o swoje ciało i wygląd. Walczyła o dostęp kobiet do edukacji. Dla swojego zakonu zbudowała klasztor z kanalizacją.

MAŁA TERESKA

Św. Teresa z Lisieux, zakonnica, mistyczka, patronka Francji i misjonarzy, bardzo zabawna i romantyczna osoba, zakochana w Jezusie.



„ALA I ADAM NA TROPACH ZAGINIONEGO SKARBU”

To jedyny na świecie podręcznik do klasy II, który jest powieścią sensacyjną. Czyta się go jednym tchem. Zilustrowany zdjęciami przedstawia Alę i Adama, którzy szukają skarbów na terenie szkoły. Bogaty w merytoryczny materiał podręcznik oprócz walorów poznawczych zawiera wartości wychowawcze.

DOBRA KUCHNIA

Uwielbiam gotowanie i włoską kuchnię. W przedszkolu nazywam się Ciocia Palce Lizać. Na zajęciach gotujemy z dziećmi, kisimy ogórki, mamy święto czekolady, święto jabłka i wiele innych kulinarnych wydarzeń.



Wysłuchał i zapisał **Michał Korsun**

Ostateczne starcie



Samuel Pereira

Zbliżające się wybory prezydenckie to polityczny punkt zwrotny, który zadecyduje o przyszłości dwóch największych ugrupowań – Koalicji Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości. Dlaczego? Wskazuje na to dynamika polityczna, która towarzyszy zbliżającej się w maju rozgrywce. Dla jednych to szansa nie tylko na utrzymanie władzy, lecz także jej zmonopolizowanie w dotychczasowej, autorytarnej formie rządzenia, dla drugich – do udowodnienia, że wolta z 15 października 2023 r. była tylko ewenementem wymierzenia ostatecznego ciosu przeciwnikowi i rozliczenia winnych nadużyć.

Dla KO stawka jest ogromna. Przegrana oznaczałaby, że sukces z wyborów parlamentarnych był tylko wypadkiem przy pracy, a zwycięstwo kandydata popieranego przez PiS umocniłoby narrację, że Polacy nie chcieli zmiany. Z kolei prezydenckie weto mogłoby zablokować zapędy rządu i obiecane projekty. To na pewno byłoby wykorzystywane do usprawiedliwienia, ale jednak wyborcy oczekują dziś sprawczości, a nie tłumaczeń, że się nie da. Do tego wygrana kandydata niezależnego od obozu władzy mogłaby się stać początkiem głębszej zmiany. Prezydent krytyczny wobec Donalda Tuska mógłby

temperować autorytarne zapędy, a nawet doprowadzić do zmiany rządu i stać się katalizatorem rozliczeń za zamach stanu. Pociągnięcie do odpowiedzialności osób odpowiedzialnych za próbę zmiany ustroju państwa siłą stałoby się wówczas realne.

Dla PiS te wybory to walka o polityczne przetrwanie. Przegrana Karola Nawrockiego byłaby ciosem w prestiż partii, podważenie jej całej narracji i oceny stanu państwa oraz początkiem okresu politycznej smuty. Czy Prawo i Sprawiedliwość ma tego świadomość?

Obecna większość parlamentarna już niejednokrotnie pokazała, z jaką łatwością łamie prawo, dążąc do niekontrolowanej, wręcz autorytarnej władzy. Zdobycie przez nią pałacu prezydenckiego jeszcze bardziej wzmocni te tendencje, otwierając drogę do totalnej anihilacji największego ugrupowania opozycyjnego, tj. partii Jarosława Kaczyńskiego. Wybory prezydenckie będą więc czymś znacznie więcej niż politycznym rytuałem – to starcie dwóch wizji Polski, a jego wynik zdecyduje o układzie sił na dekady.

Europa śle twitterowe wsparcie, a Trump plan realnego zakończenia wojny

WBiałym Domu awantura, europejscy liderzy oburzają się na stanowisko Donalda Trumpa, a tymczasem Zelenski, po fali niezadowolenia zachodnioeuropejskich elit, niemal natychmiast zadeklarował gotowość do negocjacji. O czym to świadczy? Że znów jak wielokrotnie w historii amerykański prezydent musi brutalnie przypomnieć Europie, że rzeczywistość nie składa się z frazesów o wartościach, lecz z realnej polityki, w której liczą się interesy i siła.

Kiedy Trump uderzył pięścią w stół, w liberalnych mediach zawrzało. Pojawiły się oburzone wpisy i deklaracje pełne moralnego oburzenia, ale zaledwie kilka godzin później wszystko to stało się już nieaktualne. Zelenski, który jeszcze przed chwilą stawiał twarde warunki, już następnego dnia był gotów wrócić do rozmów o pokoju. To nie przypadek – to pokaz siły, której tak bardzo brakowało przez ostatnie lata.

Przez całą prezydenturę Bidena Zachód kręcił się w błędnym kole znaczącego, ale jak widać nieskutecznego na tyle, by zakończyć wojnę, wsparcia dla Ukrainy, a w konsekwencji przedłużano konflikt bez żadnej strategii wyjścia. Tyśiące ciepłych słów na internetowych platformach, miliardy dolarów i euro, a efekt? Wojna trwa, Rosja się okopuje, a Ukraina płaci najwyższą cenę. Tymczasem Trump w swoim bezpośrednim, biznesowym – co by nie mówić – stylu jasno daje do zrozumienia, że nie można bez końca godzić się na trwanie ludzkich istnień i wydatkowanie coraz większych zasobów, także materialnych, bez szans na realne zakończenie konfliktu. To właśnie wybrzmiało w Gabinetie Ovalnym.

Są dwa kluczowe powody, dla których Trump musiał interweniować. Po pierwsze, jeśli USA nie będą odważnie kształtować globalnego bezpieczeństwa, stracą swoją pozycję lidera, a wtedy ich miejsce zajmą oczywiście Chiny. Historia poka-

zuje, że kiedy Ameryka słabnie, świat wpada w chaos, a autorytarne reżimy rosną w siłę. Po drugie, Trump patrzy na świat z perspektywy biznesmena: skoro USAłożą na NATO więcej niż reszta członków razem wziętych, to mają prawo wymagać rozsądnej polityki. A w tej sytuacji rozsądek oznacza jedno – wypracowanie pokoju dla Ukrainy.

Europa musi zrozumieć, że nie da się dłużej żyć w iluzji, że „mocne deklaracje” czy „jedność Zachodu” same w sobie zakończą wojnę. Jak w biznesie, tak i w polityce międzynarodowej liczą się konkretne kroki i realna siła. Trump pokazał, że ma odwagę powiedzieć to głośno. Ba, nie tylko powiedzieć, bo to przecież robi Europa. Trump ma odwagę przejść do czynu...

Arkadiusz Mularczyk



W gąszczu Zielonego Ładu



Jan
Pietrzak

Sądząc po jaskrawym słońcu za oknem, zachodzi prawdopodobieństwo, że do akcji wkroczyła niejaka wiosna. Ponieważ staję się coraz bardziej nieufny wobec rzeczywistości, wypuściłem na przespiewiegi pieska do ogródka, by przyjrzał się z bliska. Potwierdził, merdając ogonkiem przypominającym indiański pióropusz.

Gdybym żył w normalnym kraju, natychmiast wystawiłbym w kabarecie program pt. „Wiosna nas pogodzi”. To była tytułowa piosenka jednego z pierwszych programów studenckiego kabaretu Hybrydy (ok. 1963 r.). Z niesamowitą werwą i wdziękiem śpiewała ją Janka Ostala. Piosenka pochodziła z przedwojennych kabaretów. Jak widać, próby godzenia Polaków nie są nową praktyką. Niestety także cenzurowanie kabaretów ma długą tradycję.

W obecnej, zdominowanej przez Niemców Polsce nie ma żadnej możliwości, bym wystąpił w jakiegokolwiek sali, przestrzeni czy estradzie zależnej od magistratu lub rządu. A to dla mnie ważne, choć nie jedyne kryterium „normalności”, do której na wiecu wyborczym namawiał pan Karol Nawrocki. Brawo! Popieram i zachęcam innych! Już dawno polemizowałem z diagnozą obecnego premiera Tuska, że polskość to nienormalność. Z niemieckiego punktu widzenia oczywiście tak. Ale dla Polaków nienormalnością jest Tusk! Należy mu współczuć obecnej sytuacji geopolitycznej, w której tak się wszystko skomplikowało, że nawet zdecydowani i konse-

kwentni politycy tracą orientację, kogo popierać, a kogo zwalczać w tym tygodniu. A co dopiero on, który między konferencją w Londynie a naradą w Eisenhüttenstad musi zmieniać taktykę, narrację i ortęgę swego rządu. Na domiar złego, ponieważ nowy rząd niemiecki dopiero ogarnia się personalnie, nie ma z kim skonsultować bieżących spraw.

Długoletnia protektorka von der Leyen, która publicznie namaściła polskiego premiera, bez zaplecza umysłowego Timmermansa sama jest pogubiona w gąszczu Zielonego Ładu i oparach dwutlenku węgla.

By nie zapomnieć, że w gruncie rzeczy jestem kabareciarzem, mówię i śpiewam o tych ciekawych tematach jedynie na domówkach. Dokładnie tak jak w stanie wojennym, po 13 grudnia 1981 r. Dobrze jest długo żyć i korzystać z nabytych doświadczeń, ale marnie jest widzieć, jak my, Polacy, dajemy sobą manipulować, dajemy się bezczelnie okradać, jak pozwalamy na niszczenie nadziei i plugawienie polskości. A propos: pieśń „Żeby Polska była Polską” jest zakazana we wszystkich radiostacjach i telewizjach. Tak się porobiło w jubileuszowym roku 45-lecia Solidarności, której była spontanicznym hymnem. Pozdrowienia dla weteranów, którzy pamiętają, jak nam były wtedy serca, jak wierzyliśmy, że to jest możliwe. Ja wierzę do dziś, ale muszę jeszcze trochę pożyć, by doczekać. Nie będzie łatwo, bo w kwietniu kończę 88 lat!

To nie jest po prostu jedna z ról

Z aktorką **Marią Jużwin** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak zareagowała pani na propozycję zagrania Maryi w filmie „Ja jestem Niepokalane Poczęcie”?

Maria Jużwin: Muszę przyznać, że nie do końca zdawałam sobie sprawę, z czym będziemy się mierzyć: ja i Kamil Przysiał, który wcielił się w postać Jezusa. Na pierwszym spotkaniu z reżyserem, kiedy próbowaliśmy nazwać najważniejsze aspekty tej pracy, sądziłam, że będzie to kolejne zadanie aktorskie. Kiedy jednak już na planie zaczęliśmy odgrywać sytuacje, tak dobrze znane ludziom na całym świecie, tak ikoniczne (zarówno jeśli chodzi o postacie, jak i zdarzenia), dotarło do mnie, że to nie jest po prostu jedna z ról, którą aktorowi przychodzi zagrać, ale bardzo ważne i wielowymiarowe spot-

kanie. Zarówno dla mnie, jak i dla wielu ludzi, którzy na ten film przyjdą, aby zgłębić historię Maryi i Jezusa. Aby przejść duchową drogę. Spotkać się ze swoją wiarą albo z jej brakiem.

Fabularyzowany dokument Michała Kondrata u progu Wielkiego Postu wprowadza widzów w wyjątkowy czas. Pomaga też zrozumieć, co znaczą i jakie konsekwencje niosą zawarte w tytule słowa (wypowiedziane podczas objawienia w Lourdes w 1858 r.). Jaka jest Maryja w tym filmie?

Jest bardziej współczesna, współludzka, świadoma przyszłości. Oczywiście przeżywa nadciągające zdarzenia, ale jako ktoś, kto godzi się na to, co ma się wydarzyć. W rozdzierającym serce finale

nie jest rozhisteryzowana, chociaż przecież syn umiera na jej rękach.

To niezwykle poruszająca scena. Jak ją pani odbierała?

Obraz biblijnej piety jest bardzo symboliczny. W oczywisty sposób nawiązuje do historii sztuki, a także do współczesnego świata, w którym toczą się okrutne wojny, giną ludzie, dzieci umierają matkom na rękach. Wydaje mi się, że oprócz tej oczywistej, biblijnej sfery w tym filmie i w postaci Maryi jest też bardzo ludzka, współczesna tragedia matki, której syn został poświęcony. Ona na to patrzy, płacze nad nim, a jednocześnie przyjmuje to cierpienie z wiarą, oddaniem, świadomością.



TRENDY I OWĘDY

Złodzieje mianowani

Okradziono mały sklep. Butik dla praktycznie stałego grona klientów. Jak można się domyślić, lupy nie były cenne. Trochę gotówki z kasy, do tego wybita szyba i bałagan nawet na zapleczu. Właścicielka miała w pomieszczeniu kamerę, która zarejestrowała plądrowanie i niezbyt atrakcyjną fizjonomię złodzieja. Kobieta wrzuciła do sieci fragment filmu, żeby ostrzec innych. Policja, która została wezwana do włamania, ostrzegła ją, że nie można zamieszczać takiego nagrania, bo jest RODO, ochrona wizerunku i ogólnie prawo złodzieja do bycia anonimowym musi być przestrzegane. Bo mogą być konsekwencje. Oczywiście nie dla przestępcy.



Ryszard Makowski

Takie zjawiska znamy też w makroskali. Na ekranach często pojawiają się osoby, o których krąży wieść gminna, że przywłaszczyli nie marne tysiące, tylko grube miliony. Takich przypadków też nie można rozgłaszać. Bywa, że osoby podejrzane o defraudację są ozdobą palestry i wręcz zastraszają, że nawet podanie tweeta sugerującego cokolwiek na ich temat może się skończyć odsiadką.

Ale ponieważ w przyrodzie musi być równowaga, okrzyknięto złodziejami tych z PiS. Niepotrzebne były sądy ani monitoringi, wyrok wydały media wsparte przez koślawe komisje. Ośmiogwiazdkowy elektorat zadziałał jak pudło rezonansowe i dzięki temu mamy mianowanych złodziei. Nieważne, że nie kradli. Wprost przeciwnie, fundowali wozy strażackie.

Znaleźliśmy się w swoistym science fiction, gdzie nie trzeba kraść, by zostać okrzykniętym złodziejem. Za to jak naprawdę kradniesz, system cię ochroni. I co się dziwić, że na złodzieju czapka karakułowa.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

„NIE JESTEŚCIE SAMI”. TAKIE SŁOWA DONALD TUSK SKIEROWAŁ DO UKRAIŃCÓW. W PODOBNYM TONIE W ZESZŁYM ROKU PREMIER ZWRÓCIŁ SIĘ DO POLSKICH POWODZIAN...! MUSIELI SAMI DAĆ SOBIE RADE.



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA
AUTORY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, ~~LESZEK DEJGOSZ~~, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI,

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.

PREZES: ROMUALD ORZEŁ
 UL. LEGIONÓW 126-128,
 81-472 GDYNIA
 REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL



DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOKOWSKA,
 MARIOLA.BARCOKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
 MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
 ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
 LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOREDAKCYJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
 TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
 PRENUMERATA@FRATRIA.PL

REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
 WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
 W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
 WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
 KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
 REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
 WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
 (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
 REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
 OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
 POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
 BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
 PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
 ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. ANDRZEJ WIKTOR X3, BEATA ZAWRZEŁ, REPORTER, PRZEMEK ŚWIDERSKI, REPORTER,
 TRAE PATTON, THE ACADAMYCIAM.P.A.S., EMILIA PRĄSZEWICZ, SHUTTERSTOCK/PAPRAPAZZA,
 MARVIN ELFAWISZ, TITONIZ

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

* Dane do przelewu na stopce redakcyjnej



Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci”, abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
118 zł	207 zł	375 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)





Plan na zwycięstwo

Zgodnie z tym, co przed dwoma tygodniami pisaliśmy w tygodniku „Sieci”, na konwencji w Szeligach zobaczyliśmy „Nawrockiego 2.0”. To był pokaz siły kandydata oraz stojącego za nim zaplecza. Nic więc dziwnego, że w sztabie panuje stoicki spokój. Nie przejmują się ani rosnącym poparciem dla Sławomira Mentzena, ani niskim poparciem wśród najmłodszych wyborców. I mają ku temu powody

Trwające ponad dwie godziny przemówienie było mocnym otwarciem kolejnego etapu wyborczego wyścigu. „Plan 21”, czyli szkielec programu, z którym kandydat rusza w dalszą część trasy po Polsce, był wszechstronny i dość szczegółowy. Do tego dobrze przedstawiony, z energią. To nie było deklamowanie obietnic wyborczych przygotowanych przez sztab, ale żywa, autorska wizja Polski, z którą kandydat autentycznie się utożsamia.

**MAREK PYZA**

Dostrzegli to również komentatorzy z założenia nieprzychylni Nawrockiemu i nawet w lewicowo-liberalnych mediach można było usłyszeć, że kandydat bardzo się zmienił na plus i po prostu dobrze wypadł.

– Wielu wątpiło w przyjętą na początku strategię, a ona okazała się skuteczna. Konwencja pokazała, że Karol stał się pełnoskalowym politykiem. Byli tacy, którzy mówili, że on potrafi mówić tylko o historii, że nie zna się na polityce itd. A co mamy dziś? Kandydata, który przez 130 minut opowiada z głowy o wszystkich aspektach funkcjonowania Polski. Biegle porusza się w sprawach gospodarczych, wojskowych, społecznych, międzynarodowych. A do tego robi to lekko, przekonująco, kiedy

Fot. @Nawrocki25/x.com

trzeba, to z humorem. W każdej chwili może pójść do telewizji, niekoniecznie mu sprzyjającej, i odpowiadać na pytania o wiatraki, fotowoltaikę, ale też Kraby i HIMARS-y. W sytuacji startowej wcale to nie byłoby takie jednoznaczne, bo jako szef ważnej instytucji państwowej siłą rzeczy koncentrował się na obszarze mu bliskim. W ciągu tych paru tygodni pokazał, jak wielki potencjał intelektualny w nim drzemie – wspomina wydarzenie sprzed tygodnia jeden ze sztabowców.

Kolejny podsumowuje: – Poza świetnym wystąpieniem Karola był Piotr Duda, który odwoływał się do naszych spraw sztabowych, czyli polityki społecznej. Sama obecność Rafała Ziemkiewicza spowodowała spore nerwy po stronie Konfederacji, bo wydawało im się, że to ich człowiek. Prof. Nowak to klasa sama w sobie, jeden z najwybitniejszych umysłów w dzisiejszej Polsce, co słysząc w każdym jego wystąpieniu. Marta Kaczyńska w piękny sposób odniosła się do spuścizny śp. Lecha Kaczyńskiego. A na koniec prezes nie pozostawił złudzeń co do wiary w naszego kandydata. Do tego trochę inna formuła całego wydarzenia, prowadzące dwie kobiety. To wszystko przełamało dotychczasowe spojrzenie na tę kampanię oraz na Prawo i Sprawiedliwość.

Teraz czas na ciężką pracę każdego dnia, by móc się cieszyć 1 czerwca. Tu ważne zastrzeżenie: właśnie ta data jest kluczowa w sztabowym kalendarzu. Pierwsza tura to tylko etap, na którym, sięgając po terminologię kolarską, można zdobyć lotną premię. Wszyscy wokół Nawrockiego patrzą na metę, czyli dzień dogrywki.

JAK TO WYGRAĆ?

Jaki jest plan na pokonanie Rafała Trzaskowskiego? Czy należy się przejmować rosnącymi sondażami Sławomira Mentzena? Jaką rolę odegrają najmłodszy wyborcy i czy jest możliwe przekonanie ich do kandydata PiS? Jak traktować analizy o kobietach, które jednak chętniej zgłaszają na wiceprzewodniczącą PO? Jak poradzić sobie z brakiem równowagi medialnej i finansowej w tej kampanii? I wreszcie: czy wybory prezydenckie w Polsce mogą być skrecone przy udziale zagranicy, z którą kolaboruje obóz Tuska?

Pytań jest wiele, wciąż bowiem mówimy o trudnym zadaniu, które stoi przed Karolem Nawrockim, mozołnie goniącym kandydata Koalicji Obywatelskiej.

Jak słyszymy w sztabie tego pierwszego, nie ma złotej recepty na przekonanie 50 proc. plus jednego Polaka, musi się na to złożyć kilka czynników. Kolejny z naszych rozmówców wskazuje na cztery kwestie: – Po pierwsze, podstawą jest ciężka praca i codzienna aktywność. Karol jest człowiekiem pracowitym i odpornym, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. On sam zresztą tę aktywność nakręca i daje to efekt. Uściśnął tysiące dłoni, odwiedził połowę powiatów, druga połowa przed nim. Po drugie, widać daleko idące rozczarowanie polityką rządową. Nawrocki

Karol ma rację, mówiąc, że głosowanie 18 maja będzie wotum nieufności dla gabinetu Tuska. Musimy pokazywać, dlaczego Polska będzie lepsza, jeśli nasz kandydat wygra – słyszymy w sztabie Nawrockiego

ma rację, mówiąc, że głosowanie 18 maja będzie wotum nieufności dla gabinetu Tuska. Musimy pokazywać, dlaczego Polska będzie lepsza, jeśli nasz kandydat wygra. Ten rząd nie jest w stanie już nic dobrego sam z siebie dla Polaków zrobić. Jedyne, co ich łączy, to nienawiść do prawicy i chęć organizowania igrzysk.

Tu pada przykład ostatniego posiedzenia Sejmu, na którym w porządku obrad znalazło się pięć projektów ustaw, z czego cztery zgłosiły kluby opozycyjne. – Rządzą dziś nieroby i musimy to zmienić – konkluduje polityk PiS. I wraca do wylizczanki:

– Po trzecie, widoczny jest przechył Polaków w prawą stronę. Zwłaszcza młodzi ludzie są rozczarowani Polską 2050. Wiadać, że Szymon Hołownia nie był żadną trzecią drogą dla Polski, lecz drogą Tuska

do powrotu do władzy i jego pomagierem. Wielu jego wyborców przerzuca głosy na inne podmioty, zwłaszcza na Konfederację. Liczymy na to, że duża część z nich w drugiej turze zgłoszy na kandydata PiS. Punkt czwarty to przypomnienie o wiarygodności. W przeciwieństwie do Trzaskowskiego – zastępcy Tuska – my jesteśmy wiarygodni. Można nas krytykować za różne rzeczy, ale jednak zdecydowana większość obietnic składanych przez PiS została zrealizowana. Rządząca dziś koalicja nie dowodzi nic.

Rzeczywiście, zabraknie jednego tchu, by wylizczyć to, czym PiS może się pochwalić choćby w obszarze podatkowym, na który akcent położył Nawrocki w Szeligach. To przecież obniżenie podatku PIT o 1 pp dla wszystkich, a dla młodych poniżej 26. roku jego zupełne zniesienie, zwiększanie kwoty wolnej od podatku, obniżenie VAT na żywność (w czwartek sejmowa większość nie zgodziła się na jego ponowne obniżenie). To wszystko rzeczywiście dało ludziom poczucie, że w czasie kłopotów państwo za nimi stoi. Dziś nie ma takiej reakcji na kryzysy.

RUMUNIA 2.0?

Polacy zaczynają to widzieć, stąd sukcesywnie słabnące notowania Donalda Tuska. Premierowi oraz Trzaskowskiemu nie pomaga też polityka zagraniczna rządu i abdykowanie z choćby próby narzucania polskiego punktu widzenia w sprawach bezpieczeństwa. Kolejne szczyty poświęcone wojnie (i pokojowi) na Ukrainie odbywają się wszędzie, tylko nie w Warszawie, a szef polskiego rządu w ciągu kilku godzin zmienia zdanie w kluczowych kwestiach sojuszniczych.

Taką polityką ciężko będzie zbudować wizerunek wiceszefa PO jako reprezentanta obozu odpowiedzialnie podchodzącego do polskiego bezpieczeństwa. – Nasi konkurenci będą przekonywać, że pan Trzaskowski ma jakieś dobre kontakty na szczeblu międzynarodowym. Ale w jakim środowisku? No lewicowym, które wpędziło nas w dzisiejsze turbulencje, a my potrzebujemy dziś twardych gwarancji natury bezpieczeństwa, obecności amerykańskiej w Polsce. To Karol Nawrocki jest gwarantem kontynuacji dobrej linii

Andrzeja Dudy w polityce bezpieczeństwa – słyszymy od jednego ze współpracowników Nawrockiego.

Ale czy aby na pewno większość Polaków ma w ogóle szansę to wszystko dostrzec? Jak podkreślają sztabowcy PiS, boisko w tej grze jest wybitnie nierówne: – Nie mieliśmy wyjścia i musieliśmy skupić naszą kampanię na internecie, a zwłaszcza społecznościówkach. W tradycyjnych mediach jesteśmy traktowani skandalicznie nieobiektywnie. Albo Nawrockiego przemilczają, albo szukają każdego powodu, by go zaatakować. Pełnią rolę wykonawczą dla Tuska. Nie mamy pieniędzy na kosztowne kampanie reklamowe w telewizji, bo minister finansów bezprawnie nie wypłaca nam środków budżetowych, stąd przesunięcie funduszy na sieć. Korzystamy z wolności słowa w internecie, mamy nadzieję, że będziemy mogli się nią cieszyć jak najdłużej, choć w Unii Europejskiej chcą i to nam zabrać.

W zeszłym tygodniu groźne zapowiedzi dotyczące polskich wyborów nadeszły z Brukseli. Wiceszefowa Komisji Europejskiej Henna Virkkunen w rozmowie z niemieckim portalem Deutsche Welle zapowiedziała, że KE zorganizuje okrągły stół w sprawie wyborów w Polsce. Fińska eurokratka twierdzi, że to standardowa procedura, która ma na celu m.in. ograniczenie dezinformacji w mediach społecznościowych. „Nie mogą być nadużywane ani manipulowane, powinny mieć systemy, które zapobiegają rozprzestrzenianiu się dezinformacji. Powinniśmy też przyjrzeć się ich systemom rekomendacji, jakie treści promują. W Niemczech zrobiliśmy przed wyborami »test wytrzymałościowy« [...] współpraca z Niemcami przebiegała dobrze i jestem pewna, że będziemy również ściśle współpracować z władzami polskimi. Obywatele UE mają prawo mieć pewność, że wybory są uczciwe i wolne. A przez systemy rekomendacji treści i przez same treści rozpowszechniane przez platformy internetowe jest to bardzo trudne” – powiedziała Virkkunen. Czy szanowny czytelnik przypomina sobie podobne zapowiedzi i „okrągłe stoły” w Polsce np. w 2023, 2020, 2019 r. lub innych? Wygląda na to, że brukselscy zamordyści wysmażyli zupełnie nowy „standard”

mieszania się do wyborów w państwach członkowskich, by kontrolować kampanijne przekazy.

Na dodatek zapowiedź Finki zbiegła się w czasie z serią spotkań Rafała Trzaskowskiego w Brukseli. Czyżby szykowano się do powtórki ze scenariusza rumuńskiego, gdzie bezceremonialnie unieważniono pierwszą turę wyborów prezydenckich wygraną przez „niewłaściwego” kandydata? Europosłowie PiS zażądali wyjaśnień od KE i debaty w tej sprawie, a Jarosław Kaczyński ocenił, że „to jest obrona tego odrażającego tzw. liberalno-demokratycznego, a w istocie antydemokratycznego systemu przed zmianą, przed odbudową demokracji”.

Nie mieliśmy wyjścia i musieliśmy skupić naszą kampanię na internecie, a zwłaszcza społecznościówkach. W tradycyjnych mediach jesteśmy traktowani skandalicznie nieobiektywnie – mówią sztabowcy Nawrockiego

Pokazuje to, jak ważny jest Ruch Kontroli Wyborów koordynowany przez Przemysława Czarnka, który chyba nie spodziewał się, że demokratycznego systemu trzeba będzie pilnować nie tylko w dniu elekcji, lecz także w trakcie kampanii.

SILNY MENTZEN? DOBRY ZNAK

Kolejną kwestią coraz częściej akcentowaną w prezydenckim wyścigu jest to, jak dużym zagrożeniem dla Nawrockiego okaże się rosnący w siłę lider Konfederacji. W niektórych badaniach Sławomir Mentzen ma poparcie przekraczające 20 proc., a w jednym (mało kto w nie uwierzył) przekroczył nawet Karola Nawrockiego. O tym, jak niewiele warte są te sondaże, mówi zresztą sam szef Nowej Nadziei, przekłu-

wając ten balon w Republice: „Mam pełną świadomość, że niektóre sondażownie zawyżają mój wynik czy niektórych moich konkurentów po to, żeby wywołać tutaj jakieś problemy. Niestety mam świadomość takich działań i nie zamierzam grać w tę grę, nie zamierzam grać w tym scenariuszu, który ktoś tutaj napisał [...]. Podejrzewam, że ta »pompka«, którą ostatnio dał mi mainstream, nie jest przypadkowa”.

Dodał też, że według niego „próbując poróżnić wyborców Konfederacji i wyborców PiS”.

To wyraźny sygnał pojednawczy, który mówi jeszcze więcej, gdy doda się kolejne słowa Mentzena: „Pod każdym względem uważam, że zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego domknęłoby system i na długie lata uniemożliwiło, a być może pozabawiło nas szans na przyszłą polską niepodległość, na suwerenność państwa polskiego. Rafał Trzaskowski to jest olbrzymie zagrożenie i dlatego trzeba zrobić wszystko, żeby on tych wyborów nie wygrał”.

Jeśli dolożymy do tego jeszcze wypowiedź Krzysztofa Bosaka w Polsat News („Ważne jest, żeby wygrał ktokolwiek, byle nie Trzaskowski”), zobaczymy, że politycy Konfederacji nie planują ostrej walki z Nawrockim i przed drugą turą możliwe jest udzielenie przez nich poparcia kandydatowi PiS, jeśli to on wejdzie do decydującej rozgrywki.

Z drugiej strony też pojawiają się przyjazne gesty pod adresem Mentzena. Nawrocki zapowiedział, że jeśli zostanie prezydentem, zaprosi prezesa Nowej Nadziei do wspólnych prac nad obniżaniem podatków.

Jest zatem pole do współpracy, ale w PiS dobrze pamiętają, co się stało pięć lat temu. Wtedy połowa z 1,3 mln wyborców głosujących w pierwszej turze na Krzysztofa Bosaka w drugiej poparła Trzaskowskiego. Ale wtedy Konfederaci nie apelowali o głosowanie na Andrzeja Dudę. Czyżby w tym roku miało być inaczej?

Jest jeszcze jeden aspekt kampanii Sławomira Mentzena, na który mało kto zwraca uwagę. Owszem, jego kampania jest niezwykle intensywna, ale pozostaje z niej zaskakująco mało dokumentacji filmowej.

Kilkanaście dni temu po jednym ze spotkań kandydat został zapytany o dwa powody, dla których młodzi powinni na

niego głosować. Po dłuższym zastanowieniu poseł Konfederacji odpowiedział: „Nie lubię takich pytań. W sensie... niech pan to wykasuje”. Pan nie wykasował, poszło w świat, a wielu się zastanawia, dlaczego Mentzen popełnił tak koszmarny błąd. Z odpowiedzią przychodzi jeden z polityków PiS: – Niech pan zwróci uwagę, że spotkania Sławka nie są transmitowane w sieci. Żaden kandydat tak nie robi. Wydaje się, że to samobójcze, że powinno być odwrotnie, bo zwłaszcza przy tak wielu wydarzeniach z jego udziałem można by zalać internet wypowiedziami lidera Nowej Nadziei. Problem polega na tym, że on wymyślił wehikuł na ten wyścig, tyleż sprytny, co nieco ryzykowny. Wyuczył się jednego przemówienia i jeździ z nim po całej Polsce, czasem powtarzając kilkakrotnie jednego dnia.

Cieężko to zweryfikować, bo przemówienia Mentzena faktycznie trudno odnaleźć. A powinno być ich zatrzesienie, bo przecież tylko do zamknięcia tego wydania „Sieci” kandydat Konfederacji miał w marcu spotkania w Gryficach, Stargardzie Szczecińskim, Gryfinie, Pyrzycach, Myśliborzu, Choszczynie (1 marca), Tomaszowie Lubelskim, Hrubieszowie, Krasnymstawie (5 marca), Łęcznej, Włodawie, Parczewie i Radzynie Podlaskim (6 marca). Do końca miesiąca zaplanował odwiedzenie kolejnych 53 miejscowości, co daje w sumie imponującą liczbę 66 wieców. Na każdym trzeba coś powiedzieć. Trudno, żeby kandydat miał przygotowywać 66 przemówień miesięcznie, to fizycznie niemożliwe. Ale też dziwne jest, że choć część z tych wydarzeń nie jest w całości udostępniana w internecie.

MŁODZI I KOBIETY

Obiektywnie trzeba stwierdzić, że kampania Mentzena przynosi nieźle rezultaty. Poza ogólnym wzrostem poparcia, okazuje się, że połowa najmłodszych wyborców (w wieku 18–29 lat) chce głosować na kandydata Konfederacji. Czy to problem PiS?

– Pozornie, bo liczymy, że jeśli to odwołujemy, to tylko na pierwszej turze. Ale o młodych nie zapominamy. Przecież propozycja zwolnienia z podatku rodzin mających co najmniej dwojkę dzieci jest skierowana właśnie do nich i jest rewolu-

cyjna. Tu też można wspomnieć o postulatcie robienia kursów na prawo jazdy już w szkole czy o sprawach mieszkaniowych – przekonuje jeden z architektów kampanii Nawrockiego.

Kolejny tłumaczy: – Dla dużej grupy ludzi, którzy jeszcze parę miesięcy temu krzyczeli „j...ć PiS”, ciężko jest z dnia na dzień przerzucić swoje sympatie na kandydata Prawa i Sprawiedliwości. Powiem szczerze: z naszej perspektywy lepiej, że oni chcą głosować na Mentzena, a nie na Zandberga czy Hołownię, bo to daje dobre widoki na drugą turę. Przy głosowaniu mniej kierują się programem, a bardziej emocjami. I mogą się pojawić w kampanii jeszcze jakieś emocje, które pomogą ich

Powiem szczerze: z naszej perspektywy lepiej, że młodzi chcą głosować na Mentzena, a nie na Zandberga czy Hołownię, bo to daje dobre widoki na drugą turę – mówi jeden z architektów kampanii Nawrockiego

zagospodarować, bo nasz kandydat nie ma w tej grupie społecznej negatywnego elektoratu.

A co z kobietami? Według ostatnich prognoz Ogólnopolskiej Grupy Badawczej te bardziej niż na Nawrockiego chcą głosować na Trzaskowskiego.

Według zaplecza kandydata obywatelskiego błędem jest patrzeć na kobiety en masse, bo nie wszystkie kobiety w Polsce mają takie same poglądy i takie same problemy. – Mamy tu bardzo duże rezerwy. Do kobiet trzeba trafić poprzez dotarcie do pewnych grup społecznych, w których jest ich najwięcej. Prosty przykład – do pracownic dużych sieci trafiasz z przekazem niepodwyższania wieku emerytalnego czy obietnicą, że nie będą musiały w niedziele przychodzić do pracy. Nie sposób oczekiwać, że Karol Nawrocki zgubi kręgosłup moralny, ale w kierunku kobiet pewne

gesty będzie wykonywał, pokazując też swoją wiarygodność jako ojca, męża, opiekującego się swoją rodziną, dającego jej poczucie stabilności. Jak wszyscy wiemy, już początek związku z Martą pokazał, że Karol jest facetem w modelowy sposób zapewniającym kobiecie bezpieczeństwo – mówi członek sztabu Nawrockiego.

Kolejny dodaje, że zaczyna się etap, na którym nie będzie już miejsca na żaden błąd: – Nie popełni błędów w tej kampanii ktoś, kto jest przygotowany psychicznie, zjechał całą Polskę, patrzy na nią przekrojowo, odpowiedział na tysiące pytań. Dziś już nikt nie pamięta o historii z księdzem z Ciechanowa, a dzięki niej zostały wyciągnięte wnioski pozwalające nie popełnić

więcej tego błędu. Takim błędem może być coś, co przylgnie do kandydata i nie pozwoli mu pójść dalej. Błędem Wałęsy było powiedzenie Kwaśniewskiemu w czasie debaty, że może mu co najwyżej podać nogę, a nie rękę. Bronisław Komorowski do końca kampanii nie pozbył się łatki człowieka, którego jedyną radą dla młodych było „zmień pracę, weź kredyt”, choć akurat w przypadku tego kandydata błąd goił błęd i ostatecznie popadł w śmieszność. Pewne wypowiedzi mogą się pojawić pół roku przed wyborami, ale na kluczowym etapie już nie, bo wygenerują negatywne emocje nie do okiełznania.

Na koniec pada jeszcze jedno nawiązanie do sportu. – Karol doskonale zna pojęcie planu treningowego. Przygotowując zawodnika do ważnego startu, trzeba założyć pewne etapy pracy – raz szlifujesz motorykę, innym razem wytrzymałość, kondycję, konsekwentnie eliminujesz swoje słabe strony, a na końcu stawiasz na świeżość i odpowiedni wypoczynek przed zawodami. Zaprojektowanie kampanii pod pewnymi względami jest podobne. I dzięki temu osobistemu doświadczeniu Nawrockiego realizacja naszego planu przynosi tak dobre efekty.

Kiedy je zobaczymy? Jak przekonuje jeden ze sztabowców najbliższej współpracujących z Karolem Nawrockim, wyścig kończy się 1 czerwca, a nie 18 maja: – Trzeba tak rozłożyć akcenty, strategię, aby wygrać w II turze. W pierwszej chcemy mieć jak najlepszy wynik, ale na pewno nie damy się poróżnić ani z elektoratem, ani z liderami innych prawicowych partii.

Skok Nawrockiego

Kandydat obywatelski na prezydenta miał wejście smoka i teraz wszyscy konkurenci muszą go gonić



STANISŁAW JANECKI

W 2020 r. Rafał Trzaskowski jako kandydat na prezydenta Polski ogłosił swój program wyborczy dopiero trzy dni przed głosowaniem w pierwszej turze, a dwa dni przed ciszą wyborczą (25 czerwca, głosowanie było 28 czerwca), co było chyba rekordem świata. Uczynił to w internecie (pod szumnym tytułem „Nowa Solidarność”), a nie podczas programowego wystąpienia, które byłoby testem, na ile zna „własne” propozycje.

Karol Nawrocki, obywatelski kandydat na prezydenta Polski popierany przez Prawo i Sprawiedliwość, ogłosił

program 2 marca 2025 r., czyli 76 dni przed pierwszą turą głosowania. Wygłosił (i to z głowy), a nie zawiesił w internecie. W marcu 2025 r. wciąż nikt nie zna programu Rafała Trzaskowskiego na wybory 18 maja 2025 r. Jego wystąpienia na wyborczym szlaku stanowią zestaw banałów – przypadkowych i chaotycznych. To konferencja programowa Karola Nawrockiego 2 marca 2025 r. w Szeligach spełniła wszelkie kryteria prezydenckiego wystąpienia programowego.

W 2020 r. Trzaskowskiemu napisano program (z trzema wymyślonymi zapewne przez socjologów filarami: My i najbliżsi; Nasze otoczenie; Nasze państwo, nasza wspólnota) i opublikowano tak późno, żeby nie musiał go sam przedstawiać. Nie było więc ryzyka, że się pogubi. Na to, że stanie się tak z Karolem Nawrockim, 2 marca 2025 r. liczył przede wszystkim Trzaskowski. Nie pogubił się,

mimo że wystąpienie trwało ponad dwie godziny i obejmowało wszystkie ważne dla Polaków i Polski sprawy. O programie Trzaskowskiego z 2020 r. mówiono i pisano, że to zlepek pobożnych życzeń, też przepisanych z własnych propozycji dla Warszawy, plagiatów programowych z Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołowni. A całość sprowadzała się do stwierdzenia: „Wierzę, że obowiązkiem prezydenta jest znosić podziały i budować wspólnotę Polek i Polaków”. To samo mówi obecnie marszałek Sejmu Szymon Hołownia.

Trzaskowski tłumaczył, że jako kandydat miał najmniej czasu (został podmieniony za Małgorzatę Kidawę-Błońską) na przygotowanie i ogłoszenie programu. Tyle tylko, że to, co opublikowano, kilkusetosobowy zespół mógłby przygotować w dwa dni. W marcu 2025 r. prezydent Warszawy nie opublikował niczego, a do

improwizowanych przemówień nawet nie warto się odnosić. Tylko Karol Nawrocki dokonał przełomu w kampanii.

Zaprezentował się jako dojrzały polityk, pokazał, że jego program nie jest zewnętrzny, lecz głęboko przemyślany. I narzucił narrację w kampanii prezydenckiej 2025 r. Inni kandydaci nie będą w stanie tego zignorować. A jeśli Trzaskowski znowu coś zawiesi w internecie w ostatniej chwili, wyjdzie na kandydata, który niczego się nie nauczył i właściwie lekceważy wyborców.

NIE DO WYMIANY

Miedzy pierwszym wystąpieniem w sali krakowskiego Sokoła (24 listopada 2024 r.) a tym programowym w Szeligach nastąpił skokowy wzrost doświadczenia i jakości propozycji Karola Nawrockiego, co wynikało przede wszystkim z przyzwyczajenia się do roli polityka. Jeszcze przed 24 listopada 2024 r., a po tej dacie nawet intensywniej rządzący oraz ich medialne zaplecze przedstawiali Karola Nawrockiego jako kandydata, który na pewno zostanie wymieniony. Wręcz rozpętało kampanię, że jest tak słaby, iż musi być wymieniony, co miało wpływ na jego notowania w sondażach. Po 2 marca 2025 r. nie ma wątpliwości, że nie tylko nie będzie wymieniany, lecz także iż jest on kandydatem optymalnym, gotowym do konfrontacji z Rafałem Trzaskowskim oraz Sławomirem Mentzenem. Sytuacja po 2 marca 2025 r. jest taka, że żaden kandydat poza Nawrockim nie przedstawił pełnego, dojrzałego, profesjonalnego i atrakcyjnego (nie tylko dla wyborców PiS) programu prezydenckiego. Teraz to konkurenci muszą się odnosić do Nawrockiego, który stał się programowym, ideowym, a także medialnym liderem prezydenckiego wyścigu.

Nieprzypadkowo komentująca w TVN24 wystąpienie Karola Nawrockiego politolog prof. Małgorzata Myśliwiec pochwaliła profesjonalizm, wszechstronność i jakość „wejścia smoka” obywatelskiego kandydata na prezydenta. Lepszego w obecnej kampanii nie było i znając rywali Karola Nawrockiego, można zakładać, że nie będzie.

Karol Nawrocki zyskał przewagę nad Rafałem Trzaskowskim, gdyż wystąpienia prezydenta Warszawy jakościowo

niczym się nie różnią od tego, co prezentował pięć lat temu. Sprowadzają się do konstatacji, że jest fajny, zna kilka języków obcych, więc wybór mu się należy, tym bardziej że w 2020 r. przegrał nieznacznie. Ale przegrał i w wyborach w 2025 r. startuje jako przegrany, co z pewnym sadyzmem powtarza senator Michał Kamiński, reprezentant obozu władzy. Karol Nawrocki nie przegrał żadnych ważnych spraw i przedsięwzięć, a to, że był bardzo sprawnym i skutecznym dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej oraz jest prezesem Instytutu Pamięci Narodowej dowodzi umiejętności wygrywania.

Teraz to Rafał Trzaskowski, a także Sławomir Mentzen i Szymon Hołownia będą musieli udowodnić, że są przynajmniej tak dobrzy jak Karol Nawrocki. A to nie będzie takie łatwe, bowiem odnoszenie się do lidera zawsze jest wtórne. Mentzen będzie miał z Nawrockim jeszcze ten problem, że po 2 marca 2025 r. przestaje działać na jego korzyść mit i propaganda mijanki, czyli uzyskania w sondażach lepszego wyniku i ustawiania się w roli kandydata, który już przeskoczył do drugiej tury. Zresztą w dotychczasowej kampanii kandydat Konfederacji nigdy się nawet nie zbliżył do spójnego przedstawienia swojego programu i zaprezentowania się jako awansującego do drugiej tury, choć występuje pod takim hasłem.

W DRUŻYNIE MISTRZÓW

Karol Nawrocki nie musi już udowadniać, że nie jest tymczasowy (2 marca 2025 r. Jarosław Kaczyński ostatecznie uciął dywagacje na ten temat), że nie ma koncepcji prezydentury (21 punktów programowych dowodzi, iż ma, i to wszechstronną), że nie radzi sobie jako mówca, że wciąż się uczy. 2 marca 2025 r. zaistniał jako dojrzały, profesjonalny polityk, gotowy nie tylko do walki i zwycięstwa. Teraz trzeba to utrwalić w kampanijnej trasie i mediach, ale przekroczono już pułap jakościowy, poniżej którego Nawrocki raczej nie zejdzie, co zresztą widać w jego wypowiedziach po 2 marca.

Gdyby analizować pierwsze programowe wystąpienie Andrzeja Dudy w kampanii w 2015 r. (28 lutego), to start Karola Nawrockiego można uznać nawet za lepszy niż późniejszego prezydenta RP przez dwie kadencje. Kandydat Andrzej

Duda mówił wtedy: „Mój mistrz [Lech Kaczyński] pozostawił po sobie wielkie, niedokończone dzieło odbudowy Polski, uczynienia Polski krajem przyjaznym swoim obywatelom, który będzie umiał pomagać słabym i nie będzie musiał bać się silnych. Dzisiaj takiej Polski nie ma. Dzisiaj w Polsce mamy władzę, która boi się silnych, ale nie waha się uderzyć w najslabszych. To wymaga wielkiej zmiany”. Także Karol Nawrocki uznał Lecha Kaczyńskiego za swojego mistrza i zapowiedział kontynuowanie jego dzieła. A chodzi o dzieło najwybitniejszego polityka III RP.

Dobrze się stało, że Nawrocki jako pierwszy wystąpił z całościową koncepcją prezydentury (sprawnie i atrakcyjnie podaną), bo w ten sposób zyskuje status oryginału, do którego będą się odnosić wszyscy pozostali. Już na starcie zyskał więc przewagę. Ma też już za sobą najcięższe ataki, które go nie złamały, a wręcz udowodnił, że najlepiej sobie radzi właśnie wtedy, gdy jest atakowany. Pomyślnie przeszedł chrzest bojowy, co tylko dodaje pewności siebie. Może nie od razu, ale jakościowy skok Nawrockiego znajduje odzwierciedlenie w sondażach, tym bardziej że zniknie robienie mu gęby jako kandydatowi tymczasowemu, do wymiany. Można się spodziewać wzmocnienia Karola Nawrockiego kosztem Sławomira Mentzena, a także Szymona Hołowni, a nawet w jakimś stopniu Rafała Trzaskowskiego. Szef IPN już rzucił na polityczną giełdę swoje akcje i mają one wysoki kurs, zaś pozostali kandydaci dopiero muszą to zrobić. A niektórzy prawdopodobnie w ogóle tego nie zrobią, obawiając się porównań z dobrym programowym wystąpieniem Nawrockiego. Największy kłopot w konfrontacji z nim będzie miał Trzaskowski. Jeśli znowu w ostatniej chwili zawiesi program w internecie, udowodni, że to nie jego przemyslenia, tylko gotowiec. Jeśli zdobędzie się na programowe przemówienie, prawie na pewno nie uniknie opowiadania głupich dowcipów i stosowania infantylnej wersji ironii, bo to jest jego natura, silniejsza od wszelkich szkoleń i ćwiczeń. A to go wcale nie wzmacnia, tylko czyni politykiem niepoważnym i niedojrzałym. 2 marca 2025 r. Karol Nawrocki wykonał skok porównywalny do tych, które w spocie wykonali Adam Małysz i Kamil Stoch. Skok po zwycięstwo.



Ryzykowna misja



PIOTR GURSZTYN

To kolejna rzecz po umowie z Mercosur, cenami energii, polityką migracyjną, która zmieni się – wbrew dzisiejszym deklaracjom – po wyborach prezydenckich. Donald Tusk ma wybitny dar do łamania własnych obietnic, więc na poważnie trzeba brać pogłoski w sprawie wysłania polskich żołnierzy na Ukrainę.

Najpierw ważne zastrzeżenie: musi być na to zgoda prezydenta jako zwierzchnika Sił Zbrojnych RP. Nie wiadomo, co będzie, jeśli głową państwa zostanie Karol Nawrocki. Jednak dzisiaj rządzący mają mocne przekonanie, że to Rafał Trzaskowski będzie

prezydentem i wyrazi zgodę na użycie naszych żołnierzy w misji stabilizacyjnej na Ukrainie.

ZAGNANI DO „CZARNEJ ROBOTY”?

Jak zatem w praktyce będzie wyglądała obecność polskich żołnierzy pod Bachmutem lub Chersoniem?

Opinie wielu wojskowych w stanie spoczynku, bo tylko ci mogą się wypowiadać, brzmią pesymistycznie. Przy okazji wiadomo, że plany takich działań już muszą być opracowane przez Sztab Generalny. I to w wielu wariantach.

Gen. Bogusław Samol, były dowódca Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego, a obecnie wykładowca Akademii Sztuki Wojennej, przestrzega, że Polacy mogą zostać tam zagnani do czarnej roboty, czyli najbardziej niebezpiecznej i ciężkiej służby.

Jako wojska lądowe „Wielka Brytania i Francja są najbardziej zaangażowane w omawianą koncepcję misji, ale nie będą chciały podjąć ryzyka wysłania swoich sił lądowych. Zauważmy, że w okresie misji w Afganistanie państwa biedniejsze wysłały żołnierzy, a państwa bogatsze odpowiadały za siły lotnicze i logistyczne. W ten sposób redukowali ryzyko śmierci swoich żołnierzy” – mówił w wywiadzie dla portalu Defence 24.

– Oceniam, że dostaniemy teren z największym ryzykiem – mówi tygodnikowi „Sieci” gen. Dariusz Wroński, były dowódca wojsk aeromobilnych. Według niego premier Tusk ulegnie presji polityków zachodnioeuropejskich, więc wysłanie wojska jest tylko kwestią czasu.

– To decyzja całkowicie karygodna. Ryzyko, że po polskiej stronie będą ofiary śmiertelne, jest bardzo wysokie, wręcz niezwykle wysokie. Rosjanie będą polowali na Polaków, aby wciągnąć nas w ten konflikt – dodaje gen. Wroński.



*Sprawa jest
przesądzona,
ale nieogłoszona ze
względu na wybory
prezydenckie. Politycy
koalicji z mniejszych
partii już to mówią po
cichu dziennikarzom:
Polska wyśle wojsko
na Ukrainę. W armii
też krążą o tym
pogłoski. Teraz Donald
Tusk zaprzecza,
ale po wyborach
ustąpi pod naciskami
z Brukseli, Berlina i Paryża*

Bardzo ostro wypowiada się w tej kwestii także gen. Leon Komornicki, nazywając pomysł awanturnictwem i uzasadniając swoją negatywną opinię tym, że Wojsko Polskie nie jest na to gotowe pod względem zasobów sprzętu, amunicji oraz wyszkolonych rezerw.

Jak wiadomo, asertywność Tuska wobec żądań dużych stolic krajów zachodnich jest znikoma. Będzie się zatem godził na ustępstwa, w tym przydzielenie Polakom trudniejszych zadań. Do tego dochodzi traktowanie Polski i całego naszego regionu jako Europy drugiej kategorii, co było widać w czasie szczytów w Paryżu i Londynie, gdzie kraje wschodniej flanki nie zostały zaproszone. To przedmiotowe traktowanie nie jest jasną wskazówką, czego może się spodziewać polski komponent misji.

Zasadniczym problemem jest to, że nawet największe kraje europejskie mają bardzo niską zdolność wydzielania ze swych sił lądowych odpowiednio

dużych kontyngentów. Premier Wielkiej Brytanii zaoferował 10 tys. ludzi, ale na Wyspach słychać głosy, że będzie to trudne do wykonania. Francja również deklaruje 10 tys. wojska, ale wiadomo, jak słabo szło Francuzom w walce ze wspieranymi przez Rosję ruchawkami w Sahelu. Trudno oczekiwać, że ich siły ekspedycyjne lepiej się sprawią obok prawdziwego frontu, jakim jest wojna rosyjsko-ukraińska. Niemiecka Bundeswehra to armia liczna na papierze, ale jej stany osobowe kurczą się, mimo gromkich zapowiedzi rozwoju i zagrożenia wojną. Kompromitującym dowodem bagianu i nieudolności niemieckiej armii jest żalosna i niekończąca się historia formowania niemieckiej brygady, która ma chronić Litwę przed zakusami Rosji. Jest też możliwe, że zdarzy się sytuacja taka jak w 2022 r., gdzie wielu niemieckich zawodowych żołnierzy wystąpiło ze służby, motywując to... strachem przed wojną. To może się powtórzyć w każdym kraju, który będzie wysyłał kontyngent.

Wszystko wskazuje na to, że 30-tys. misja będzie jak patchwork – złożona z kilkunastu niezbyt licznych kontyngentów narodowych. Takich jak zadeklarowany przez Szwajcarię oddział 200 ludzi. Poza tym większość uczestników będzie chciała wymigać się od bezpośredniego niebezpieczeństwa przysyłaniem oddziałów tyłowych – logistycznych, OPL, medycznych itp. Wyjątkiem mogą być oddziały tureckie, liczne, ostrzelane w prawdziwym boju, a na dodatek o tyle bezpieczne, że pochodzące z kraju, z którym Rosja woli nie zadzierać.

Ale i małe kraje zaczynają się migać. Uwielbiany przez liberałów całej Europy prezydent Czech, emerytowany gen. Petr Pavel, najpierw buńczucznie głosił hasła jednoci europejskiej w kontrze do obecnej polityki amerykańskiej, a następnie zaczął zgłaszać kolejne zastrzeżenia, które jasno wskazują, że nie chce wysyłać czeskiego kontyngentu. Na tym przykładzie widać, w jakiej paści pod względem obronnym znajduje się większość krajów europejskich. Czechy, 10-mln kraj z dobrze rozwiniętym przemysłem zbrojeniowym, ogłosiły specjalny plan zwiększenia swoich sił zbrojnych z 23 tys. obecnie do skromnej liczby 30 tys. żołnierzy. Zamiar się

nie powiodł, bo chętnych zgłosiło się tylko tylu, że czeska armia powiększyła się o... 176 ludzi.

A JAK ZAATAKUJĄ?

Zatem wariant czarnej roboty zdaje się bardzo prawdopodobny. Na polski kontyngent czeka szczególnie wiele niebezpieczeństw. Po pierwsze, Rosjanie mogą testować spójność państw Zachodu. Jest niestety możliwe, że inna będzie ich solidarność wobec ataku np. na Francuzów lub Niemców, a inna, jeśli zostaną ostrzelani Polacy, Rumunii czy Estończycy. Nic też nie wskazuje na to, że wojska uczestniczące w misji będą objęte gwarancją art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego.

Dodatkowo trzeba pamiętać o żywej i podsycanej w Rosji nienawiści wobec Polski. To może zachęcać do zbrojnych prowokacji nawet na najniższym szczeblu. Pytanie, jak polskie oddziały będą mogły reagować na tego rodzaju zdarzenia. Czy będą mogły odpowiadać ogniem łącznie z bronią ciężką? Dowództwo całości misji nie będzie polskie, jest zatem prawdopodobne, że polski kontyngent będzie miał skrepowane ręce.

Zresztą warunki porozumienia regulującego obecność misji pokojowej określą sprzęt, który będzie w dyspozycji żołnierzy. Ponieważ to misja rozjemcza, nie jest raczej możliwe, aby był obecny sprzęt najgroźniejszy dla wroga, czyli czołgi i artyleria. W przypadku Polaków skończy się na transporterach kołowych Rosomak, stosunkowo lekkich i niezdolnych do pokonywania terenów bagnistych i rozmokłych, czyli czegoś powszechnego w warunkach wschodnioeuropejskiej „rasputicy”.

Ciężar dostarczenia ludzi i sprzętu spadnie na polskie wojska lądowe. To główny rodzaj wojsk naszych sił zbrojnych, który liczy obecnie ok. 70 tys. ludzi. Pamiętajmy jednak, że spory procent to osoby na etatach wojskowych, które są zajęte pracą na zapleczu, w magazynach, logistyce, wreszcie w niezmiernie rozbudowanej MON-owskiej biurokracji. Ponadto duża część to żołnierze, którzy nie są jeszcze gotowi do wyjazdu, bo nie przeszli całego cyklu szkolenia.

Obciążeniem dla wojsk operacyjnych jest służba na granicy z Białorusią. Tytułem złośliwej dygresji trzeba przypomnieć, że gdy rząd Zjednoczonej Prawicy wysyłał te oddziały do służby na granicy, krytycy podnosili larum, iż odciąga to żołnierzy od pracy szkoleniowej i szkodzi ich sprawności. Dzisiaj zapewne ci sami krytycy nie będą już o tym mówili.

Osobną sprawą będzie udział wojsk specjalnych. Te jednak nie są zbyt liczne – to raptem około 4 tys. ludzi. One będą zresztą działać w zupełnie innym trybie niż całość misji rozjemczej.

KTO NA MISJĘ?

Kolejną kwestią jest liczebność polskiego kontyngentu. Według gen. Wrońskiego kraje zachodnie zażądają od nas wystawienia oddziałów porównywalnych z tymi, które teraz deklarują Wielka Brytania i Francja, czyli jednorazowo 10 tys. ludzi. To cztery razy tyle, ile Polska wysyłała na najbardziej liczne zmiany do Iraku i Afganistanu. Ta liczba negatywnie odbija się na systemie szkolenia i utrzymywania gotowości bojowej zaangażowanych w to jednostek.

Jednak największym problemem nie będzie wystawienie pierwszej zmiany. To okaże się stosunkowo łatwe. Prawdziwe trudności zaczną się, gdy przyjdzie kolejność rotowania zmian. Misje w Iraku i Afganistanie trwały po pół roku. Tu ze względu na bliskość będą mogły być krótsze, np. kwartalne. Szybko może się jednak okazać, że zabraknie ludzi na kolejne zmiany, a stała nieobecność części personelu i sprzętu w macierzystych jednostkach zahamuje ich rozwój i szkolenie. Część wojskowych, np. pod naciskiem rodzin (co jest zjawiskiem niedostrzeganym, ale niezwykle istotnym), może w ogóle zrezygnować ze służby. Choćby ludzie, którzy mogą już przejść na emeryturę. Mogą być też przypadki uniknięcia wyjazdu za pomocą L4.

Wojsko Polskie ma opracowany system wylaniania takich kontyngentów. Wzorem misji w Iraku, Afganistanie oraz na granicy białoruskiej

pododdziały będą formowane przez poszczególne dywizje. Ciężar formowania poszczególnych zmian spadnie na rdzeń wojsk lądowych, czyli 11., 12. i 16. Dywizję. Być może także na 18. Dywizję, świeżo sformowaną i odpowiedzialną za obronę głównego kierunku strategicznego, czyli terenu między

To decyzja całkowicie karygodna. Ryzyko, że po polskiej stronie będą ofiary śmiertelne, jest bardzo wysokie, wręcz niezwykle wysokie. Rosjanie będą polowali na Polaków, aby wciągnąć nas w ten konflikt – ocenia plan wysłania naszych żołnierzy na misję na Ukrainę gen. Dariusz Wroński

granicą białoruską a Warszawą. W jej skład wchodzi 1. Warszawska Brygada Pancerna z Wesołej, więc i ona może być włączona w proces formowania kolejnych zmian. Wyłączona z tego będzie świeżo formowana 1. Dywizja Legionów.

Z pewnością zostaną wysłani saperzy i oddziały inżynieryjne. Spadnie na nich ciężka i niebezpieczna praca nad rozminowywaniem Ukrainy, gdzie rozległe obszary zostały nasyczone milionami min, ładunków wybuchowych, niewypałów i niewybuchów. Mimo prób przejęcia zabezpieczenia logistycznego jako bardziej bezpiecznego działania przez kraje zachodnie jest szansa, że w jakiejś części przypadnie to jednak Polakom. Nasze wojska nadal mają zdolność kozystania z obecnego na Ukrainie post-sowieckiego sprzętu i infrastruktury. To akurat byłaby dobra wiadomość, bo oznacza służbę w bardziej bezpiecznych warunkach.

Pierwszą zmianę najłatwiej będzie skompletować. Wyjazd na taką misję oznacza szansę na szybszy awans, lepszą pozycję w armii oraz duże dodatki finansowe. Znacznie wyższy żołd jest w tym przypadku sprawą oczywistą. Tak jak było ze służbą w Iraku, Afganistanie, Czadzie, a także na granicy z Białorusią.

Będzie to jednak nowe obciążenie dla budżetu MON, o którym i tak już wiadomo, że przestaje się spinać. I wbrew zapewnieniom obecnej władzy perspektywy finansowe wyglądają w tym zakresie coraz gorzej. Po stronie Brukseli nie widać też woli ulżenia krajom takim jak Polska w kwestii wydatków na obronność. Zatem koszty udziału w misji stabilizacyjnej będą całkowicie po polskiej stronie. Negatywnie odbija się to na modernizacji armii, co widać już teraz, gdy wzrost stanów osobowych zmienił proporcje w wydatkach. Pieniądze na dodatki za wyjazd na misję zostaną przesunięte z innych działów – tak jak w ogóle wszystkie koszty misji. Czyli np. środków przeznaczonych na zakupy wyposażenia albo twożenie nowych etatów, co zahamuje rozbudowę Sił Zbrojnych RP.

Dochodzi do tego jeszcze jedna rzecz – ktoś będzie musiał zastąpić żołnierzy wojsk lądowych wspierających ochronę granicy z Białorusią na odcinku w województwie podlaskim. Najłatwiej będzie to zrobić żołnierzami Wojsk Obrony Terytorialnej, którzy teraz odpowiadają za odcinek w województwie lubelskim. Ale to też kolejny wydatek – koszty działania wysłanych pododdziałów, żołd, dodatki za służbę na granicy itp.

Jak Donald Tusk wybrnie z tej plątaniny zagrożeń i problemów? Raczej trudno się spodziewać, że będzie szukał rozwiązań według klucza merytorycznego. To nie jest coś, co Tusk lubi i umie robić. Wybierze PR, propagandę i szantaż moralny. Europejski, postępowy liberał wystąpi w roli wojowniczego hurrapatrioty. A każdy, kto będzie wskazywał na niebezpieczeństwa, braki, zaniedbania itp., zostanie okrzyknięty agentem Rosji i kimś, kto obraża honor polskiego żołnierza. Przygotujmy się na zalew patetycznego pustosłowia. 

Trzy reakcje na kryzys

Polska ma znikomy wpływ na przebieg kryzysu międzynarodowego, którego epicentrum znajduje się tuż przy naszych granicach. Prawdę powiedziawszy, nasz kraj nawet nie stara się wywierać takiego wpływu, po części zapewne z racji skołowania politycznych liderów chaosem i tempem dziejących się zdarzeń, a po części z ostrożności wobec niejasnej i niepewnej przyszłości



JAN ROKITA

Co prawda sprawy wokół wojny już od dawna toczyły się po ślepych torze, ale za to wolno, a ów tor był mimo wszystko długi i raczej przewidywalny. Jednak Donald Trump z właściwą sobie dynamiką nadał im gwałtowne przyspieszenie, wprowadzając na dodatek czynnik niepewności co do tego, jaki kolejny zaskakujący zwrot może się wydarzyć już jutro.

Ten nowy styl został narzucony przez Amerykę w globalnej polityce i ma bez wątpienia służyć mocniejszemu uzależnieniu świata od decyzji i interesów USA. Trzymanie wszystkich w ustawicznej niepewności i poczuciu zagrożenia to nie tylko ulubiona przez Trumpa formuła prowadzenia polityki, lecz także sposób od wieków stosowany przez państwa imperialne. U jednych wywołuje to poczucie politycznej dezorientacji oraz „wiatru w głowie”, innych zaś skłania do tym bardziej zacieklego doktrynerstwa. W tym pierwszym przypadku problemem jest ogarnięcie i zrozumienie sensu toczącej się gry, w tym drugim punktem odniesienia przestają być zmienne i chaotyczne

fakty, a staje się ślepa wiara albo zaciekle nienawiść, które prowokuje charyzmatyczna i dominująca dziś nad światem figura Trumpa.

SYNDROM DEZORIENTACJI

Syndrom dezorientacji wyraźnie widać w postępowaniu Donalda Tuska w toku kryzysu. Premier od początku jest w trudnej sytuacji, gdyż przez długi czas, aż do listopada 2024 r., zachowywał się tak, jakby w ogóle nie brał pod uwagę ani możliwości wygranej republikanów w wyborach prezydenckich ani nie przewidywał szybkiego pogarszania się strategicznej sytuacji Ukrainy. W ciągu pierwszego roku premierostwa Tuska znaczenie wojny na Ukrainie w polskiej polityce systematycznie spadało: nasz kraj przestał być istotnym dostawcą pomocy wojskowej, fala uchodźców ze Wschodu wygasła, a odpo-

wiedzialność za dalsze losy Ukrainy przejęli Amerykanie i Niemcy. I zdaje się, że w politycznej wyobraźni Tuska miało tak zostać na długo, niezależnie od tego, jak dalej będzie się toczyć przewlekła wojna na Wschodzie.

W takich okolicznościach znaczenie miały tylko mnożące się dwustronne konflikty polsko-ukraińskich interesów, od kłopotów z każdą lipcową rocznicą krwawej niedzieli na Wołyniu po embargo na import rolny. Ale w tego rodzaju sprawach Tusk zawsze był profesjonalistą od pokrętnych gry na dwa fronty. Zresztą w tym przypadku trudno czynić z tego zarzut, gdyż każda inna polityka niżli lawirowanie pomiędzy naporem różnych interesów w Polsce a nieszkodzeniem zanadto walczącej o wolność Ukrainie byłaby gorsza, przynajmniej tak długo, jak trwa wojna.

W przeciwieństwie do lawirującego Tuska w tym samym czasie opozycyjna prawica coraz mocniej buzowała się w tych dwustronnych konfliktach z Ukrainą, co, jak się miało wkrótce okazać, w krytycznym dla Kijowa momencie narzuciło nacjonalistyczną retorykę polskiej kampanii prezydenckiej. I to z wyraźnie zarysowanym ostrzem antyukraińskim, dominującym nawet nad tradycyjną w polskim nacjonalizmie idiosynkrazją względem Niemiec.

Alte to bilateralne lawiranie w sprawach ukraińskich Tusk zwykł jeszcze w charakterystycznym dla siebie stylu przyozdabiać sztucznie udramatyzowanymi frazesami, które do niczego nie obligowały ani jego samego, ani polskiego rządu, ale za to odbijały się echem w mediach, żyjących zapotrzebowaniem na taką polityczną tromtadrację. Typowym tego przykładem może być wpis Tuska na platformie X sprzed mniej więcej roku, w którym obwieszczał, iż „epoka powojenna minęła i żyjemy w nowych czasach: w epoce przedwojennej”. Albo równie tromtadrackie wystąpienie na konferencji w EPP w Bukareszcie, gdzie z kaznodziejskim zapałem pouczał delegatów, iż „odpowiedzialność za los cywilizacji zachodniej opartej na wolności i poszanowaniu dla każdej osoby spoczywa na barkach nas wszystkich, wszędzie”.

Każdy, kto lepiej poznał styl uprawiania polityki przez Tuska, dobrze wie, że takie nasilenie moralnego

deklamatorstwa i górnolotności jego oświadczeń zawsze jest nieomylnym symptomem bezradności i pustki realnej polityki, którą mają maskować owe werbalne zabiegi. W ciągu ostatniego tygodnia odnotowujemy apogeum tych premierowskich deklamacji, poruszających uczucia słuchaczy, ale pozbawionych politycznej treści (o czym poniżej).

W każdym razie listopadowe zwycięstwo Trumpa miało taki wpływ na polską politykę, że zarówno premier, jak i szef MSZ faktycznie zamilkli, gdy idzie o komentowanie, czy, nie daj Boże, ocenianie nowej amerykańskiej polityki wschodniej. To ważne, bo niektóre czołowe europejskie media (np. wpływowy niemiecki „Politico”) próbowały ustawiać Tuska w roli lidera antyamerykańskiej ligi państw europejskich, roztaczając przed nim wizję niemal cesarską, a to dlatego, iż tradycyjni dwaj pretendenci do „cesarskiej” roli na kontynencie – Macron i Scholz – popadli w przewlekłe kryzysy polityczne w swoich krajach. Tusk nie dał się wciągnąć w taką pułapkę, choć można założyć, że owa cesarska wizja roztaczana przez znaczące media, musiała mu się podobać.

Najbardziej spektakularne było tu kłamstwo, które wygłosił bez zmruczenia oka, gdy usiłowano go indagować o jego wcześniejszą pewność, iż nowy prezydent USA został zwerbowany jeszcze przez sowieckie KGB. Tusk po prostu wyparł się swoich słów, ale trzeba przyznać, że to kłamstwo było najlepszą rzeczą, jaką mógł zrobić w parszywej sytuacji, której sam był sobie winien. Każde inne wyjście byłoby fatalne zarówno dla Polski, jak i dla jej premiera.

TAKTYKA WYCOFANIA

Syndrom dezorientacji Tuska z całą mocą objawił się po tym, jak międzynarodowy kryzys zaczął lawinowo narastać od 18 lutego, czyli od czasu negocjacji Rubio z Ławrowem w Arabii Saudyjskiej. Do pokojowego planu Trumpa zakładającego szybkie zawieszenie broni na Ukrainie za każdą cenę Tusk w ogóle się nie odniósł – w przeciwieństwie do prezydenta Andrzeja Dudy, który po swym krótkim spotkaniu z Trumpem w Maryland uznał (co było nowością) konieczność rozpoczęcia negocjacji z Putinem i doradzał Zełenskiemu, by ten ufal „w dobrą wolę i uczciwość sta-

nowiące podstawę strategii negocjacyjnej USA”. Po czym postawił kropkę nad i we wpisie na platformie X: „Nie mam wątpliwości, że prezydent Trump kieruje się głębokim poczuciem odpowiedzialności za globalną stabilność i pokój”.

Było już wtedy widać wyraźną rozbieżność kryzysowej linii prezydenta i premiera. Duda uznał, iż w kryzysowej sytuacji interesem Polski jest podtrzymywanie więzi z Trumpem za wszelką cenę, skoro przestało być jasne, jaka w ogóle będzie rola Ameryki na kontynencie europejskim. A spotkanie w Maryland miało sugerować (oczywiście wbrew jakimkolwiek realiom), że sam Duda ciągle zachowuje jakiś wpływ na politykę Trumpa. Za chwilę prezydent został skonfrontowany z pytaniem, czy owo bezwzględne zaufanie do amerykańskiej polityki jest aktualne po tym, jak Zełenski został wyrzucony z Białego Domu, zaś Waszyngton wstrzymał militarne i wywiadowcze wsparcie dla armii ukraińskiej. W wywiadzie dla Interii mimo wszystko podtrzymał swój pogląd. W tym samym czasie Tusk pogłębił taktykę wycofania i stosowania uników w obliczu narastającego z dnia na dzień globalnego chaosu politycznego.

Jeszcze wybierając się 17 lutego do Paryża na nagły zjazd kierowniczej europejskiej „siódemki” zwołanej w sprawach wschodnich przez Macrona, premier próbował zachować pokerową twarz. Z właściwą sobie udawaną pewnością siebie oznajmiał, iż leci do Paryża po to, aby „z góry uprzedzić wszystkie głosy, które będą chciały wprowadzić konkurencję między Europą i USA”. Polskiemu obserwatorowi miało to sugerować, że szef rządu ma na tym zjeździe jakąś ważną rolę do odegrania. Jednak była to tylko poza, bo w istocie ów zjazd służył wyłącznie legitymizacji tandemu Macron–Starmer jako tych reprezentantów Europy, których kraje gotowe są wysłać swoje wojska na misję pokojową na Ukrainie i którzy właśnie, jeden po drugim, wybierali się do Białego Domu, aby wpłynąć na bardziej życzliwą dla Kijowa linię Trumpa.

Tusk oznajmiał, że Wojsko Polskie nie będzie uczestniczyć w tych misjach, przez co definitywnie wypadł z gry. Tyle tylko, że wcale nie jest oczywiste, iż Polska – jak uparcie dowodziły potem czołowe polskie gazety – winna się była akurat palić do tej europejskiej, straceniowej gry Macrona



i Starmera. Całkiem możliwe, że tym razem wycofana postawa Tuska ochroniła nasz kraj przed przyszłymi poważnymi kłopotami. Co prawda wiceprezydent Vance nie bez racji zdobył już reputację człowieka od nieustannych prowokacji względem sojuszników, ale jakby na to nie patrzeć, jego obcesowa uwaga rzucona pod adresem Paryża i Londynu tym razem (pomijając jej lekceważącą formę) wydaje się dość zasadna.

Całą tę europejską „wielką grę” z potencjalnym udziałem francusko-brytyjskich wojsk, w którą zaangażowali się Macron i Starmer, Vance uznał za ofertę „20 tys. żołnierzy z jakiegoś przypadkowego kraju, który nie walczył na wojnie od 30 lub 40 lat”. Anglicy się obrażili, ale pozostaje faktem, iż realne siły rozejmowe we wschodniej Ukrainie, jak to oceniał Zełenski, winny liczyć 200 tys. żołnierzy. Paryż i Londyn udają, że mogą odegrać teraz jakąś ważną rolę, co komuś pamiętającemu historię XX w. do złudzenia przypomina 1956 r. i francusko-brytyjską interwencję w Kanale Sueskim, wymianą przez prezydenta Eisenhowera i zakończoną kompromitacją.

To chyba dobrze, że Tusk nie chce się bawić w militarną fikcję, niezależnie od tego, czy kieruje nim bardziej obawa o prezydenturę Trzaskowskiego, czy dezorientacja skalą i tempem rozwoju kry-



W postępowaniu Donalda Tuska w toku kryzysu wyraźnie widać syndrom dezorientacji

zysu. Warty uwagi jest fakt, że Niemcy zachowują się równie defensywnie jak Polska, a ich wpływ na bieg kryzysu pozostaje – przynajmniej do tej pory – równie znikomy jak nasz.

Przed londyńską naradą „szesnastki” (m.in. z udziałem Kanady i Turcji) 2 marca Tusk nie starał się już udawać, że ma do odegrania jakąś istotną rolę. Ale upublicznił kilka sprzecznych deklaracji, wedle których w jednej wersji Europa jest już skazana tylko na siebie, a wedle drugiej bez Ameryki w gruncie rzeczy ani rusz. Te sprzeczne deklaracje Tuska obśmiewał potem w sieci Mateusz Morawiecki, ale tylko do pewnego stopnia słusznie. Oczywiście faktem jest, że premier sam nie wie, jaką strategię postępowania winna prezentować Polska, ale jego wahanie oddaje w gruncie rzeczy niepewność i obawę bodaj niemal wszystkich europejskich przywódców, a także zapewne milionów Europejczyków.

Kolejne posunięcia Trumpa muszą budzić obawę o to, jak daleko Ameryka jest gotowa się posunąć w presji wywieranej na Ukrainę, a potem być może również na inne kraje, np. państwa bałtyckie, jeśli pewnego dnia Kreml zgłosi do nich swoje roszczenia. W Europie – co było widać na londyńskiej naradzie – panuje też strach

przed zerwaniem ścisłych więzi z USA. Tak dalece, że Trump zakpił nawet z tego, pytając retorycznie: „A cóż oni sobie w ogóle myślą?”, skoro dalej uzależniają wszystko od zaangażowania Ameryki.

RÓŻNE LINIE POSTĘPOWANIA

Wobec tej zasadnej obawy i równie zasadnego strachu w polskiej polityce zarysowały się trzy różne linie postępowania, uwyraźnione po poniedziałkowej decyzji Trumpa o zatrzymaniu pomocy wojskowej i wywiadowczej dla Ukrainy.

Premier mnoży zatem niejasne, ale za to udratyzowane komunikaty, z których nie wynika nic konkretnego, ale z pewnością wzbudzają one trwogę. „Nadchodzą dni i tygodnie – prorokuje podczas transmitowanych obrad rządu – kiedy będziemy musieli podejmować decyzje w trybie w jakimś sensie nadzwyczajnym”. Tyle tylko, że nikt nie wie, ani co to za tryb, ani co to za decyzje. Zarazem Tusk aż do przesady dba o to, by nie wypowiedzieć krytycznego słowa na temat polityki amerykańskiej.

Z kolei prezydent, choć roztropnie stara się rozbudzić nadzieje na powrót do sojuszu amerykańsko-ukraińskiego, uznaje, iż blokada pomocy jest przekroczeniem granic i otwarciem „ubolewa” nad decyzją Trumpa podczas swej obecności w nowojorskiej siedzibie ONZ. Identycznymi słowami jak Duda mówi o swojej obawie Rafał Trzaskowski, kandydat PO do prezydentury.

Ala w Polsce coraz mocniej jest wyrażany jeszcze inny, trzeci punkt widzenia. Odkąd Trump publicznie obwiniał Zełenskigo o intencję zablokowania pokoju, niektórzy politycy prawicy uznali to za sygnał do podjęcia otwartych ataków na ukraińską politykę. Były minister edukacji Przemysław Czarnek nazywa przywódcę Ukrainy „głupkiem”, ale najmocniej słyszalny jest głos kandydata do prezydentury Karola Nawrockiego. Już któryś raz z rządu dokonuje on pseudomoralnych ocen Zełenskigo, określając zachowanie prezydenta Ukrainy wobec Ameryki jako „nieprzystojne”, a także sugeruje, iż „Ukraina płaci cenę za swoją nieojalność”.

Jest jasne, że nawoływania Nawrockiego mają służyć ożywieniu nacjonalistycznych wątków kampanii prezydenckiej, które, jak pewnie sądzi prawicowy kandydat, przyciągną doń część elektoratu. Sądzę, że tą nacjonalistyczną retoryką Nawrocki więcej wyborców traci, niżli zyskuje. Ale, co ważniejsze, jeśli spojrzeć na rzecz z perspektywy nasilającego się kryzysu, takie otwarte zwalczanie przywódcy walczącej o wolność Ukrainy w przyszłości może wyrzucić niedobry i kłopotliwy skutek dla Polski.

Państwo ukraińskie bardziej niż kiedykolwiek stoi wobec długofalowej niepewności swego suwerennego istnienia. A jeśli w najczarniejszym scenariuszu Ukraina istotnie wpadłaby w potrzask, to chcąc nie chcąc i tak staniemy się zapleczem oraz bazą dla ukraińskiego ruchu oporu, być może na wiele lat. Zdecydowanie lepiej, aby na taką złą okoliczność Polska kultywowała raczej uczucia solidarności i życzliwości wobec wschodniego sąsiada niżli niechęci i „pańskiego” lekceważenia dla przywódcy Ukrainy, nieznoszące kopii dawne lekceważenie dla kozackich hetmanów.

Bitwa o przeżycie

Zaskakuje tempo, w jakim pogarsza się sytuacja w Polsce. Wystarczyło zaledwie 14 miesięcy rządów Tuska, aby zmienić on prosperujący europejski kraj w popychadło obcych rządów, w którym szczytem aspiracji władz jest produkcja kiszonej ogórków



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na początku marca rząd Burkina Faso z dumą poinformował, że ten afrykański kraj jest pierwszą była francuską kolonią położoną na południe od Sahary, w której uruchomiono produkcję koncentratu pomidorowego. Natychmiast skojarzyło mi się to z niedawną deklaracją Rafała Trzaskowskiego, który z dumą ogłosił, że Polska jest światowym liderem w produkcji ogórków kiszonych.

Przy czym o ile w przypadku Burkina Faso tego rodzaju osiągnięcie rzeczywiście może być powodem do satysfakcji (w końcu mowa o kraju, w którym dotąd praktycznie nic się nie produkowało), o tyle wyznanie Trzaskowskiego, który ustawił Polskę w podobnej lidze, może budzić szok i rozgoryczenie.

Co to bowiem oznacza? Że aspiracje Trzaskowskiego i wspierających go wyborców nie wykraczają poza poziom ubogiego afrykańskiego państwa. Że najwyraźniej nie mają oni większych ambicji, godzą się na taki stan rzeczy i go akceptują.

Tymczasem jeszcze kilka lat temu Polska była europejskim liderem wzrostu, biliśmy się o pozycję w świecie, snuliśmy śmiało plany rozwoju i aspirowaliśmy do grupy G20. Wystarczyło jednak niecałe półtora roku rządów Do-

nalda Tuska, aby te wszystkie plany leżały w gruzach. Dziś walczymy już tylko o sprawy fundamentalne: przyszłość, nasze bezpieczeństwo i przeżycie w trudnych czasach. Zostaliśmy brutalnie sprowadzeni do parteru. Naszym szczytem ambicji i powodem do dumy mają być ogórki kiszone, tak jak w Burkina Faso, gdzie cieszą się z produkcji koncentratu pomidorowego.

DAWNE DOBRE CZASY

Gdy 13 grudnia 2023 r. rząd PiS oddawał władzę, Polska była dobrym miejscem do życia. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że jednym z lepszych w Europie i świecie. Było tak nawet pomimo gwałtownych wstrząsów, które nawiedziły nasz kraj:

najpierw pandemii, a potem wojny na Ukrainie. Było tak również wbrew coraz bardziej obłąkanej polityce Unii Europejskiej, która zarzynała dobrobyt Zachodu upartym forsowaniem Zielonego Ładu oraz paktu migracyjnego.

Rozwijaliśmy się. Rząd szykował budowę CPK oraz wielkich terminali kontenerowych nad Bałtykiem, które miały przynieść Polsce wielkie dochody z handlu międzynarodowego. Z raportu firmy konsultingowej Kearney wynikało, że w pierwotnym kształcie CPK miał wygenerować do 2040 r. niemal 300 tys. miejsc pracy, a wartość PKB z tytułu działalności lotniska oraz powiązanej z nim infrastruktury miała wzrosnąć w tym czasie o 986 mld zł. Wraz z lotniskiem miało powstać lub zostać zmodernizowanych 1,8 tys. km linii kolejowych.

Oprócz nich projektowano przywrócenie żeglowności wielu rzek, którymi można by było spławiać ciężkie ładunki z Polski i ościennych krajów do portów bałtyckich. Podjęto prace na Odrze, którą jako pierwszą miały być transpor-



owane towary do Szczecina i terminala kontenerowego w Świnoujściu. W drodze powrotnej barki odbierałyby ładunki z portów morskich i przewoziły je w głąb kraju oraz dalej – do Czech, a nawet na Węgry. Żeby zwiększyć tonaż ładunków, pogłębiono tor wodny między Szczecinem i Świnoujściem oraz rozpoczęto wytyczanie nowej drogi do świnoujskiego portu, z której mogłyby korzystać najcięższe statki dalekomorskie.

Poważną przeszkodą dla rozwoju kraju stał się gwałtowny wzrost cen energii wywołany szaleństwem Zielonego Ładu oraz wojną na Ukrainie. Rząd PiS przyspieszył wówczas prace nad budową elektrowni atomowych, które są w tej chwili jedyną technologią gwarantującą stabilne i relatywnie tanie źródło energii. Jednocześnie wprowadzono tarcze energetyczne chroniące Polaków przed wysokimi cenami.

Ogólnie standard życia ludzi zawsze – do samego końca istnienia rządu PiS – był oczkiem w głowie ówczesnej władzy. Oprócz tarcz energetycznych mieliśmy przecież obniżki VAT i akcyzy na różne towary, programy socjalne, były też – gdzieś tam – obniżki podatków: choćby zerowy PIT dla młodych do 26. roku życia czy zwiększenie kwoty wolnej od podatku. Wysokie ceny energii napędziły wprowadzenie inflacji w całej Europie, w tym (i to dość wysoką) w Polsce. Warto jednak zauważyć, że dzięki polityce znienawidzonego przez Platformę prezesa NBP Adama Glapińskiego została ona gwałtownie zmniejszona.

Jeszcze innym aspektem dobrego życia w Polsce było bezpie-

czeństwo. Liczba imigrantów na ulicach naszych miast – wyjąwszy uchodźców wojennych z Ukrainy – była stosunkowo niewielka i nie stanowili oni zagrożenia. Był to ewenement na skalę europejską, bo oprócz kilku krajów naszego regionu Polska zdołała zablokować relokację niechcianych imigrantów z innych krajów UE.

Oczywiście trudno było uciec od zagrożenia zewnętrznego wywołanego wojną hybrydową na granicy z Białorusią i rosyjską inwazją na Ukrainę, ale na to rząd nie miał wpływu. Mógł jedynie zapobiegać dalszemu niekontrolowanemu rozwojowi sytuacji, co starał się robić dzięki aktywnej polityce zagranicznej oraz dużym zakupom uzbrojenia podjętym przez ówczesny MON.

Problemów było więc wiele, ale mimo to na tle innych krajów żyliśmy wówczas w całkiem ciepłarnianych warun-

Gdy 13 grudnia 2023 r. rząd PiS oddawał władzę, Polska była dobrym miejscem do życia. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że jednym z lepszych w Europie i świecie

kach. A nawet jeśli nie każdy tak uważał, to przynajmniej przed Polską rysowały się coraz lepsze perspektywy na przyszłość.

KRYZYS DEMOKRACJI

Przypomniałem te całkiem niedawne czasy, bo stanowią one gigantyczny, przykry kontrast z tym, co się dzisiaj dzieje z Polską. Jestem przekonany, że w przyszłych podręcznikach historii ostatnie lata będą opisane jako złota epoka. Tyle że ta epoka – w dużym stopniu na życzenie samych Polaków – właśnie się skończyła.

Na pytanie, dlaczego tak się stało, można odpowiedzieć innym pytaniem: a dlaczego po latach wielkiej potęgi i chwały upadła Rzeczpospolita Obojga Narodów? Czemu naszą politykę zaczęli rozgrywać sąsiedzi: Prusacy, Szwedzi, Rosjanie, Francuzi? To przecież wtedy, w XVIII stuleciu, pojawili się jurgielnicy, którzy służyli obcym dworom. Dla wielu Polaków szczerze graty miały większą wagę niż lojalność wobec własnego państwa. Czy od tamtej pory tak wiele się u nas zmieniło?

Wracając jednak do postawionego pytania, dlaczego dobre czasy musiały się nagle skończyć, pierwsza nasuwająca się odpowiedź brzmi: bo mamy przy władzy Donalda Tuska. Jest to odpowiedź prawdziwa, ale bardzo ogólna. Bo Tusk jest nie tylko przyczyną, lecz także objawem słabości naszego państwa i społeczeństwa.

Zacznijmy od tego, że w silnym kraju i zdrowym społeczeństwie nikt taki jak Donald Tusk nie miałby szansy na powrót do władzy. Ani on, ani jego partia. Mimo to Tusk wrócił. Motywacje wyborców były różne – jednym znudziło się PiS, inni walczyli o prawo do aborcji, a jeszcze inni chcieli powrotu do dawnych przywilejów. Na tym tle rozpięto obrzydliwą kampanię nienawiści wobec rządzącej prawicy. Wielu ludzi poszło za kłamliwym przekazem jak stado baranów na rzeź. Mnóstwo Polaków okazało się intelektualnie niezdolnych do dokonania wyboru, który byłby zgodny z ich własnym interesem. Inni z kolei głosowali ślepo, ale swój interes widzieli poza państwem.

Niedawno wyszło na jaw, ile miliardów dolarów zostało wydanych przez



obce rządy, aby wyprać Polakom mózgi. Te pieniądze, m.in. z amerykańskiej agencji federalnej USAID, zasilają tzw. organizacje pozarządowe (które zgodnie z nazwą były niezależne od rządu, ale tylko polskiego), a także media i przeróżne instytucje. Wszystko po to, aby pod hasłem „przywracania demokracji” osłabić i pozbawić władzy rząd realizujący interesy państwa i własnego społeczeństwa najlepiej, jak potrafił.

W rezultacie mamy więc inną władzę, która posiada zupełnie inne priorytety i inne zobowiązania. Nikogo przytomnego nie powinno więc dziwić, że dobre czasy przeminęły i wszystko się zmieniło.

UPADEK W SZYBKIM TEMPIE

Mimo wszystko może zaskakiwać tempo, w którym pogarsza się sytuacja w Polsce. Wystarczyło zaledwie 14 miesięcy, aby prosperujący europejski kraj z powrotem przekształcił się w popychadło obcych rządów, w którym szczytem aspiracji władz jest produkcja kiszonych ogórków.

Dziś w Polsce na nic nie ma pieniędzy. Skasowano niemal wszystkie inwestycje z czasów PiS, zrezygnowano z programów osłonowych dla społeczeństwa, zarżnięto instytucje badawcze i naukowe, a usługi publiczne takie jak edukacja i służba zdrowia znajdują się na skraju upadku. Można to oczywiście tłumaczyć, tak jak robi to rząd, deficytem budżetowym. Jak jednak możliwe, że deficyt na ten rok sięgnął aż 289 mld zł? To więcej niż łączny deficyt wszystkich ośmiu lat rządów PiS. Warto przypomnieć, że w 2023 r., gdy jeszcze rządziło Prawo i Sprawiedliwość, deficyt wyniósł 86 mld, a w 2022 r. mieliśmy nadwyżkę budżetową w wysokości 27,7 mld zł. Tymczasem odkąd władzę wziął Tusk z jego nieszczęsną koalicją, na wszystko zaczęło nagle brakować pieniędzy.

Ekonomiści związani z obecną władzą twierdzą, że wzrost deficytu jest skutkiem zwiększonych wydatków zbrojeniowych oraz „porządkowania budżetu” przez obecną władzę. Obwiniają rząd Mateusza Morawieckiego, że ten stosował sztuczki księgowe i upychał wydatki w funduszach pozabudżetowych, których długi trzeba

teraz spłacić. Uspokajają jednocześnie, że deficyt, choć nominalnie wysoki, nie jest groźny dla gospodarki.

Trudno zrozumieć ten tok myślenia. Bo o to z jednej strony Morawiecki wszystkim jest winny, a z drugiej obecny deficyt jest niegroźny. Skoro więc jest niegroźny, to gdzie ta wina Morawieckiego? Prawda jest taka, że kwestia obecnego deficytu to przede wszystkim decyzja polityczna. Morawiecki tworzył fundusze pozabudżetowe, bo po pierwsze, istnieje wprowadzony jeszcze przez balcerowiczowskich neoliberalistów i zupełnie idiotyczny konstytucyjny próg zadłużenia, a po drugie, usprawniało to proces rządzenia. Jednak w odróżnieniu od obecnej ekipy Morawiecki myślał perspektywnie i zakładał – słusznie zresztą – że sze-

Kilka lat temu Polska była europejskim liderem wzrostu. Dziś walczymy już tylko o sprawy fundamentalne: przeżycie w trudnych czasach. Zostaliśmy brutalnie sprowadzeni do parteru

roka polityka inwestycyjna (CPK, nowe porty, elektrownie jądrowe) przyniesie państwu duże dochody i w krótkim czasie pozwoli pokryć zwiększone wydatki.

Tymczasem obecny reżim zrezygnował z inwestycji, zatem nie ma innej możliwości, jak ciąć wydatki. To wręcz kliniczny przykład wąskich horyzontów i mikromanii obecnej ekipy. Inaczej nie potrafią. Skutkiem jest hamowanie rozwoju, plajty, zubożenie społeczeństwa i polityka kiszonych ogórków. W tej kwestii niewiele się zmieniło od czasów Leszka Balcerowicza.

ROZKLEKOTANY WÓZEK

Przedstawiony obraz byłby jednak niepełny, gdybyśmy całą rzecz sprowadzili wyłącznie do intelektualnej ciasnoty mi-

nistrów Tuska. Oni może nie są zbyt wyrefinowani, ale przecież właśnie tacy mają być. Bo tu nie chodzi o wielkie wizje czy rozwój Polski. Przeciwnie, mamy się zwinąć i dziadować gdzieś w kącie pod unijnym stołem. I trzeba przyznać, że Tusk doskonale wywiązuje się z tego zadania: zarżnąć nieźle prosperujący kraj w ciągu 14 miesięcy to naprawdę duża sztuka.

Wróćmy do kwestii inwestycji. To one miały być motorem napędowym Polski, przynieść nam w przyszłości duże zyski, zbudować krajowy kapitał i dać przewagę konkurencyjną w regionie. Rezygnacja z tych ambitnych planów oznacza, że utracenie przez nas korzyści odniosą inni – przede wszystkim nasi zachodni sąsiedzi. Tu naprawdę nie chodzi o budżet, a właśnie o to. Abyśmy pozostali europejskimi peryferiami, rynkiem zbytu dla cudzych towarów, niewiele znaczącym partnerem na arenie międzynarodowej – takim, za którego inni podejmują decyzje.

Za taką politykę obecnego reżimu zapłacimy wszyscy. Już teraz płacimy wyższymi cenami, rosnącym lokalnie bezrobociem i brakiem perspektyw. To jednak można jeszcze kiedyś naprawić, choć z trudem. Znacznie gorsza i potencjalnie bardziej niebezpieczna jest kompletna bezradność Tuska w sprawach zagranicznych. Już wkrótce możemy zostać zalani dziesiątkami tysięcy relokowanych imigrantów z Syrii, Afganistanu i innych państw. Być może nigdy się ich nie pozbedziemy. Tusk jest też kompletnie niewiarygodny (bo nie liczę jego głupich tweetów) w sprawach bezpieczeństwa militarnego. Miota się od ściany do ściany i wykonuje gesty, które można odczytać jako podważanie naszego sojuszu z Ameryką. W imię czego to robi? Bo z pewnością nie w interesie państwa.

W tej chwili Polska przypomina wóz drabiniasty z rozklekotanymi kółkami, który siłą bezwładności stacza się coraz bardziej. Nie mamy władzy z prawdziwego zdarzenia, brakuje nam przywództwa, jest za to zupełnie niekompetentny rząd z realizującym swoje antypisowskie obsesje Tuskiem na czele. Najgorsze, że na tym wózku siedzimy wszyscy. Bo jeśli dojdzie do katastrofy, Tusk zdąży z niego zeskoczyć.



**Z kapitanem
żeglugi wielkiej
Tadeuszem Hatałskim
rozmawia Grzegorz Górny**

Morze Bałtyckie staje się kluczowym akwenem z punktu widzenia bezpieczeństwa Polski. Może być ono areną przyszłych działań wojennych, jeśli Rosja zaatakuje kraje nadbałtyckie: Litwę, Łotwę i Estonię. Nieprzypadkowo dwa kolejne państwa leżące nad Bałtykiem, Szwecja i Finlandia, wstąpiły ostatnio do NATO. W tym kontekście ważne jest zarówno nasze bezpieczeństwo militarne, jak i energetyczne.

Tadeusz Hatałski: Zgadza się. Szczególnie wrażliwą sprawą jest bezpieczeństwo łańcucha dostaw do Polski strategicznych surowców energetycznych. Od czasu wybuchu wojny na Ukrainie surowce, takie jak węgiel, ropa czy gaz, są dostarczane do naszego kraju drogą morską. Problem polega jednak na tym, że realizują to jednostki pływające pod obcymi banderami. Jeżeli nad Bałtykiem zaczną latać rakiety, istnieje realne niebezpieczeństwo przerwania tych dostaw. Klauzule wojenne zawarte w umowach czarterowych na przewóz ładunków drogą morską pozwalają armatorom na odstąpienie od wykonania umowy w sytuacji, gdy port docelowy znajduje się w strefie zagrożonej wojną. Poza tym towarzystwa ubezpieczeniowe odmawiają wypłaty odszkodowania w przypadku szkody dotyczącej statków kierowanych na takie akweny bez ich zgody. Może się więc zdarzyć, że Gdańsk, Gdynia, Szczecin i Świnoujście z powodu bliskości frontu zostaną uznane za miejsca niebezpieczne dla żeglugi. Wtedy statki pod obcymi banderami przewożące strategiczne surowce energetyczne mogą odmówić zawiązania do naszych portów. Gdybyśmy dysponowali statkami pod naszą banderą, polskie władze mogłyby przejąć te jednostki do zadań państwowych. W przypadku zagranicznych armatorów jest to niemożliwe. Mówiąc wprost i bez ogródek: jeśli Bałtyk

Państwo bez floty handlowej

Bez narodowej bandery Polska może zostać odcięta od dostaw strategicznych surowców: węgla, ropy i gazu

stanie się strefą wojenną, to bez morskiej floty handlowej pod narodową banderą możemy zostać pozbawieni dostaw kluczowych surowców strategicznych: węgla, ropy i gazu.

Brak floty handlowej pod własną banderą jest więc sprawą gardłową z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa.

W grę wchodzi nie tylko bezpieczeństwo, lecz także korzyści ekonomiczne. Brak własnej floty morskiej powoduje wymierne straty dla gospodarki państwa. Razem z banderą uciekają pieniądze. Nasz skarb państwa miałby wpływy z tytułu podatku tonażowego, opłat rejestrowych, inspekcyjnych, formalnoprawnych oraz działalności gospodarczej *per se*. Te pieniądze nie trafiają jednak do polskiego budżetu, lecz do budżetów państw, pod których banderami pływają nasze statki. Według szacunków prof. Witolda Modzelewskiego utracone korzyści dla szeroko rozumianego sektora finansów publicznych z powodu braku floty pod narodową banderą wynoszą 7–9 mld zł rocznie.

Jak to się stało, że nie dysponujemy morską flotą handlową pod własną banderą? Pamiętam, że w czasach PRL, zwłaszcza w okresie rządów Edwarda Gierka, mówiono, że jesteśmy potęgą stoczniową, morską, a nawet oceaniczną.

Może nie byliśmy potęgą, ale znaczącym graczem na globalnym rynku żeglutowym. W tamtym czasie Polski przemysł stocznioowy i nasza flota morska cieszyły się dużą renomą na świecie. Polskie Linie Oceaniczne miały stałe linie żeglutowe do obu Ameryk, na Daleki Wschód czy do Australii. Z tym wiązała się cała sieć agentów, przedstawicielstw i interesów na wszystkich kontynentach. W 1989 r. posiadaliśmy flotę liczącą ok. 500 statków. Obecnie ich liczba spadła do 88, z czego, według danych GUS z 2023 r., tylko 14 pływa pod polską banderą, jednak żaden z nich nie jest statkiem handlowym.

De facto nie mamy więc floty. Z czego to wynika?

Problem polega na tym, że po upadku komunizmu z jednej strony zapadła gospodarka rynkowa, a z drugiej pozostały regulacje dotyczące żeglugi z minionej epoki, czyli z czasów gospodarki nakazowo-rozdzielczej. Skutek jest taki, że eksploatacja statków pod polską banderą stała się ekonomicznie nieopłacalna. W rezultacie nastąpiło zjawisko masowej ucieczki statków pod tzw. wygodne bandery, takie jak panamska, bahamska czy liberyjska.

Dlaczego tamte bandery są wygodniejsze niż polska?

Jest wiele powodów. Jednym z najważniejszych są pozapłacowe koszty pracy wynikające z wysokich ubezpieczeń społecznych marynarzy. Co więcej, brak u nas nowoczesnych, dostosowanych do światowego żeglutowego rynku pracy, ubezpieczeń społecznych dotyczących pracy na morzu, dotyka również samych marynarzy. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wprowadził obowiązek opłacania składek na ubezpieczenia społeczne dla marynarzy zatrudnionych przez unijnych armatorów na statkach obcych bander. Tacy pracownicy podlegają systemowi ubezpieczeń nie tego państwa, z którego pochodzi armator, ani tego, które użycza bandery, ale tego, w którym rezyduje marynarz. Tak więc Polak pływający na holenderskim statku pod panamską banderą musi odprowadzać składki w Polsce. To sprawia, że armatorzy są bardziej zainteresowani zatrudnianiem marynarzy spoza Unii Europejskiej, np. z Filipin czy Ukrainy, ponieważ wobec nich nie mają takiego obowiązku. W dłuższej perspektywie taki stan może jednak doprowadzić do stopniowej eliminacji polskich marynarzy z rynku żeglutowego. Jeśli zabraknie możliwości pracy na morzu, to zabraknie także chętnych do kształcenia się w uczelniach morskich. Tym samym przyszłość polskiego szkolnictwa morskiego, które dziś stoi na naprawdę wysokim, światowym poziomie, jest poważnie zagrożona.

W takim razie ten sam problem mają także inne kraje Unii Europejskiej. Niemcy nawet powinni mieć

z tym znacznie większy kłopot niż my, ponieważ tam składki na ubezpieczenia społeczne są wyższe od naszych. Czy wobec tego u Niemców także obserwujemy proces ucieczki statków pod obce bandery?

To dobre porównanie. Otóż niemiecka morska flota handlowa liczy obecnie ok. 1,8 tys. statków, z czego 259 pływa pod niemiecką banderą, a 622 pod banderami innych krajów UE. Jeśli porównamy nasze gospodarki, to polska jest pięciokrotnie od niemieckiej mniejsza. Jeśli natomiast chodzi o dysproporcję floty morskiej, to porównanie wypada znacznie gorzej na naszą niekorzyść: niemiecka jest większa od naszej 21 razy, a pod narodową banderą 18 razy. Nie ma żadnych obiektywnych przyczyn tak dużej różnicy.

A jakie są? Dlaczego statki niemieckie nie uciekają tak masowo pod obce bandery jak statki polskie?

Zjawisko „reflagingu”, czyli ucieczki pod tzw. wygodne bandery, dotknęło ogólnie cały Zachód. Dlatego Unia Europejska już jakiś czas temu postanowiła przeciwdziałać temu negatywnemu trendowi. W 2004 r. wydano wytyczne Wspólnoty o pomocy publicznej dla transportu morskiego, które dopuszczają, a nawet zalecają obniżenie zarówno podatku, jak i składek na ubezpieczenia społeczne praktycznie do zera. Wiele państw skorzystało z tej możliwości. Przedsiębiorcy rejestrujący statki pod banderami krajów unijnych mogą więc zachować pod tym względem taką samą konkurencyjność jak w przypadku ich rejestracji poza Unią.

Ale przecież prawo Unii nie dopuszcza wyjątków, jeśli chodzi o uiszczanie składek. Nie można zatrudnić marynarza bez ubezpieczenia.

To prawda, jednak unijne wytyczne dają krajom różne instrumenty ekonomiczne, by zyskać konkurencyjność względem wygodnych bander. Wiele krajów skorzystało z takich możliwości. Niemcy np. subsydują ubezpieczenia. We Włoszech armatorzy eksploatujący statki w tzw. drugim rejestrze są zwolnieni ze składek na ubezpieczenia społeczne.

Na Malcie składka na ubezpieczenie społeczne liczona jest od wynagrodzenia minimalnego. Dla nas szczególnie pouczający może być przykład Francji. Otóż norweski armator Knutsen OAS Shipping zamówił w koreańskiej stoczni budowę ośmiu tankowców, które mają obsługiwać kontrakt na dostawy gazu do Świnoujścia. Każdy z tych statków jest warty ok. 200 mln dol. Wszystkie te jednostki zostaną zarejestrowane pod banderą francuską, ponieważ Francja zwalnia armatorów z opłacania składek ubezpieczeniowych dla marynarzy. W efekcie na naszym kontrakcie gazowym zarabiają dodatkowo Norwegowie, Koreańczycy i Francuzi, a przecież część tych pieniędzy mogłaby trafić do Polski. Nam pozostały jedynie polskie nazwy tankowców pływających pod francuską banderą: „Lech Kaczyński” i „Grażyna Gęsicka”.

Z tego, co pan mówi, wynika, że nie da się ratować narodowych bander bez pomocy publicznej. Bardzo często słyszeliśmy jednak, że taka pomoc jest niedopuszczalna, zwłaszcza w Unii Europejskiej.

Neoliberalny paradygmat, który po upadku systemu komunistycznego zapanował w Europie, a zwłaszcza w Polsce, mówił, że najlepszym lekarstwem na wszystkie problemy gospodarcze jest niewidzialna ręka wolnego rynku. Z tego punktu widzenia wszelka pomoc publiczna była wykluczona. W pewnym momencie Unia Europejska zdała sobie jednak sprawę, że nie ma innego sposobu, by sprostać konkurencji pozaeuropejskiej, jak właśnie skorzystanie z pomocy publicznej. Nie mamy przecież żadnych możliwości wpływania na Panamę czy Bahamy, by wprowadziły one obowiązek ubezpieczeń społecznych dla swoich marynarzy. By wyrównać szanse i zniwelować przewagi konkurencyjne tamtych krajów, sięga się więc po ten instrument. W Europie zrobili to praktycznie wszyscy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy, tylko nie my.

Czy są jeszcze inne powody, które zniechęcają armatorów do rejestracji statków pod polską banderą?

Procedury rejestrowe w Polsce są skomplikowane i czasochłonne. Językiem żeglugi międzynarodowej jest angielski. Niezależnie od przynależności państwowej statku w tym języku są sporządzane wszystkie dokumenty i certyfikaty. Nasz system rejestrowy wymaga natomiast przedłożenia dokumentów w języku polskim. Na dodatek u nas nie ma rejestru elektronicznego. Jeśli więc jakiś zagraniczny armator, np. z Singapuru, byłby zainteresowany zarejestrowaniem swojego statku w polskim rejestrze, musiałby najpierw przetłumaczyć

W 1989 r. posiadaliśmy flotę liczącą ok. 500 statków. Obecnie ich liczba spadła do 88, z czego, według danych GUS z 2023 r., tylko 14 pływa pod polską banderą, jednak żaden z nich nie jest statkiem handlowym

wszystkie dokumenty na polski, a następnie dostarczyć je w formie papierowej do Izby Morskiej w Gdyni. Jeśli ma do wyboru inną możliwość, w której nie musi dokonywać żadnych tłumaczeń, a całą czynność może wykonać elektronicznie, nie ruszając się ze swojego biura, to wybierze ten drugi wariant. Poza tym nasze regulacje są tak zawile i skomplikowane, że wymagają wyłączenia statku z eksploatacji na kilka dni, co przynosi wymierne straty finansowe, a tego armatorzy chcą uniknąć za wszelką cenę. W tym kontekście jako wzór do naśladowania można postawić kraje unijne, takie jak Cypr, Malta czy Portugalia, które stworzyły preferencyjne warunki dla przedsiębiorców żeglugowych. Statek można tam zarejestrować, szybko

i bez uciążliwych procedur. Tę różnicę szczególnie widać w przypadku opłaty rejestracyjnej.

To znaczy?

Opłata rejestracyjna w Polskim Rejestrze Okrętowym dla dużych jednostek wynosi od 40 tys. zł do 200 tys. zł w zależności od tonażu i typu statku. Jest płatna w całości z góry w momencie rejestracji. Np. na Malcie mamy natomiast do czynienia z roczną opłatą ryczałtową, która jest rozłożona na czas amortyzacji statku, czyli ok. 20 lat. Wstępna rata w momencie wpisania do rejestru wynosi tam od 500 do 1,5 tys. euro w zależności od wielkości statku. Końcowa wysokość opłat w Polsce i na Malcie jest porównywalna. Dla armatorów jednak znacznie korzystniejsza jest roczna opłata ryczałtowa niż uiszczana w całości z góry. Poza tym, jeśli po kilku latach eksploatacji statku armator chce go przeflagować, to w Polsce nie odzyska już pieniędzy, które zapłacił z góry przy rejestracji. Na Malcie mu to nie grozi.

A podatki? Czy one też odstraszą armatorów?

Kłopot stanowi podatek tonażowy, który jest podatkiem opcjonalnym, płaconym zamiast dochodowego. W Polsce jego wysokość jest porównywalna z innymi krajami, jednak problem polega na tym, że u nas minimalny okres podlegania mu to 10 lat, podczas gdy w innych państwach jest on znacznie krótszy. Cała dekada to jednak zbyt długi okres, by armator mógł podjąć racjonalne decyzje, który podatek jest dla niego korzystniejszy. Dlatego skrócenie tego wymogu czasowego do jednego, dwóch lat podniosłoby konkurencyjność polskiej bandery.

Myślę, że kluczowa jest jednak kwestia bezpieczeństwa narodowego. Może obecna sytuacja geopolityczna otrzeźwi naszych decydentów i uświadomi im, że w przypadku konfliktu międzynarodowego najlepszą gwarancją nieprzerwanego dostaw strategicznych surowców energetycznych drogą morską do Polski jest posiadanie własnej narodowej bandery.



Panie na prawo, panowie też

Przybywa Polaków i Polek o prawicowych poglądach. A jeszcze niedawno społeczeństwo, w tym kobiety, skręcało w lewo. Czy to już efekt rządów Tuska?

Ogólnopolska Grupa Badawcza przeprowadziła sondaż, z którego wynika, że w Polsce przybywa wyborców prawicowych. „Jeszcze nigdy w naszych badaniach tak wiele osób nie deklarowało poglądów prawicowych. Okazuje się, że największy na to wpływ ma zmiana poglądów kobiet w Polsce. Prawicowa fala nie omija naszego kraju, ale do tej pory miała ona twarz mężczyzny, ograniczając poparcie dla takich partii jak Konfederacja do połowy elektoratu, ale zaczyna się to zmieniać” – wyjaśniał w mediach społecznościowych szef OGB Łukasz Pawłowski.

Jak zmieniły się poglądy Polaków przez ostatni rok?

„Doszło tutaj do małej rewolucji. Jeszcze w lutym 2024 r., kilka miesięcy po wygranych przez opozycję wyborach parlamentarnych, 32 proc. deklarowało poglądy prawicowe, 22 proc. lewicowe. Było to zdecydowanie na fali tamtego zwycięstwa. Już w wyborach samorządowych – 39 proc. prawicowe, 18 proc. lewicowe. Bardzo podobnie wyglądało to przy wyborach europej-



DOROTA ŁOSIEWICZ

skich – 38 proc. prawicowe i 18 proc. lewicowe” – tłumaczył szef OGB.

Jednak w badaniu opublikowanym w lutym 2025 r. już 42 proc. Polaków zadeklarowało poglądy prawicowe. To najwięcej we wszystkich badaniach OGB przez ostatnie pięć lat. Poglądy lewicowe zadeklarowało tylko 15 proc. badanych. To zaś najniższy poziom odnotowywany we wszystkich badaniach przez ostatnie pięć lat, które przeprowadziło OGB.

– Ta zmiana to, moim zdaniem, m.in. wynik tego, że Polaków przymusza się do wprowadzania zielonych polityk, wywołuje się poczucie winy, że jesteśmy odpowiedzialni za to, że planeta płonie, że imigranci muszą przyjeżdżać do Europy, bo klimat się niszczy,

a to się zderza z rozwarstwieniem społecznym. Ludzie bogaci są coraz bogatsi, a ludzie biedni są coraz biedniejsi. Mimo że pracują, nie mogą przebić szklanego sufitu – analizuje Rafał Buca, politolog. – Dla ludzi mieszkających na prowincji jedyną opcją, by dojechać gdziekolwiek, jest samochód spalinowy, a im się mówi, że ten samochód jest zły, bo nieekologiczny. Przy tym wszystkim ludzie widzą, jak elity na szczyty klimatyczne latają odrzutowcami. To nachalnie wywołujące poczucie winy przez lewicę i liberałów, narzucanie stylu działania, który wydaje się nieskuteczny w zwalczaniu konkretnych problemów, powoduje odwrót od poglądów lewicowych i liberalnych. Przy tym ludziom realnie żyje się coraz gorzej, jest coraz trudniej wynająć czy kupić mieszkanie, dostać się do placówki edukacyjnej, do pracy, bo ceny paliwa są wysokie, a transportu publicznego brakuje. I ci ludzie wciąż słyszą, że muszą być obciążani coraz to nowymi podatkami, muszą zmieniać sposoby ogrzewania domów, bo ktoś im w Brukseli kazał – wyjaśnia Buca.

REWOLUCYJNA ZMIANA

45 proc. mężczyzn deklaruje, że ma poglądy prawicowe i to jest względnie stabilne. Jednak duża zmiana zaszła wśród kobiet. Rok temu poglądy prawicowe i poglądy lewicowe były na tym samym poziomie. Jednak teraz aż 40 proc. kobiet deklaruje, że ma poglądy prawicowe. Zdaniem Pawłowskiego to najwyższy wynik w historii badań OGB. Tylko 18 proc. kobiet przyznaje się do poglądów lewicowych. To znaczy, że o zmianie w skali całego kraju i dominacji poglądów prawicowych decydują właśnie kobiety.

„To właśnie zmiana poglądów polskich kobiet przez ostatnie miesiące, a dosłownie przez ostatnie pół roku, zmieniła obraz polityczny w Polsce. Czy to kwestia imigrantów, czy to kwestia bezpieczeństwa międzynarodowego, tego jeszcze nie wiemy, ale ta zmiana jest naprawdę rewolucyjna i ona dotyczy właśnie zmiany poglądów wśród kobiet przede wszystkim” – wyjaśniał prezes Ogólnopolskiej Grupy Badawczej.

– Rządy Donalda Tuska bardzo pomogły kobietom w zmianie poglądów. Dwie sprawy, które moim zdaniem dla kobiet są bardzo ważne, to po pierwsze, kwestie związane ze zdrowiem i ochroną zdrowia. I tu widzimy, że minister Leszczyńska nie rozwiązała problemów za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Różdżka się zgubiła, obietnice okazały się puste, a ochrona zdrowia dawno nie była w takiej zapaści, są kolejki, zabiegi są odwoływane. Druga sprawa to fakt, że wdrożenie paktu migracyjnego staje się coraz bardziej realne. Wszyscy widzimy te obrazy z Europy Zachodniej, gdzie często atakowane są nawet kobiety z dziećmi. Dochodziło do zabójstw, gwałtów, a każda kobieta chce się czuć bezpiecznie – tłumaczy przyczyny zmiany poglądów wśród kobiet Anna Gembicka, posłanka PiS.

EFEKT TUSKA

Wzrost liczby wyborców o poglądach prawicowych ciekawie koreluje z niezadowolaniem z rządu. Na pytanie: „Czy jest Pan(i) zadowolony(a) z dotychczasowych działań rządu Donalda Tuska?” zadane przez pracownię Opinia24 na zlecenie radia RMF FM, w sumie 57 proc.

ankietowanych wyraziło swoje niezadowolenie. Z tego samego badania wynika, że kobiety są mniej zadowolone z działań rządu niż mężczyźni. Aż 62 proc. z nich oceniło rząd negatywnie. Jednocześnie z badania tej samej pracowni dla RMF FM wynika, że wśród elektoratu kobiecego i młodzieżowego (wyborców między 18. a 24. rokiem życia) znacząco spada poparcie dla Rafała Trzaskowskiego, kandydata Koalicji Obywatelskiej w wyborach prezydenckich. Widać to w dwóch sondażach – grudniowym i lutowym. W pierwszym z nich chęć oddania głosu na Trzaskowskiego deklarowało 31 proc. badanych w wieku 18–24 lata, natomiast w lutym już tylko 14 proc. Spadek notowań prezydenta stolicy był wyraźny także wśród badanych kobiet: z 46 proc. do 34 proc.

Zdaniem politologów z jednej strony mamy „efekt Trumpa”, polegający na tym, że deklarowanie poglądów prawicowych przestało być traktowane jako obciach. Z drugiej strony mamy „efekt Tuska”, wynikający z niezadowolenia z rządu. Za oceny gabinetu siłą rzeczy musi płacić wiceszef PO Rafał Trzaskowski.

W tym kontekście pozornie może nieco zaskakiwać najnowsze badanie OGB, z którego wynika, że w drugiej turze wyborów prezydenckich głosowanie na Trzaskowskiego deklaruje zdecydowanie więcej kobiet niż mężczyzn. „Pokazała się ogromna różnica między wyborami kobiet i mężczyzn. W USA mówi się na to gap gender. Jeśli głosowałyby same kobiety, przewaga Rafała Trzaskowskiego nad Karolem Nawrockim w drugiej turze wynosiłaby 17 pp. To ogromna różnica, jeśli chodzi o tak wyrównany wyścig prezydencki. Ale jak popatrzymy na wybory mężczyzn, to wśród mężczyzn wygrywa Karol Nawrocki różnicą 10 pp. Łączna różnica pomiędzy kobietami i mężczyznami to 27 pp. Nigdy w Polsce nie mieliśmy tak dużej różnicy, takiego rozjazdu między wyborami kobiet i mężczyzn, jeśli chodzi o wybory prezydenckie” – analizował badanie prezes OGB.

Jednak to, że głosowanie na Rafała Trzaskowskiego w drugiej turze deklaruje więcej kobiet niż mężczyzn, nie stoi w sprzeczności z tym, że w Polsce przybyło wyborców, w tym kobiet, o poglądach prawicowych.

WYBÓR KOBIET

Podczas konferencji programowej Karola Nawrockiego pojawiły się transparenty z napisem: „Kobiety za Nawrockim”. Dlatego oraz z powodu zmiany poglądów politycznych deklarowanych w sondażach Żaklina Skowrońska z telewizji w Polsce24 zapytała kobiety, czemu chcą głosować na tego kandydata.

„Dla mnie jako dla matki ważne jest to, że Karol Nawrocki będzie walczył o edukację, o rodzinę, o tradycję. Ja nie chcę, żeby ktoś moją córkę indoktrynował w szkole i mówił jej, ile jest płci. Są dwie” – mówiła jedna z uczestniczek konwencji. „Mi wystarczy to, że Karol Nawrocki będzie kontynuował politykę Lecha Kaczyńskiego. To miód na moje serce” – dodawała inna.

Korzystając z wyprawy busem w Polsce24, który, promując stację, pojawia się w różnych miejscach Polski, i ja pytam kobiety obecne na jednym ze spotkań z kandydatem popieranym przez PiS, dlaczego planują na niego głosować. Co słyszę? „A co?! Na »dupiarza« mam głosować? Pan Nawrocki tak ładnie mówi o żonie i o miłości. Jaki normalny chłop się chwali, że jest »dupiarzem«?” – słyszę od jednej z kobiet. Stojąca obok uczestniczka spotkania dodaje: „A pani widziała, jakie są ceny w sklepach? Nigdy nie było tak drogo. W święta Bożego Narodzenia to nawet w rodzinie z prezentów zrezygnowaliśmy, byle było co na stół postawić. Nawet się boję myśleć o Wielkanocy. Masło już ma być po 12 zł!” „A co oni robią dla kobiet? Tylko o aborcji gadają! A co mnie aborcja obchodzi?! Szkołę zniszczyli! Dzieci, zamiast się uczyć, to tylko w tych telefonach siedzą. Rząd PiS to chociaż myślał o rodzinach, a ci to najchętniej wszystko by zabrali, ale się boją, bo byśmy ich na taczkach wywieźli” – dodaje kolejna pani.

Z większości badań przeprowadzanych w ostatnim czasie, w których w siłę rośnie inny kandydat o poglądach prawicowych, Sławomir Mentzen, wynika jedno: zsumowane poparcie Polaków dla kandydatów prawicowych jest znacznie wyższe niż dla kandydatów liberalnych i lewicowych. Druga tura zapowiada się niezwykle emocjonująco.

Geopolityczny pojedynek na miny

Wszystko, co się działo przed i po awanturze w Białym Domu, sugeruje, że Zelenski był zachęcany przez polityków Partii Demokratycznej oraz, jak pisze Jim Hoft na portalu Gateway Pundit, „instruowany przez gang Obamy, Clintona i Bidena, aby skonfrontować się z Trumpem”



DARIUSZ MATUSZAK

Opowiadanie o Ameryce Donalda Trumpa daje wiele przyjemności, ale jest obciążone ryzykiem. To, co piszemy dziś, za kilka dni może być nieaktualne. Gdy czytają państwo ten tekst, Stany Zjednoczone mogą być w trakcie kolejnych rozmów z Ukrainą. Pojawiają się nawet sugestie o ponownej wizycie Zelenskiego w Waszyngtonie, któremu w charakterze przyzwoitek mieliby towarzyszyć premier Wielkiej Brytanii i prezydent Francji. Równie dobrze ciśnienie pomiędzy Ukrainą a Stanami Zjednoczonymi mogło urosnąć tak, że wszystko eksplodowało i szanse na porozumienia na długi czas zostały



pogrzebane. Więc Kijów został z urwaną ręką w nocniku, czyli z Wielką Brytanią, Brukselą, Paryżem, Berlinem i wzruszającymi słowami pocieszenia, które nadesłał sekretarz ONZ, portugalski socjalista António Guterres.

Sprawa dotyczyła rzeczy śmiertelnie poważnych, ale wymianę zdań, do której doszło w Gabinetcie Ovalnym pomiędzy Zelenskim a Trumpem i wiceprezydentem Vancem, moglibyśmy komentować jak pojedynek bokserski pomiędzy zawodnikiem wagi koguciej a mistrzem superciężkiej. Do prowokacji doszło jeszcze w czasie ważenia zawodników – kogucik podskakiwał, a potem padł na ring i nawet nie został z niego wyniesiony, ale wyrzucony, jak to bywa w Ameryce podczas cyrkowych popisów w udawanych zapasach, czyli wrestlingu, które Trump sam organizował, a nawet w nich występował.

Takie stawianie sprawy może się nam nie podobać, ale tak to widzi większość Amerykanów. Z badań YouGov wy-

konanych na zlecenie telewizji CBS wynika, że 52 proc. z nich popiera pomoc Ukrainie i jednocześnie politykę Trumpa wobec niej. Tymczasem w 2024 r. przeciwników polityki Joe Bidena wobec Ukrainy było aż o 22 pp. więcej niż zwolenników. Jakkolwiek w kontekstach międzynarodowych nie analizować awantury w Białym Domu, jakich by geopolitycznych wizji nie snuli znawcy, to na zaangażowanie Ameryki trzeba też patrzeć przez pryzmat polityki wewnętrznej. Trump ze śmiertelną powagą traktuje swoje hasło „America First” (Najpierw Ameryka).

KIEŁBASA W GABINETCIE OWALNYM

Do rozmów zasiadły samce alfa i showmani, ludzie, dla których widowisko jest naturalnym żywiołem. Mylą się ci, którzy postrzegają politykę jako czystą, pozbawioną uczuć i emocji grę interesów. To często też pojedynki charakte-

rów, temperamentów i to właśnie cechy osobiste przywiodły naszych dwóch bohaterów do tego fatalnego spotkania. Gdyby nie odwaga, charyzma, zdolności do zmobilizowania swego narodu, a także społeczności świata, Zelenski nie byłby przyjmowany przez prezydenta Stanów Zjednoczonych. A gdyby nie agresywność, brutalność, wybujałe ego, a także osobista odwaga, Trump nie byłby prezydentem.



Niestety w tym gombrowiczowskim pojedynku Zelenski miał ubogi repertuar min, a na dodatek wszystko do zyskania albo stracenia. Trump zaś niczym nie ryzykował i mógł oczekiwać jedynie korzyści – nie tylko związanych z umową, lecz także rozkoszną sławą człowieka czynu, który doprowadza sprawę do końca tam, gdzie inni zawiedli. 11 lat wojny (licząc od 2014 r.) i oto on, Donald Trump, ją kończy, więc należy mu się wymarzony pokojowy Nobel. Wszystko zepsuć mógł tylko Zelenski i im więcej dowiadujemy się o przebiegu negocjacji, tym bardziej staje się jasne, że to on zawałił, że tam, w Białym Domu, nie zdołał unieść ciężaru odpowiedzialności za swój naród.

Spójrzmy na wszystko oczami Trumpa, bo tak naprawdę tylko jego zdanie się liczy. Można się zacukać z oburzenia, ale tylko on zdecyduje, czy Ukraina będzie dostawała pomoc, czy w jakimś czasie możliwa jest jakaś forma niosącego pokój porozumienia

z Rosją. Jakaś, bo nie będzie żelaznych gajtów, gwarancji kutych w kamieniu. Ameryka nie ma obowiązku pomagać leżącej 8 tys. km od niej Ukrainie, ma za to prawo sprawdzać, jak wydawane są jej pieniądze i stawiać za nie żądania.

I oto Trump widzi w Waszyngtonie może wielkiego przywódcę, ale człowieka nieuczciwego, wciąż prowadzącego jakieś liche gierki. W Białym Domu było już trzecie podejście do podpisania umowy. Pierwsze miało miejsce w Kijowie, gdzie po drugiej stronie stołu zasiadł sekretarz skarbu Scott Bessent. „Prezydent Trump wysłał mnie, aby ponownie zbliżyć naród ukraiński do USA i by dać silny sygnał rosyjskim przywódcom, że mamy z Ukraińcami nie tylko wspólne wartości, lecz także interesy gospodarcze. Był to również sygnał dla Amerykanów, że ich podatki faktycznie będą pracować – relacjonował sekretarz w Fox News. – Zamiast tego prezydent Zelenski i ja odbyliśmy bardzo gorące 45-minutowe spotkanie. Powtarzałem mu: »Panie prezydencie, mamy pokazać Rosjanom, że nie ma między nami większych różnic«. Pod koniec spotkania powiedział: »Cóż, nie podpiszę tego«. Zapytałem go: »Co chcesz powiedzieć mediom? Ja nie chcę pokazać Rosjanom, że między nami jest przepaść«. Powiedział: »Cóż, wyjdę i powiem, że podpiszę to w Monachium«.”

Zelenski jedzie do Monachium i znów nic. Obwieszcza światu, że umowa jest nie do przyjęcia. W Waszyngtonie brakuje 15 min do oficjalnego podpisania i oto po raz kolejny kłóci się, napina, okazuje lekceważenie. Wedle wielu relacji aroganckie zachowanie rozpoczęło się jeszcze na korytarzu, zanim wszyscy weszli do Gabinetu Ovalnego. Powtarza się sytuacja z Kijowa i Monachium, tyle że w świetle kamer. Bismarck mawiał, że nie należy pokazywać, jak się robi kielbasę i politykę, ale Biały Dom zmienia się w masarnię.

JAKI JEST KOŃ NIE KAŻDY WIDZI

Trump ma przed sobą człowieka nie tylko fałszywego, lecz także nielojalnego, o czym przekonał się my, którzy pierwsi nieśliśmy pomoc Ukrainie. Przekonał się o tym też sam Trump w 2019 r. podczas skandalu związanego

z impeachmentem, kiedy Kongres oskarżył go, że w czasie rozmowy telefonicznej szantażował Zelenskiego i uzależniał pomoc dla Ukrainy od tego, czy dostanie dokumenty potwierdzające korupcję Huntera Bidena, syna Joe Bidena. Hunter od lat zasiadał w radzie dyrektorów największej ukraińskiej firmy energetycznej i paliwowej Burisma. Wsadził go tam jego ojciec, wówczas wiceprezydent USA. W 2019 r. wystarczyło jedno zdanie Zelenskiego, a lipne, preparowane przez demokratów oskarżenie by runęło. Tymczasem on odwrócił się od człowieka, który jako pierwszy dał Ukrainie realną pomoc wojskową i od 2016 r. wysyłał jej wyrzutnie przeciwpancerne Javelin. A przecież mógł tylko koce, tak jak to robili Obama i Biden.

Trump i republikanie widzą, że Zelenski jest nielojalny, bo największe pokrewieństwo czuje z europejską lewicą, amerykańskimi demokratami, światem waszyngtońskiego i unijnego jaśnie państwa, do którego chce należeć razem ze swą elegancką małżonką. Do tego stopnia, że bezwstydnie popiera rywalkę Trumpa Kamalę Harris, więc we wrześniu podczas kampanii prezydenckiej pojawia się na jej wyborczej imprezie w Pensylwanii.

Do Gabinetu Ovalnego wchodzi wzdęty od pochlebstw demokratów i ich słów poparcia. Czuje moc, bo politycy Partii Demokratycznej, a najgłośniejsi senatorowie Mark Kelly z Arizony i Chris Murphy z Connecticut, krytykowali umowę jako niekorzystną dla Ukrainy i namawiali Zelenskiego, by ją odrzucił. Wszystko, co działo się przed i po awanturze, sugeruje, że ukraiński prezydent był zachęcany czy podpuszczany ze strony demokratów oraz, jak pisze Jim Hoft na portalu Gateway Pundit, „instruowany przez gang Obamy, Clintona i Bidena, aby skonfrontować się z Trumpem”. Jakby nie chodziło o to, by pomóc Ukrainie, tylko zaszkodzić Trumpowi.

ZELENSKI GRA NA FORTEPIANIE

Ledwo kończy się awantura, a przewodnicząca Komisji Europejskiej Niemka von der Leyen, szef Europejskiej Partii Ludowej Niemiec Weber, szefowa Parlamentu Europejskiego Maltanka Metsola, szef Rady Europejskiej

Portugalczyk Costa ślą na platformie X dokładnie ten sam, ustalony komentarz: „Twoje poczucie godności jest oddaniem holdu odwadze narodu ukraińskiego. Bądź silny, bądź odważny, bądź nieustraszony, drogi Prezydencie Zelenski. Będziemy nadal współpracować z Tobą na rzecz sprawiedliwego i trwałego pokoju”. Szefowa unijnej dyplomacji Kallas oświadcza, że świat potrzebuje nowego lidera. Pal diabli jakąś umowę, Ukrainę z tej tragedią, bo ważniejsze jest – „precz z Trumpem”. W tle kabotyńskie zażalenie, bo przecież nie ma nawet śladu unijnej koncepcji i pracy na rzecz owego „trwałego i sprawiedliwego pokoju”.

Przez europejskie media przevalają się patetyczne, pełne bojowego wsparcia tytuły, a Zelenski, podbechtany sławą i honorami, brnie coraz głębiej, aż sięga poziomu bruku. Możemy analizować nagrania z Gabinetu Ovalnego i jedni powiedzą, że rzucił pod nos ordynarne określenia w kierunku wiceprezydenta Vance’a, inni zaprzeczają. Ale nie ma wątpliwości, że ordynarnych prowokacji wobec Trumpa dopuszczają się najbliżsi ludzie Zelenskiego. Telewizyjna firma producencka Kwartał 56, którą założył i której właścicielem był do prezydentury (na Ukrainie wszyscy podejrzewają, że nadal jest), publikuje na swych stronach obrzydliwy komentarz – zdjęcie fortepianu z tabliczką z napisem: „Trump”. To nawiązanie do prymitywnego skeczu Zelenskiego z czasów, kiedy był kabareciarzem i aktorem. Przyszły prezydent Ukrainy i jego koledzy ze spuszczonymi głowami grają na fortepianie tym, co mają między nogami. Film ze sceną i zdjęcie jako komentarz krążą po mediach, więc niech się nikt nie łudzi, że nie znają ich ludzie Trumpa.

Prezydent Ameryki ma do czynienia z człowiekiem nie tylko fałszywym, lecz także głupim. Tak, można być wielkim przywódcą zdolnym poderwać własny naród do walki i jednocześnie niedojrzałym politykiem. Jak nasz ukochany Sobieski – wielki wódz i żołnierz, lichy król i obywatel. Zelenski zachowuje się, jakby nie rozumiał otoczenia i tego, że w mieście jest nowy szeryf, na którego nie działają zaklęcia i sztuczki, jakie do tej pory sto-

sował. Straszanie Trumpa na oczach milionów w jego „własnym” Białym Domu, że Rosja napadnie na Amerykę, było przeciwskuteczne, aroganckie i niemądre. Podobnie jak protekcyjne uwagi, że Amerykanie nie znają realiów wojny, rzucane przy byłych żołnierzach i weteranach – wiceprezydent Vance służył w marines i na misji w Iraku, a doradca ds. bezpieczeństwa Mike Waltz to komandos Zielonych Beretów po Iraku i Afganistanie. Owszem, to doświadczenia nieporównywalne z tymi, które mają żołnierze na Ukrainie, ale ci ludzie i Trump nie są unijnymi salonowymi tygrysami, z jakimi

Trump i republikanie widzą, że Zelenski jest nielojalny, bo największe pokrewieństwo czuje z europejską lewicą, amerykańskimi demokratami, światem waszyngtońskiego i unijnego jaśnie państwa, do którego chce należeć wraz ze swą elegancką małżonką

Zelenski ma do czynienia w Europie. Widzieć w Trumpie kolejną woskową postać jak Biden to fundamentalny błąd nieracjonalnej oceny sytuacji.

Wszystkie te psychologiczne niuanse, pojedynki, kto ma większe ego, sprawy zaliczane do *savoir-vivre* dyplomacji mają znaczenie. Jeśli jakiś pokój, lepszy czy gorszy, ma być zawarty, to rozmowy Zelenskiego z Putinem są nieuniknione. Jak prezydent Ukrainy miałby negocjować z pełnym zlej woli, bezwzględnym dyktatorem, skoro w komfortowych warunkach nie potrafi tego z ludźmi, którzy są po jego stronie. Już mała prowokacja ze strony Putina wystarczy, by się nadał, zaczął publicznie wyklócać i bluźgać pod nos. Z powodu swej arogancji jest gotów w pół godziny rozwalić misterne plany, wielkie przygotowania. Trump sformułował swe obawy

wobec Zelenskiego, mówiąc wprost, że jeśli prezydent Ukrainy będzie miał poczucie bezwarunkowego poparcia Ameryki, to w swej pysze nie pójdzie na żadne ustępstwa i jakiekolwiek porozumienie z Putinem nie będzie możliwe. Już dziś Trump i Amerykanie uważają, że mamiony obietnicami Unii Europejskiej, uwiedziony pochlebstwami Zelenskigo prezentuje roszczeniową, arogancką postawę, jakby to jego samopoczucie było ważniejsze niż zakończenie wojny.

Nie będziemy snuć geopolitycznych rozważań. Nie posuniemy się w swej pysze tak daleko, by pisać, jak długo powinna walczyć Ukraina, jak negocjować, czego się domagać, a z czego ustąpić. Ale wiemy, że Putin nie złoży podpisu pod aktem własnej kapitulacji. Nieuchronnie zbliża się moment, w którym Zelenski będzie musiał odpowiedzieć swojemu narodowi, a także światu, na kilka pytań. Jakie środki są potrzebne, aby odzyskać Donbas i Krym? Jak daleko Putin będzie skłonny wycofać się do granic z 2022 r.? Jak zostanie odstraszony i powstrzymany? I sam w skrytości musi rozważyć, co ma robić: czekać cztery wojenne lata na powrót do władzy w USA demokratów? Modlić się, by w 2026 r. zdobyli oni większość w Kongresie i wrócili z kolejnym impeachmentem Trumpa? Wciąż mieć nadzieję, że Europa masowo wyprodukuje broń i mu ją przekaże?

Minęły trzy krwawe lata i do tej pory nikt poza Trumpem nie podjął tematu zakończenia wojny. Prezydent USA wie, że Zelenski nie ma planu i nie potrafi wskazać drogi do zwycięstwa. Tak samo Europa, chyba że koncept jest ten, który mają Berlin, Bruksela Paryż – więcej wydawać na surowce z Rosji niż na pomoc Ukrainie, ale podtrzymać wojnę. Skoro pierwszy plan, ten sprzed trzech lat, się nie powiódł i Kijów nie padł w trzy dni, niech wojna trwa. Niech Ukraina się wykrwawia. Podobnie Rosja – taniej nam będzie sprzedawać surowce. A im bardziej Ukraina jest zniszczona, tym łatwiej będzie ją skolonizować, a i kontrakty na odbudowę będą większe. Umierająca UE wciąż potrzebuje nowych organów do transplantacji i transfuzji zdrowej krwi, więc niech na dziesięciolecia dawcą będzie Ukraina.

Nawet niektórzy ukraińscy komentatorzy, tacy jak Serhij Sydorenko z portalu Europejska Prawda, uważają, że Zełenski popełnił błąd, wdając się w kłótnię w Gabinetie Ovalnym. Jak napisał „Nie powinniśmy przecież przymykać oczu na fakt, że spór zaczął się od zarzutów Zełenskiego pod adresem Vance’a, do których mogło nie dojść”.

Warto się zastanowić, czy ukraiński prezydent, z trudem znoszący publiczną krytykę i przyzwyczajony do hymnów pochwalnych na swój temat, dał się sprowokować i stąd jego nadmiernie emocjonalna reakcja, by nie powiedzieć o niecenzuralnych określeniach rzuconych przezeń pod adresem wiceprezydenta USA, które zarejestrowały kamery, czy raczej rozegrał całą sprawę na zimno, eskalując sytuację celowo. Nie ulega wątpliwości, że Zełenski chciał pojechać do Waszyngtonu po to, aby podpisać z trudem wynegocjowaną umowę w sprawie eksploatacji ukraińskich surowców mineralnych i powołania funduszu rekonstrukcji, który miał być przedsięwzięciem wspólnym z Amerykanami. „Słyszałem, że przyjedzie w piątek” – powiedział dziennikarzom prezydent Trump w przeddzień wizyty. „Nie mam nic przeciwko temu, jeśli on chce osobiście podpisać umowę”.

Amerykanie nie nalegali na przyjazd Zełenskiego, przedstawiciele administracji publicznie deklarowali, że wystarczyłoby im podpisanie umowy na szczeblu ministerialnym. To raczej strona ukraińska dążyła do podniesienia statusu wizyty. Czasu na jej przygotowanie było niewiele, co też zapewne miało wpływ na przebieg rozmowy w Gabinetie Ovalnym. Przede wszystkim z tego powodu, że w przeciwieństwie do wcześniejszych wizyt Macrona i Starmera – a liderzy obu mocarstw atomowych włożyli wiele wysiłku w ocieplenie osobistych relacji

z prezydentem USA – Ukraińcy zdawali się nie przywiązywać wielkiej wagi do tego aspektu relacji. O ile Starmer, który w przeszłości formułował kaskadę uwag na temat Trumpa, przywiózł dla niego osobiste zaproszenie od króla Karola III do pałacu Buckingham, czym zjednał

trzebę rozmowy o amerykańskich gwarancjach bezpieczeństwa i uzyskania czegoś więcej, niż Waszyngton był skłonny przyznać. Co prawda w umowie o wykorzystaniu ukraińskich surowców mineralnych znalazły się dość ogólne zapisy na ten temat, a sam Trump

i przedstawiciele jego ekipy wielokrotnie podkreślali, że amerykańskie inwestycje oraz obecność firm z USA w trwały sposób zakorzeni Ukrainę w świecie Zachodu, ale Zełenski chciał deklaracji, które mogłyby równoważyć negatywne sygnały w sprawie członkostwa w NATO i perspektywy odzyskania terytoriów okupowanych przez Rosjan. W jego oczach sama umowa mogła być niewystarczającą gwarancją, bo Putin w rozmowie z dziennikarzem Pawłem Zarubinem proponował Trumpowi rosyjskie złoża, w tym znajdujące się na terenach okupowanych, i istniało ryzyko, że po prostu przelicytuje stronę ukraińską.

Zełenski chciał zatem negocjować, a Trump i jego ekipa myśleli raczej o ceremonialnym spotkaniu, podczas którego ukraiński prezydent podziękuje Ameryce za dotychczasową pomoc, uzna wysiłki Białego Domu w sprawie zawarcia porozumienia o zawieszeniu broni i pokoju z Rosją oraz podpisze umowę o surowcach. Ta ostatnia była Trumpowi potrzebna, o czym

w Kijowie z pewnością wiedziano, bo pięć dni później, wygłaszając swe pierwsze orędzie przed Kongresem, mógłby z typową dla siebie skromnością zaprezentować się jako skuteczny prezydent, który najszybciej, może poza George’em Washingtonem, osiąga umowy i porozumienia korzystne dla Ameryki. To dlatego w tym samym czasie zaprzyjaźnieni i inspirowani przez Białą Dom finansiści z funduszu BlackRock finalizowali porozumienie z Hutchinson, chińskim konglomeratem z Hong Kongu, którego stawką było przejęcie operatora portów

W jaki sposób Zełenski chciał przechytrzyć Trumpa

Prezentując się jako twardy obrońca ukraińskich interesów w Białym Domu, Zełenski liczył na wsparcie europejskich sojuszników, wymuszenie na Trumpie gwarancji bezpieczeństwa oraz odzyskanie zaufania krajowej opinii publicznej.

Plan był ambitny, ale szybko okazał się kompletnie nierealny



MAREK BUDZISZ

sobie amerykańskiego prezydenta, o tyle Zełenski zdawał się liczyć wyłącznie na urok osobisty.

W wielu publicznych wypowiedziach jeszcze przed rozmową w Białym Domu ukraiński prezydent deklarował po-

w 23 krajach świata, w tym w strefie Kanału Panamskiego. Trump mógł się pochwalić, że odzyskał kontrolę nad Kanałem i wyparł stamtąd Chińczyków. Do tego samego było mu potrzebne porozumienie z Ukrainą.

Zelenski nie działał pod presją, choć oczywiście Ukraina nie ma dużo czasu na doprowadzenie do korzystniejszych dla siebie rozwiązań, ale krótkoterminowo, a mówimy tu o perspektywie dni, to Trumpowi bardziej zależało na porozumieniu. Sukces negocjacyjny w Białym Domu miał też pomóc Zelenskiemu w odzyskaniu poparcia wyborców, co staje się tym istotniejsze, że wiadomo, iż dyskutowany plan negocjacji z Rosją, co publicznie ujawnił Marco Rubio, ma obejmować trzy kroki – zawieszenie broni, przeprowadzenie na Ukrainie wyborów prezydenckich i parlamentarnych, a następnie przystąpienie z nowym mandatem do negocjacji pokojowych.

NA CO LICZYŁ ZELENSKI?

Jadąc do Waszyngtonu, Zelenski i jego otoczenie nie mogli też nie słyszeć o „efekcie Trudeau”, choćby dlatego, że Kanada jest jednym z najbliższych sojuszników Kijowa, a ukraińska diaspora odgrywa w życiu politycznym tego państwa znaczącą rolę. Na czym polega ten efekt? Już po wyborze Trumpa kanadyjski premier próbował nawiązać dialog z prezydentem elektem. Jeszcze przed jego zaprzysiężeniem polecał do Mar-a-Lago, aby poprawić wzajemne relacje. Na niewiele się to jednak zdało, wywołało tylko odejście z kanadyjskiego rządu minister finansów i wicepremier Chrystii Freeland, która opowiadała się za twardszą postawą wobec Trumpa. W efekcie Trudeau podał się do dymisji i Kanada podobnie jak Ukraina zaczęła się przygotowywać do wyborów. Sytuacja rządzących liberalów, którzy jeszcze sześć tygodni temu mieli 28 proc. straty wobec opozycyjnych konserwatystów, była do pewnego stopnia podobna do tracącego poparcie Ukraińców Zelenskiego. Tylko że w wyniku presji Trumpa, który po raz kolejny zaczął mówić o aneksji i wymuszeniu – pod groźbą cel – zmiany

polityki Ottawy, w Kanadzie nastąpiła gruntowna zmiana nastrojów. W przepływie antyamerykańskich i nacjonalistycznych emocji opinia publiczna odwróciła się od konserwatystów, których lider zbyt przypominał Kanadyjczykom Trumpa, a liberalowie nie dość, że odrobili stratę, to jeszcze wyszli na prowadzenie i mają 2 proc. przewagi. Media opublikowały ostatni sondaż trzy dni przed wizytą Zelenskiego w Białym Domu.

Ukraiński prezydent miał jeszcze jeden atut – sytuację na froncie. W ostatnich tygodniach rosyjski impet wyraźnie osłabł, a straty znacząco wzrosły. George Barros, ekspert Instytutu Studiów nad Wojną, zwrócił uwagę na skalę

W Londynie Zelenski usłyszał zdecydowane „nie” dla próby wymuszenia czegokolwiek na Waszyngtonie. Zarówno Macron, jak i Starmer, a także Rutte zaczęli nalegać na prezydenta Ukrainy, aby ten wrócił do rozmów z Trumpem i zrobił wszystko, aby naprawić relacje

rosyjskich problemów. W jego opinii tylko na jednym kierunku operacyjnym, w Donbasie, Rosjanie stracili w ostatnich tygodniach 0,5 tys. czołgów i 1 tys. transporterów opancerzonych. Kosztem olbrzymich ofiar zdołali przesunąć front o 10 km, co w najlepszym razie oznacza pyrrusowe zwycięstwo. Ekspert uważa też, że jeśli w najbliższym czasie Kreml nie uzyska dużych dostaw sprzętu z Korei Północnej lub Chin, to pochodzące jeszcze z czasów sowieckich zapasy zaczynają się wyczerpywać w czasie najbliższych 12, a maksymalnie 18 miesięcy.

Inni analitycy, tacy jak Franz-Stefan Gady, relacjonowali, że ich zdaniem nawet bez amerykańskiej pomocy



ukraińska armia jest w stanie skutecznie walczyć nawet przez kolejne 12 miesięcy, tym bardziej że Rosjanie sprawiają wrażenie wyczerpanych i potrzebujących przegrupowania. A to oznaczało, że jeśli Europejczycy utrzymają pomoc, nie należy się spodziewać katastrofy. Graeme Wood napisał na łamach „The Atlantic”, że przesuwać się w dotychczasowym tempie, Rosjanie „będą potrzebowali 117 lat”, aby zdobyć Ukrainę. Te oceny, podzielane przez ukraińskich ekspertów, dawały Zelenskiemu poczucie, że ma czas i możliwości, by pokazać, że nie zawrze pokoju na żadnych warunkach, chce silniejszych gwarancji bezpieczeństwa i może rozmawiać z Trumpem nie z pozycji petenta, ale równorzędnego partnera. Te

rachuby były związane przede wszystkim z postawą Europejczyków. Jeśli liderzy naszego kontynentu poparliby politykę postawienia się Trumpowi oraz zadeklarowali kontynuowanie pomocy, w tym dostaw broni i amunicji, to plan wymuszenia zmian w linii politycznej Białego Domu miałby szanse powodzenia. Tym bardziej że już po niemieckich wyborach, dosłownie w ciągu kilku godzin, Friedrich Merz, lider chadek i przyszły kanclerz, zasadniczo zmienił kurs. Wcześniej przeciwstawiał się reformie konstytucyjnej i zniesieniu „hamulca zadłużenia”, a już po głosowaniu wystąpił z propozycją, aby „stary Bundestag”, wykorzystując fakt,



że nowi posłowie nie zostali zaprzysiężeni, podjął stosowne kroki. W efekcie CDU/CSU zawarło z SPD, prawdopodobnym partnerem koalicyjnym, porozumienie o budowie specjalnego, wartego nawet 500 mld euro funduszu na modernizację infrastruktury i wyłączenia wydatków na Bundeswehre z restrykcyjnej polityki limitowania długu publicznego. Zdaniem ekonomistów łączne wydatki Niemiec mają wzrosnąć nawet o 1 bln euro, a dług publiczny zwiększyć się o 20 proc. Jaki ma to związek ze strategią Zelenskigo? Otóż politycy niemieckiej chadecji od tygodni nawołują do zwiększenia wydatków wojskowych, które w 2027 r. mogą osiągnąć nawet 3,5 proc. PKB, aby przystąpić do budowy europejskich sił zbrojnych. Otwarcie wezwał do tego na łamach „Foreign Affairs” Wolfgang Ischinger, za czasów Merkel ambasador w Waszyngtonie i Paryżu, a także szef Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. W jego opinii „siły europejskie” miałyby stanowić antidotum na nadmierne uzależnienie naszego kontynentu od Stanów Zjednoczonych, a także stanowić narzędzie do przywrócenia „niemieckiego przywództwa” w Europie. Nasz kontynent zacząłby się uniezależniać od Ameryki Trumpa, ale aby ten proces nie wiązał się z ryzykiem rosyjskiej agresji, bo na razie jesteśmy rozbrojeni, byłaby potrzebna Ukraina.

O tym zdawał się myśleć Zelenski, który w wywiadzie dla NBC, którego udzielił przed wizytą w Białym Domu, policzył łączny potencjał państw Europy

i Ukrainy. Jego zdaniem Rosjanie mają dziś 200 zdolnych do walki i dobrze wyposażonych brygad sił lądowych, Ukraina 100, a Europa jedynie 86. Ciekawe, ukraiński prezydent nie wspominał w wywiadzie o zaangażowaniu USA, otwarcie sugerując, że to Ukraina może przejąć obowiązki realizowane do tej pory przez Amerykanów. Ta zmiana ról mogłaby przebiegać w scenariuszu przyjaznym, w którym Kijów koordynowałby swą politykę z Waszyngtonem, co Zelenski otwarcie proponował jeszcze jesienią ub.r. w swym pięciopunktowym planie zakończenia wojny, albo w wariantcie rywalizacyjnym. Ten ostatni oznaczałby zaangażowanie się Ukrainy w niemiecki projekt armii europejskiej, który w Berlinie jest jednoznacznie rozumiany jako alternatywa wobec obecności amerykańskiej, bo, jak oświadczył Merz, więzi atlantyckie skruszały „i zostaliśmy sami”.

A zatem Zelenski miał wszelkie widoki na sukces. Prezentując się jako twardy obrońca ukraińskich interesów w Białym Domu, mógł zyskać w oczach ukraińskiej opinii publicznej, a wspólny europejsko-ukraiński opór mógł w średniookresowej perspektywie doprowadzić do korzystnej rewizji linii Trumpa np. w postaci wzmocnienia gwarancji dla Ukrainy. W tym przypadku niekoniecznie chodziło o amerykańską obecność wojskową, ale w przeddzień wizyty w Białym Domu brytyjski premier rozmawiał z Trumpem o wsparciu USA dla europejskiego kontyngentu wojskowego. Bez niego – a wiadomo, że chodzi o zaplecze logistyczne, dane wywiadowcze i amunicję – ten kontyngent był raczej mirażem niż realnością, a taki stan rzeczy nie byłby korzystny dla Ukrainy.

NIE DRAŻNIĆ TRUMPA

Dlaczego zatem ten plan się nie powiódł i już kilka dni po kłótni w Białym Domu Zelenski był zmuszony do umieszczenia w sieciach społecznościowych publicznego wpisu, w którym wyraża ubolewanie z powodu tego, co się stało oraz zadeklarował gotowość zarówno podpisania porozumienia, jak i bezwarunkowego wsparcia pokojowych starań Donalda Trumpa? We wpisie nie ma też mowy o rozszerzonych gwaran-

cjach bezpieczeństwa, bo wiadomo, że ich nie będzie. Zdecydowała postawa europejskich sojuszników Ukrainy. W Londynie Zelenski usłyszał zdecydowane „nie” dla próby wymuszenia czegośkolwiek na Waszyngtonie. Zarówno Macron, jak i Starmer, a także Rutte zaczęli nalegać na prezydenta Ukrainy, aby ten wrócił do rozmów z Trumpem i zrobił wszystko, aby naprawić relacje. Starmer zadzwonił w tej sprawie do Zelenskigo jeszcze w dniu starcia w Gabinetcie Ovalnym, aby wymusić na nim zmianę stanowiska. Niemniej wymowne było podjęcie przez Europejczyków, jak relacjonował dziennik „The Telegraph”, niemal natychmiastowej misji dyplomatycznej, aby ratować sytuację. W Londynie okazało się też, że Kijów nie ma co liczyć na konfiskatę rosyjskich aktywów, redukcji uległ też kształt „europejskiego kontyngentu”. Po tym, jak Trump najprawdopodobniej odmówił wsparcia, Macron sformułował koncepcję miesięcznego zawieszenia broni „na morzu i w przestrzeni powietrznej” oraz przestał wspominać o wysłaniu sił lądowych. Swoje zaangażowanie w misję pojednawczą zadeklarował też król Karol III, a Pałac Elizejski wypuścił niepotwierdzoną informację, że kolejną ratunkową wizytę w Waszyngtonie odbędą wspólnie liderzy Francji, Wielkiej Brytanii i Ukrainy.

Trudno o bardziej wymowne wotum nieufności wobec dyplomatycznych zdolności Zelenskigo, który rozpoczynając ryzykowaną grę, nie uwzględnił jednego kluczowego czynnika. Otóż europejscy sojusznicy Ukrainy, tacy jak Francja, mówią o „suwerenności strategicznej”, wcale nie myślą o zerwaniu ze Stanami Zjednoczonymi, co ułatwiłoby Niemcom objęcie przywódczej roli na kontynencie. Ich zamiarem jest raczej uzyskanie roli lidera Europy, który nadal miałby zdolność porozumienia się z Waszyngtonem i kształtowania relacji sojuszniczych na nowych warunkach. A to oznaczało brak poparcia dla ryzykownego zagrania Zelenskigo, który odniósł tylko niewielki sukces. Najnowsze badania ukraińskiej opinii publicznej wskazują na to, że odzyskał on pierwsze miejsce w rankingu poparcia. Niewykluczone, że chodziło wyłącznie o to.

BBC, stronnictwo i Gaza



Brytyjski nadawca publiczny BBC musiał wycofać swój dokument o Strefie Gazy po tym, jak wyszło na jaw, że pokazane w nim dzieci to syn i córka ministra Hamasu. Nadawca broni się przed zarzutem tworzenia propagandy, twierdząc, że „ich głosy zasługują na to, by być słyszane”



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Dzień dobry. Wszystko u was w porządku? Zastanawialiście się kiedyś, co wy byście zrobili, gdyby wasz świat nagle został zniszczony? [...] „Potrafiłbyście żyć w namiocie, wychowywać tam wasze niemowlę? Pomagalibyście ludziom? Próbowalibyście się bawić? Potrafiłbyście przeżyć?” – pyta 13-letni Palestyńczyk Abdullah al-Dżazuri w filmie dokumentalnym BBC pod tytułem: „Gaza. Jak przeżyć w strefie wojny”. Jego

głos towarzyszy widzom przez cały film, na którym widzimy zniszczenia, śmierć i płonące, zbombardowane domy, nad którymi unoszą się kłęby dymu. Prawdziwy wyciskasz łez o tragicznym losie mieszkańców Strefy Gazy.

Abdullah i jego siostra Safia, która także występuje w dokumencie, zostali – jak pisze „The Spectator” – wybrani „nieprzypadkowo”, tylko dla „osiągnięcia jak największego efektu emocjonalnego”. „Mamy współczuć mieszkańcom Gazy, którzy występują tu wyłącznie w roli ofiar, a państwo Izrael w roli agresora” – czytamy na łamach gazety.

Zniszczenia w Gazie widziane oczami dzieci pozbawionych domów i przyszłości. Dokument był zachwalany przez BBC jako „niezależne” oraz „ludzkie” spojrzenie na konflikt izraelsko-palestyński.

SYSTEMOWE UPREDZENIA?

Szybko jednak wybuchł wokół niego skandal, który karze wątpić w dobre intencje jego twórców. A co najmniej w zachowanie przez nich podstawowych dziennikarskich standardów. Dzień po wyświetleniu dokumentu dziennikarz śledczy David Collier ujawnił, że anglojęzyczny narrator Abdullah jest synem wiceministra rolnictwa Hamasu Ajmana al-Dżazuriego, który studiował w Wielkiej Brytanii. Jego siostra Safia otwarcie świętowała atak Hamasu na Izrael 7 października 2023 r., pisząc na platformie X: „Amen, Panie Boże”. Pod spodem dodała emoji serduszka. Kilka miesięcy wcześniej, w maju, cieszyła się z powodu ataków rakietowych na Tel Awiw. Mało tego, firma produkcyjna zatrudniona przez BBC – HOYO Films – zapłaciła Abdullahowi za jego udział w dokumencie. Zdaniem krytyków jest to równoznaczne z opłacaniem Hamasu, który w Wielkiej Brytanii znajduje się na liście organizacji terrorystycznych. Zatrudniony przy filmowaniu dokumentu kamerzysta z Gazy Hatem Rawagh także udostępniał na swoich profilach społecznościowych posty chwalcące masakrę Hamasu z 7 października.

Po otrzymaniu licznych zgłoszeń brytyjska policja rozpoczęła śledztwo, które ma wyjaśnić, czy podczas kręcenia filmu nie złamano prawa. 45 prominentnych dziennikarzy i przedstawicieli mediów podpisało się pod listem otwartym żądającym usunięcia dokumentu. Wśród nich znalazł się m.in. prezes BBC w latach 2013–2015 David Cohen. „Nadszedł czas, aby BBC przyznała, że ma systemowy problem uprzedzeń wobec Izraela, a ten dokument to tylko wierzchołek góry lodowej” – zaznaczył. Według niego dokument „idealnie wpisuje się w kłamliwą propagandę Hamasu”.

UWIARYGODNIANIE TERRORYSTÓW CZY CENZURA?

Jak twierdzi „The Daily Telegraph” BBC dopuściła się także poważnych manipula-

cji podczas tłumaczenia wypowiedzi osób występujących w dokumencie. „Usunięto z niego wszelkie odniesienia do Żydów i wszelkie pochwały dżihadu. Co najmniej pięć razy słowa Jahud lub Jahudy – po arabsku Żyd lub Żydzi – zostały zamienione na Izrael lub siły izraelskie albo całkowicie usunięte z napisów” – czytamy na łamach gazety. Jeden z protagonistów wychwalał zabitego przez izraelskie wojsko lidera Hamasu Jahję Sinwarę za „dżihad przeciwko Żydom”. W tłumaczeniu BBC mówił on, że walczy z „siłami izraelskimi”. Część jego wypowiedzi dotycząca Sinwara została pominięta.

Dokument nie jest już zresztą dostępny ani na stronach BBC, ani na iPlayerze. Został wycofany na czas przeprowadzenia przez nadawcę wewnętrznego dochodzenia. Spór o dokument natomiast trwa. Rzecznik nadawcy zadeklarował, że mimo kontrowersji dokument zawiera „opowieści palestyńskich dzieci, które zasługują na to, by zostały wysłuchane”. Kampania Przeciwko Antysemityzmowi (CAA) dalej organizuje protesty przed siedzibą BBC. Według organizacji „od 7 października 2023 r. obserwowaliśmy, jak nasz krajowy nadawca publikował coraz bardziej życzliwe relacje na temat zakazanej organizacji terrorystycznej, chowając się za twierdzeniami o bezstronności”. „Nie ma nic bezstronnego w uwiarygodnianiu terrorystów” – dodała CAA w oficjalnej deklaracji.

Pojawił się także kolejny list otwarty, tym razem w proteście przeciwko „ocenzurowaniu tematu Gazy”, podpisany przez 500 prominentów, m.in. byłego piłkarza Gary’ego Linekera. Poseł Partii Pracy Kim Johnson powiedział portalowi Middle East Eye, że „narracja Abdullaha przedstawia kluczową perspektywę, która zasługuje na wysłuchanie, a nie na cenzurę”.

ODRUCH BEZWARUNKOWY

Sam Abdullah także ma pretensje. Jak twierdzi, jest zalewany hejtem w mediach społecznościowych, a BBC nie zadbało o jego bezpieczeństwo. „Jeśli coś mi się stanie, oni będą za to odpowiedzialni” – mówił w rozmowie z Al Dżazirą.

Awantura wokół dokumentu BBC pokazuje, jak ideologicznie naładowany jest temat konfliktu izraelsko-palestyńskiego

w krajach zachodnich. I jak duża jest tendencja w lewicowo-liberalnych mediach, takich jak BBC, by stawiać po stronie Palestyńczyków przeciwko „izraelskiemu imperializmowi”. Jest to niemal odruch bezwarunkowy. Liczy się właściwa postawa, nie fakty.

Tymczasem można było łatwo stworzyć dokument pokazujący racje obu stron konfliktu, a co najmniej osadzić opowieści dzieci z Gazy w odpowiednim kontekście. Nie umniejszając przy tym ciężkiego losu, którego wiele z nich bez wątpienia doświadczyło. Tyle że zapewne najciężej doświadczone nie byłyby akurat dzieci ministrów Hamasu.

W Gazie jest prawie 1,7 mln ludzi, w tym ok. 500 tys. dzieci. Zamiast tego w dokumencie przedstawiono cztery „nieznane historie”, które w rzeczywistości były opowiadane niezliczoną liczbę razy kanałom Channel 4, ABC, Reuters, CBS, Al Dżazira i CNN przez tego samego Abdullaha i inne dzieci funkcjonariuszy Hamasu – według Davida Colliera, dziennikarza śledczego, który ujawnił uchybienia w dokumencie BBC.

Co ciekawe, protestujący przeciwko cenzurze pro-palestyńscy aktywiści sami się jej domagają, gdy chodzi o Izrael. W grudniu 2024 r. film dokumentalny Yolande Zauberman o kobiecie trans ze Strefy Gazy, która osiadła w Tel Awiwie, został wycofany z festiwalu Kina Śródziemnomorskiego w Brukseli, bo aktywiści grozili bojkotem i oprostowywaniem wydarzenia.

LEWICOWY PRZECHYL

BBC od dawna musi stawiać czoło oskarżeniom, że prezentuje wyraźny przechył w lewo. W sondażu YouGov z października 2023 r. 23 proc. ankietowanych stwierdziło, że BBC jest ogólnie przychylne Partii Pracy, podczas gdy 18 proc. uznało, że Partii Konserwatywnej. Reszta nie miała zdania. Raport sporządzony przez Departament Kultury, Mediów i Sportu pod rządami konserwatystów ze stycznia ub.r. sugerował reformę mającą na celu „wzmocnienie zaufania do bezstronności BBC” wśród społeczeństwa, w tym plany, aby Ofcom, regulator mediów, nadzorował witrynę informacyjną i kanał YouTube nadawcy. Na razie rząd Partii Pracy nie podjął się reformy, jednak jest ona w planach.

Gabinet Keira Starmera analizuje obecnie nowe sposoby finansowania BBC, ponieważ umowa royal charter wygaśnie w 2027 r. Rozmowy, których rozpoczęcie jest spodziewane w ciągu kilku tygodni, obejmą dyskusje na temat nowej definicji misji nadawcy oraz większej roli Narodowego Urzędu Kontroli w nadzorowaniu jego wydatków. Tymczasem liczba skarg złożonych na nadawcę rośnie z roku na rok. Po wyborach prezydenckich w USA było ich szczególnie dużo. Z relacji BBC wynikało bowiem, że Donald Trump zwyciężył, bo „straszył ludzi imigrantami”. Zupełnie bez powodu. A jego polityka ma być oparta na „wydumanej” ksenofobii.

W zeszłym roku BBC musiało przeproszać także po tym, jak nazwało partię Nigela Farage’a Reform UK „skrajnie prawicową” oraz ujawniło w swoim wewnętrznym przeglądzie, że „nieprzyjemne” fakty o imigracji nie są przez nią „zbyt eksponowane”. Na dodatek stacja musiała się bronić przed zarzutami, że w stroniczny sposób relacjonowała zamieszki w Southport. „BBC musi się bardziej starać” – podkreślił Stuart Andrew, minister kultury w opozycyjnym gabinecie cieni.

ZAUFANIE A IDEOLOGIA

W lutym ub.r. koordynatorka programowa BBC Three zamieściła posty na Facebooku, w których nazwała Żydów „pasożytami nazistowskiego apartheidu”. Rzekomo straciła pracę. Od 7 października 2023 r. brytyjski nadawca publiczny przeprosił zresztą już co najmniej 12 razy za istotne błędy redakcyjne w relacjach z Gazy. W styczniu BBC przeproszała także za audycję na żywo w Radio 5, podczas której korespondent z Jerozolimy określił palestyńskich więźniów w Izraelu jako zakładników.

Dyrektor generalny BBC Tim Davie nie wykluczył powrotu kontrowersyjnego dokumentu o Strefie Gazy na platformę iPlayer, tak w każdym razie powiedział podczas przesłuchania w Izbie Gmin. Davie upierał się, że nie „wyklucza niczego”, jeśli chodzi o dokument, który ogólnie uważa za udany. Jednocześnie przyznał, że poczułby „frustrację i rozczarowanie”, gdyby miał on zmniejszyć zaufanie publiczne do BBC. Trudno pogodzić ze sobą tak sprzeczne stanowiska.

Koniec systemu Obamy

Załamał się funkcjonujący przez kilkanaście lat model zarządzania Partią Demokratyczną, jej programem i komunikacją z wyborcami, który przynosił polityczne sukcesy. Na czym polegał i dlaczego upadł?



GRZEGORZ GÓRNY

Środowiska lewicowo-liberalne w Stanach Zjednoczonych krzyczą o kryzysie demokracji w USA. W rzeczywistości jest to kryzys nie demokracji, lecz demokratów – partii, której obecna formuła stworzona przez Baracka Obamę uległa całkowitemu wyczerpaniu. Jeszcze niedawno jej liderom wydawało się, że nie mają z kim przegrać. Dziś muszą wymyślić siebie na nowo, jeśli nie chcą być zmarginalizowani przez kolejne lata.

Dla nikogo w Waszyngtonie nie jest tajemnicą, że najpotężniejszą osobą w Białym Domu za prezydentury Bidena był w rzeczywistości Barack Obama, który kierował wieloma wydarzeniami

z tylnego siedzenia. „Sleeping Joe”, jak go pieszczotliwie nazywano, był zbyt stetryczały, by sprawować realne rządy. Wcześniej przez osiem lat lojalnie pełnił funkcję wiceprezydenta u boku Obamy i mentalna zależność, która się wówczas wykształciła, przetrwała obie kadencje.

Poza tym Obama miał dodatkowy atut: przekształcił Partię Demokratyczną na swój obraz i podobieństwo, tworząc przy okazji nieformalny, alternatywny ośrodek władzy.

„PRODUKOWANIE ZGODY”

Obama jako pierwszy przywódca USA zdał sobie sprawę ze zmierzchu tradycyjnych mediów i potęgi internetu, który postanowił wykorzystać dla swoich celów. Dwaj ludzie odegrali szczególnie dużą rolę w stworzeniu przez niego nowego systemu. Pierwszym z nich był Ben Rhodes, autor przemówień Obamy i jego doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, który szybko zrozumiał, jakie możliwości daje rewolucja cyfrowa. Dzięki

zdobyciu monopolistycznej pozycji w mediach społecznościowych nie trzeba już było słuchać „opinii publicznej”, ponieważ można ją było po prostu sztucznie tworzyć. W wewnętrznym żargonie Białego Domu nazwano to „manufacturing consent” (produkowaniem zgody).

Przepis był prosty: sieć własnych ekspertów i organizacji pozarządowych nagleśnia pewną tezę, która do tej pory była uważana za marginalną lub niemożliwą do przyjęcia, wspomniana teza jest powtarzana przez wiele „pułk rezonansowych”, czyli grupy internautów, którzy stwarzają wrażenie masowości i powszechności danej opinii. Potem następuje efekt sprzężenia zwrotnego – wpuszczona do obiegu teza wraca ze zwielokrotnionym echem, ale już nie jako marginalna, lecz mainstreamowa, przez wielu przyjmowana jako oczywista, a przez niektórych bezwiednie nawet jako własna, wraca jako głos „opinii publicznej” do elit politycznych i medialnych, które ją podchwytują i podporządkowują się jej.

Ten świat lustrzanych odbić, do którego wrzucano kolejne obrazy, stanowił nowy rodzaj władzy dający możliwość tworzenia i kontrolowania narracji wpływających na poglądy i postawy społeczne.

Pierwszą ofiarą tych zmian padło nie amerykańskie społeczeństwo, lecz Partia Demokratyczna, którą Obama przebudował według swoich założeń ideologicznych. W rezultacie ugrupowanie całkowicie zmieniło swój dawny centrowy charakter i znalazło się pod wpływem fanatycznych lewicowych radykałów zawdzięczających swą pozycję głównie kontroli nad platformami cyfrowymi. Znakiem rozpoznawczym obozu, który porzucił klasę średnią, stało się poparcie dla aborcji, transseksualizmu, krytycznej teorii rasy, kultury anulowania, genderyzmu, klimatyzmu, wokizmu itd.

„STRUKTURY PRYZWOLEŃ”

Drugą osobą, która pomogła Obamie stworzyć nowy system, był geniusz marketingu politycznego David Axelrod. Pod koniec XX w. jego ambicją było doprowadzenie do wyborczych zwycięstw kandydatów z zasady „niewybieralnych”. Za polityków niemających szans na taki triumf przez wiele lat uznawano przedstawicieli czarnoskórej mniejszości. Axelrod przełamał tę prawidłowość, kierując w latach 90. kampaniami Denisa Archera w Detroit, Michaela White’a w Cleveland, Anthony’ego Williamsa w Waszyngtonie, Lee Browna w Houston i Johna Streeta w Filadelfii. Dzięki niemu wszyscy ci afroamerykańscy politycy zostali burmistrzami w swoich miastach. Obama długo musiał zabiegać o jego względy, aż w końcu się udało. Axelrod zgodził się zostać szefem jego sztabu wyborczego i dwa razy (2008 i 2012) poprowadził go do zwycięstwa w wyścigu prezydenckim.

U podstaw sukcesów niepozornego konsultanta politycznego leżała odpowiedź na pytanie, co zrobić, by biali wyborcy przezwyciężyli swoje uprzedzenia i zagłosowali na czarnego polityka. Metoda, którą zastosował, nazywana jest w specjalistycznym żargonie „permission structures” (strukturami przyzwoleń). Jej istotą nie jest odwoływanie się do rzeczywistych poglądów czy przekonań odbiorców, lecz do pewnego idealnego typu osoby, który

odpowiadałby temu, w jaki sposób sami chcieliby być postrzegani przez innych. Większość chciała być uważana za osoby inteligentne, światłe, rozumne, otwarte, tolerancyjne, a nie zacofanych obskurantów czy bigotów. Należało im więc przedstawić tak skonstruowaną propozycję.

Z każdymi kolejnymi wyborami Axelrod udoskonalał metodę, dzięki której wyborcy mogli przezwyciężać swoje uprzedzenia i głosować wbrew wcześniejszym przekonaniom. Dzięki temu można było jednak sprawić, by ludzie zaczęli postępować wbrew własnym poglądom i interesom. Ten mechanizm psychomanipulacji w połączeniu z siłą mediów społecznościowych dał mieszaną piorunującą. Efekt był taki, że poddani odpowiedniej obróbce ludzie byli w stanie powtarzać kompletne

System Obamy mógł skutecznie funkcjonować, dopóki posiadał monopol na interpretowanie świata. W zderzeniu z nieskrępowaną wolnością słowa nie miał szans na zwycięstwo

absurdy jak prawdy objawione, np. że istnieje trzecia pleć albo że najlepszym sposobem na zapewnienie bezpieczeństwa w miastach jest odebranie policji funduszy.

KLĘSKA INTERSEKCYJNOŚCI

Za rządów Bidena obóz demokratów oprócz owego nieformalnego ośrodka władzy nad umysłami posiadał też narzędzia polityczne związane z administracją państwową. W tej sytuacji mogło się wydawać, że nic nie jest w stanie zagrozić jego zwycięstwu, a jednak przegrał z kretesem. Dlaczego?

Po pierwsze, polityka intersekcyjności, czyli nakładania się na siebie i zazębiania różnych dyskryminowanych społeczności zapędziła demokratów w ślepy zaułek. Im mniejsza była jakaś mniejszość

w mniejszości (np. czarnoskóre lesbijki adoptujące dzieci z surogacji), na tym większe względy mogła liczyć jako współczesny odpowiednik uciskanego proletariusa. Malowało jednak zarazem prawdopodobieństwo, że program polityczny skoncentrowany na takich grupach może trafić do większości społeczeństwa. Jednak lewicowy aktyw tego nie widział, coraz bardziej upodabniając demokratów do sekty oderwanej od problemów przeciętnego obywatela. Gabinet luster, który stworzyli, przesłonił im rzeczywistość. Uwierzyli w obrazy, które sami fabrykowali. W efekcie stracili jakąkolwiek zdolność oceny tego, co się dzieje wokół.

Po drugie, przez całe lata udawało im się implementować swoją sekciarską mentalność do życia publicznego, nawet (za pomocą różnych programów równościowych i różnorodnościowych) wielkich korporacji, jednak w pewnym momencie przestraszyli swoimi żądaniami nawet oddanych im do tej pory sojuszników. Każda sekta ma bowiem tendencje totalitarne, dążące do podporządkowania sobie otoczenia. To przerażoło największych potentatów z Doliny Krzemowej, którzy poczuili się egzystencjalnie zagrożeni i przeszli na stronę republikanów.

Po trzecie, demokraci stracili pozycję hegemonu w mediach cyfrowych. Przejęcie Twittera przez Elona Muska okazało się „game-changerem”, który zmienił reguły gry. Wystarczyło, że zlikwidował cenzurę na kupionej przez siebie platformie cyfrowej. Efekt był taki, jakby do zatęchłego pomieszczenia wpuszczono świeże powietrze. System Obamy mógł skutecznie funkcjonować, dopóki posiadał monopol na interpretowanie świata. W zderzeniu z nieskrępowaną wolnością słowa nie miał szans na zwycięstwo.

Wiele wskazuje, że jest to koniec stworzonego kilkanaście lat temu sposobu zarządzania Partią Demokratyczną, jej programem oraz komunikacją z wyborcami. Ten model poniósł klęskę i nie można go już reaktywować, ponieważ zmieniły się okoliczności. Do wielu to jednak jeszcze nie dociera. Wygląda jakby demokraci nadal pozostawiali zakładnikami środowisk fanatycznych ekstremistów, którzy po listopadowej porażce niczego nie zrozumieli, ani niczego się nie nauczyli. ➤

Proste, lecz niełatwe

Teoretyk sztuki wojennej Carl von Clausewitz zauważył: „W strategii wszystko jest proste, lecz nie jest łatwe”. Można powiedzieć, że w obronności, kiedy odwołamy się do podstawowych kwestii, też wszystko wydaje się proste, ale jeśli spojrzymy, jak radzono sobie z tym w III Rzeczypospolitej, trzeba stwierdzić, że nie było i nie jest to łatwe



ROMUALD SZEREMIETIEW

Jak wyglądają dziś główne problemy w sferze obronności, z którymi musi się uporać państwo polskie?

KŁOPOT PIERWSZY: PIENIĄDZE

W czerwcu 2024 r. w „Gazecie Wyborczej” ukazał się wywiad z byłym prezydentem Bronisławem Komorowskim. Za tytuł posłużyły jego słowa: „Nie ma powodu do paniki. Nie straszmy się, Polacy”. Zwróciło moją uwagę, że Komorowski pochwalił się, że już w 2001 r. postulował zwiększanie wydatków na obronność. W tamtym czasie, gdy był ministrem obrony, 25 maja 2001 r. w Sejmie przyjęto ustawę o przebudowie i modernizacji technicznej oraz finansowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej w latach 2001–2006. Na wojsko zamierzano przeznaczać 1,95 proc. PKB rocznie.

Byłem wtedy sekretarzem stanu w MON, pierwszym zastępcą ministra obrony. Odpowiadałem za modernizację techniczną armii, zakupy uzbrojenia, infrastrukturę, badania i rozwój uzbrojenia oraz sprzętu wojskowego. Jednak prace nad wspomnianą ustawą toczyły się w ministerstwie niejako w tajemnicy przede mną. Komorowski zadbał o to, abym nie uczestniczył w pra-

cach nad ustawą. Nie miałem wpływu na jej zapisy.

W 1996 r. współtworzyłem Akcję Wyborczą Solidarność i zorganizowałem Zespół Zadaniowy AWS ds. Polityki Obronnej. Mimo włączenia efektów pracy zespołu do programu wyborczego AWS, nie znalazło to uznania u premiera Jerzego Buzka. Moje usiłowania wprowadzenia programu w życie napotykały na opór, niechęć i wrogość.

W programie opracowanym dla AWS i przyjętym do realizacji (sic!) postulowałem, aby przeznaczać na obronę 3 proc. PKB.

Po wstąpieniu Polski do NATO w 1999 r. w MON przystąpiono do opracowania pierwszej strategii obronności RP. Zabiegałem, aby wpisać do strategii te 3 proc. Minister Janusz Onyszkiewicz (Unia Wolności) stanowczo odmówił. Uważał, że nie zgodzi się na to ówczesny minister finansów i wicepremier Leszek Balcerowicz, też z UW.

Po wielu dyskusjach ustaliłem, że najniższą dopuszczalną liczbą może być 2,2 proc. PKB, co jednak powodowało, że proces modernizacji armii będzie realizowany w dłuższym przedziale czasowym, niż zakładałem.

W styczniu 2000 r. w MON przyjęto „Strategię obronności Rzeczypospolitej Polskiej”, w której zawarto zobowiązanie rządu do zagwarantowania rocznych wydatków na obronę w wysokości „co najmniej 2,2 proc. PKB”.

W czerwcu 2000 r. ministrem obrony został Komorowski i kilka miesięcy później bez konsultacji ze mną przygotowano projekt ustawy



o finansowaniu obronności. Szef MON zaakceptował, aby nakłady na obronę wynosiły 1,95 proc. PKB, nie zmieniając stosownego zapisu w obowiązującej „Strategii obronności”. Sejm uchwalił taką ustawę.

Uzyskałem jedynie zgodę ministra finansów, aby na planowany zakup samolotu wielozadaniowego MON dodatkowo dostawało corocznie 0,05 proc. PKB, co dawało łącznie 2 proc. PKB na obronność. Wadą było to, że decydował o tym minister finansów, czyli od jego dobrej woli zależało, czy w kolejnych latach będzie 2 proc. PKB.

W lipcu 2001 r. zostałem fałszywie oskarżony i usunięty z MON. Gwarantowany ustawowo poziom wydatków nie był utrzymywany. W 2001 r. było to jeszcze 1,95 proc., ale później kwota stale

Mój postulat 3 proc. PKB na obronę z 1997 r. został zrealizowany w 2023 r. Szkoda, że tak późno

się zmniejszała, spadając w 2008 r. (pod rządami ministra Bogdana Klichy) do 1,55 proc. PKB. Do tego w 2004 r., gdy rządził Sojusz Lewicy Demokratycznej, zmieniono sposób naliczania odsetka wydatków względem PKB. Ich wysokość miała być obliczana względem PKB roku poprzedniego, a nie jak dotąd względem roku, na który były planowane wydatki.

Sytuacja uległa istotnej zmianie dopiero pod rządami PiS, gdy zaczęto przekraczać 2 proc. PKB. W ustawie o obronie ojczyzny uchwalonej w marcu 2022 r. postanowiono, że te wydatki będą wynosić nie mniej niż 2,2 proc., a od 2023 r. 3 proc. PKB.

Mój postulat 3 proc. PKB na obronę z 1997 r. został wreszcie zrealizowany – szkoda, że tak późno.

BRAK REZERW

W razie wojny nie wystarczy wysłać na front armię istniejącą w czasie pokoju, trzeba ją zwiększyć. Przed wybuchem wojny w 2022 r. Ukraina miała ok. 250 tys. żołnierzy, ostatnio prezydent tego państwa podał, że na froncie walczy ok. 1 mln żołnierzy. Ukraina czterokrotnie zwiększyła pokojowe stany armii.

Karygodnym posunięciem rządu PO-PSL była rezygnacja w 2010 r. z poboru (zawieszenie zasadniczej służby wojskowej), co oznaczało zaprzestanie szkolenia rezerw i postawienie na małą armię zawodową. Kiedy rząd Zjednoczonej Prawicy zapowiedział utworzenie 300-tys. armii, gen. Mieczysław Gocuł, były szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, obecnie rektor Akademii Sztuki Wojennej, orzekł: „Polski nie stać na 300-tysięczną armię”.

Standard jest taki: siły zbrojne czasu pokojowego „P” to 0,5–1 proc. ogółu ludności, czyli w Polsce 190–380 tys. żołnierzy. Czasu wojny „W”: 1–2 proc. ogółu ludności – 380–760 tys. żołnierzy. W czasie walk żołnierze giną i trzeba mieć rezerwy, uzupełniać straty, aby armia zachowała swoje zdolności bojowe. Trzeba więc mieć przeszkolone wojskowo w okresie pokoju do



Fot. Andrzej Świrszcz/PAF

10 proc. ogółu ludności, czyli w Polsce ponad 3 mln ludzi. Teoretycznie można odwieść „zawieszenie” i przywrócić pobór do armii, ale politycy zajmujący się wojskiem uważają, że będzie to niepopularne i utracą poparcie wyborców. Problem rezerw nie został dotąd rozwiązany.

NIEWŁĄŚCIWE DOWODZENIE

W wojsku obowiązuje jednoosobowe dowodzenie. Na każdym szczeblu, począwszy od drużyny i plutonu, kończąc na całości sił zbrojnych, zawsze mamy jednego dowódcę. W Siłach Zbrojnych RP funkcjonował system dowodzenia, w którym stanowisko najwyższego dowódcy zajmował szef Sztabu Generalnego WP („pierwszy żołnierz Rzeczypospolitej”). Podlegali mu dowódcy poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. W grudniu 2012 r. minister Tomasz Siemoniak zaprezentował założenia „reformy systemu kierowania i dowodzenia”, następnie uchwalono ustawę wprowadzającą ten system i wdrożono go. Rozdzielono dowodzenie pomiędzy szefa SG WP, dowódcę generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych oraz dowódcę operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych, wszystkich bezpośrednio podporządkowując ministrowi obrony. Likwidacji uległy dowództwa rodzajów sił zbrojnych, ale nie rodzaje sił zbrojnych, którymi mieli dowodzić dowódcy generalny i operacyjny, obaj będący dowódcami tych samych rodzajów sił zbrojnych.

Szef SG WP przestał być najwyższym dowódcą, a stał się „doradcą” ministra obrony pomagającym mu w kierowaniu siłami zbrojnymi. Mógł więc nadal dowodzić, „podpowiadając” ministrowi, który jest bezpośrednim przełożonym dowódców, generalnego i operacyjnego. Ministrem jest cywil, zwykle bez szerszej wiedzy wojskowej, „doradca”, czyli szef SG WP, ma więc duże pole do popisu – może dowodzić wojskiem zza pleców ministra, nie ponosząc przy tym żadnej odpowiedzialności za rozkazodawstwo.

System dowodzenia dodatkowo skomplikowało rozwiązanie przyjęte

w związku z art. 134 konstytucji RP dotyczącym mianowania w razie wojny naczelnego dowódcy sił zbrojnych. W czasie pokoju prezydent miał wskazywać kandydata na naczelnego dowódcę, który byłby zresztą kandydatem na kandydata, w razie wojny premier mógł bowiem wnioskować, a prezydent mianować każdego innego wojskowego. Miał on „brać udział” w strategicznych grach i ćwiczeniach obronnych, planowaniu użycia sił zbrojnych do obrony państwa oraz w przygotowy-

Teoretycznie można odwieść „zawieszenie” i przywrócić pobór do armii, ale politycy zajmujący się wojskiem uważają, że będzie to niepopularne i utracą poparcie wyborców. Problem rezerw osobowych nie został dotąd rozwiązany

waniu wojennego systemu dowodzenia armią. Nie wiadomo, czy np. może wydawać polecenia dowódcom (generalnemu i operacyjnemu) i czy oni muszą je wykonywać.

W listopadzie 2015 r. szefem MON został Antoni Macierewicz, który zapowiedział przebudowę systemu dowodzenia i, jak rozumiałem, przewrócenie jednoosobowego dowodzenia na najwyższym szczeblu. W grudniu 2016 r. ministerstwo obrony przekazało projekt ustawy wprowadzającej nowy system dowodzenia, ale jego naprawy nie przeprowadzono, w istocie pozostawiając poprzednie rozwiązania.

W maju 2024 r. prezydent Andrzej Duda ogłosił projekt ustawy w sprawie wzmocnienia zdolności państwa do przeciwdziałania zagrożeniom. Propozycja zakłada też reformę systemu dowodzenia, której celem jest zapewnienie spójności dowodzenia, zbliżenie struk-

tur oraz procedur czasu pokoju i czasu wojny oraz przygotowanie się w czasie pokoju do realizacji zadań podczas konfliktu. Dotąd tego nie zrealizowano.

GRANICA OBRONY

Nachodzący Łukaszenki pojawiają się na granicy uzbrojeni w noże i dzidy. Zabili jednego z naszych żołnierzy. Tymczasem „humanitaryzm” rządzącej koalicji 13 grudnia nie pozwala żołnierzom na używanie broni. Ci, którzy odważyli się wystrzelić w obronie, są ścigani karnie przez Bodnarowską prokuraturę.

Rząd Donalda Tuska przyjął projekt nowelizacji kilku ustaw, które miały usprawnić działania na granicy państwa wojska, policji i Straży Granicznej. Do Kodeksu karnego miały być wprowadzone przepisy, które chronią żołnierza w sytuacji użycia broni lub środków przymusu bezpośredniego. Ale wiceminister obrony Cezary Tomczyk (Platforma Obywatelska) usunął z przygotowywanego projektu ustawy zapisy chroniące żołnierzy. To jest pogorszenie sytuacji, którą mieliśmy do tej pory.

Żołnierz skierowany do ochrony granicy korzystał z uprawnień, które miała Straż Graniczna.

Mógł użyć środków przymusu bezpośredniego włącznie z użyciem broni służbowej. Mógł to zrobić, kiedy ktoś nielegalnie przekraczał granicę, używając przy tym niebezpiecznych narzędzi. W takiej sytuacji żołnierze i funkcjonariusze mieli prawo strzelać. Mamy więc pogorszenie warunków, w których będą mogli używać broni.

MON zapowiada nadzwyczajne środki w obronie granicy. Minister Władysław Kosiniak-Kamysz, wiceminister Tomczyk i szef SG WP gen. Kukula przedstawili projekt Tarczy Wschód. Do MON udali się posłowie PiS z kontrolą poselską, chcąc poznać szczegóły przejętego projektu i okazało się, że nie ma żadnych planów. Usłyszeliśmy, iż zrealizowanie projektu ma kosztować 10 mld zł, co jest małą kwotą, biorąc pod uwagę rozmach zapowiadanych fortyfikacji. Do tego potężny zamiar fortyfikacyjny ma być

zrealizowany w błyskawicznym tempie – do 2028 r. Można podejrzewać, że mamy do czynienia z propagandową wydmuszką, nieprzemyślaną i niedopracowaną koncepcją.

STRATEGII BRAK

O tym, jak postępować w kwestiach obronności, traktują przyjmowane strategie. Najważniejsza to strategia bezpieczeństwa narodowego i uszczegóławiające ją strategie resortowe, a wśród nich strategia obronności dotycząca obronności i wojska, zawierająca przyjęty sposób obrony kraju.

Marsz. Józef Piłsudski uważał, że Polacy pozbawieni państwa stracili zdolności myślenia strategicznego, nie potrafią kalkulować całością sił państwa. Współcześnie odnosząc się do tego problemu, trzeba odnotować istotne ograniczenia polskiego myślenia strategicznego. Można dostrzec trudność z ujmowaniem problematyki bezpieczeństwa narodowego w wymiarze strategicznym.

Polska nie ma strategii obronności, co stawia pod znakiem zapytania wysiłki związane z modernizacją armii. Czy podejmowane kroki dotyczące zmian w strukturze Sił Zbrojnych RP i modernizacji uzbrojenia mają sens, przydadzą się na coś? Na razie istnieje przekonanie, że w wojsku dobrze jest mieć czegoś więcej – jak kupimy więcej broni, to będzie lepiej. Niestety to tak nie działa.

Polskie przygotowania obronne powinny zniechęcać napastnika, powstrzymać go przed agresją na nasz kraj. Innymi słowy, celem polskiej strategii obronności musi być wykreowanie sytuacji, w której Polska uniknie wojny. Mamy opracowaną i przyjętą w 2020 r. strategię bezpieczeństwa narodowego. Powstaje kolejne pytanie: czy napaść Rosji na Ukrainę w 2022 r. coś w niej zmienia?

Wzrost napięcia wywołany agresywną polityką Rosji, utworzenie wschodniej flanki NATO i wybuch pełnoskalowej wojny na Ukrainie sprawiły, że należało spojrzeć na Siły Zbrojne RP i zadania, jakie mają wy-

konywać. Nie można już obstawać przy wąskim traktowaniu zadań, ograniczając się do obrony polskich granic. Polska ze swym wojskowym potencjałem zaczyna odgrywać kluczową rolę na wschodniej flance NATO. Zaangażowanie naszego kraju w pomoc walczącej Ukrainie, troska o bezpieczeństwo państw nadbałtyckich, niepokojące ewolucja Białorusi stającej się satelitą Rosji sprawiają, że musimy dysponować armią, która będzie w stanie gwarantować bezpieczeństwo w całym regionie między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Oznacza to, że powinniśmy dysponować armią posiadającą zdolności ofensywne, biorąc pod uwagę operacyjną przestrzeń całego Międzymorza.

Polska nie ma strategii obronności, co stawia pod znakiem zapytania wysiłki związane z modernizacją armii. Istnieje przekonanie, że w wojsku dobrze jest mieć czegoś więcej – jak kupimy więcej broni, to będzie lepiej. Niestety to tak nie działa

Należy opracować odpowiednią strategię obronności. Dopiero na jej podstawie można będzie rozstrzygać, jak liczna ma być armia, w co powinna być uzbrojona oraz jakie mają być wydatki obronne.

MORALE JEST NAJWAŻNIEJSZE

Wszystkie wysiłki w zakresie organizowania armii, jej uzbrojenia nie zdadzą się na wiele, jeśli w wojsku nie będzie silnego ducha, przekonania wśród żołnierzy, że służą ważnej sprawie, dla której warto nawet poświęcić życie. W Polsce morale wojska, właściwą postawę żołnierską, określa dewiza

zapisana na wojskowych sztandarach: Bóg–Honor–Ojczyzna.

Jak zauważył marsz. Piłsudski: „Napoleon mówił, że trzy ćwierci powodzenia na wojnie i w każdej bitwie jest stan moralny ludzi, a ćwierć zaledwie jest stan wszystkich innych czynników. Tak wysoko stawiał jeden z geniuszów wojny stan moralny, czyli stosunek do pracy wojny. [...] Dlatego też próby poprawienia stanu moralnego u siebie lub próby psucia stanu moralnego u przeciwnika są stale przedsięwzięte, [...] albowiem zwycięstwo samo nie jest niczym innym jak złamaniem woli przeciwnej, osłabieniem tej woli, co jest przygotowaniem do ostatecznego fizycznego zwycięstwa”.

Państwo musi się troszczyć o to, aby edukacja, media dbały o kształtowanie postaw patriotycznych, umacnianie tożsamości narodowej. Temu powinna służyć polityka historyczna. Instytucje takie jak Instytut Pamięci Narodowej mogą w tym odegrać istotną rolę. Niezbędne jest propagowanie wiedzy o zwycięstwach i polskich dowódcach, ukazywanie wojskowych formacji, takich jak husaria czy żołnierze niezlomni, wskazywanie bohaterskich czynów, podkreślanie znaczenia wysiłku zbrojnego – powstań i konspiracji dla istnienia Polski.

* * *

W okresie rządów Zjednoczonej Prawicy zaczęto na serio zajmować się obronnością. Nie wydaje się, aby koalicja 13 grudnia chciała kontynuować wysiłki poprzedniej władzy. Niezależne media ujawniły dokument SG WP, z którego wynikało, że MON planuje ograniczyć o 25 proc. (ponad 57 mld zł) wydatki przewidziane w latach 2025–2027 na zakupy uzbrojenia. Zmniejszenie nakładów na obronność o 9 proc. w 2025 r., o 11 proc. w 2026 r., o 30 proc. w 2027 r. oraz aż o 44 proc. w 2028 r.

W 2018 r. opublikowałem w wydawnictwie Bellona książkę „Stracone dziesięciolecie. Czy będziemy mądrzy przed szkodą”. Chodziło o lata 2007–2017. Oby w razie wybuchu wojny nie okazało się, że cały okres III RP był czasem straconym.

Nowoczesne opluwanie żołnierzy wyklętych



Nowocześni postkomuniści przypuścili kolejny atak na pamięć o żołnierzach wyklętych. Działanie skrojone pod nieudaną kampanię prezydencką kandydatki tego środowiska pokazuje, że mimo upływu lat manipulacyjne zagrywki rodem z PRL mają się świetnie



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

W sobotę 1 marca obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Obywatele Rzeczypospolitej w całym kraju organizowali społeczne uroczystości upamiętniające bohaterów antykomunistycznego podziemia. Na warszawskiej Łączce hołd żołnierzom wyklętym oddali m.in. prezydent RP Andrzej Duda, prezes IPN Karol Nawrocki oraz wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak. Ale dla środowisk postkomunistycznych był to idealny pretekst do ataku na polskich bohaterów.

1 MARCA – DZIEŃ SZCZUCIA

Przez lata prym w obrażaniu żołnierzy wyklętych wiodła Joanna Senyszyn. Wyzywała ich od „bandytów”, którzy „mordowali Polaków” i „kolaborowali z Niem-

cami” czy „katrupili bezbronne kobiety i dzieci”. Nie była w tym odosobniona, tego typu oskarżenia formułowała większość jej środowiska politycznego.

W tym roku atak na antykomunistyczne podziemie był jednak znacznie szerszy. Na oficjalnym koncie Lewicy na platformie X zostały opublikowane skandaliczne słowa: „Pojęcie »żołnierze wyklęci« to historyczna manipulacja, próbująca wrzucić do jednego worka zarówno bohaterów, takich jak rotmistrz Witold Pilecki, jak i zbrodniarzy, takich jak Rajmund Rajs »Bury«, Józef Kuraś »Ogień« czy Józef Zadziński »Wołyński«” – napisano. Na grafice opublikowanej pod tym wpisem dodano oszczercze sformułowanie: „Żołnierze przekleci”.

Jeszcze dalej poszedł poseł Lewicy Tomasz Treła: „Narodowy Dzień Pamięci »Żołnierzy Wyklętych«, to farsa, w której nie zamierzam uczestniczyć. Wśród tzw. wyklętych było wielu zbrodniarzy. Przykładem jest Romuald Rajs »Bury«, który spacyfikował szereg wsi na Podlasiu, paląc domy i mordując mieszkańców, nie oszczędzając nawet dzieci” – napisał poseł na platformie X. „Inny »wyklęty«, Józef Kuraś »Ogień«, siał popłoch na Podhalu.

Jego oddziały organizowały polowania na Żydów próbujących przedostać się przez góry na Zachód, a także brutalnie pacyfikowały słowackie wsie na Spiszu i Orawie” – dodał Treła na profilu Lewicy.

USTAWA POD WYBORY

Kandydatka na prezydenta RP Magdalena Bieja zorganizowała nawet specjalną konferencję. Ogłosiła, że powinno się rezygnować z oddawania czci żołnierzom wyklętym, a ich święto 1 marca jest „elementem kultu, który miesza ze sobą bohaterów takich jak rotmistrz Pilecki z – nie bójmy się tego słowa – zbrodniarzami wojennymi, ludźmi, takimi jak »Bury« i »Ogień«, którzy byli odpowiedzialni za zbrodnie przeciwko mieszkańcom Polski”.

Magdalena Bieja zestawiała Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” z Dniem Armii Krajowej, obchodzonym po raz pierwszy 14 lutego 2025 r. „To jest to święto i ta formacja, której bohaterów powinniśmy czcić. Ludzi, którzy stali po stronie Rzeczypospolitej demokratycznej, Rzeczypospolitej niezależnej, Rzeczypospolitej otwartej i szanującej wszystkich obywateli” – oceniła.



Zapowiedziała także złożenie na najbliższym posiedzeniu Sejmu ustawy, która „wprowadza zadośćuczynienia i odszkodowania dla rodzin ofiar żołnierzy wyklętych”. Dodała, że „fakt, że gloryfikuje się zbrodniarzy, że nie oddało się sprawiedliwości ofiarom, pozostaje cały czas otwartą raną dla tych, którzy żyją na Podlasiu, którzy są potomkami tych, którzy padli ofiarą tych zbrodni”. Projekt ustawy ma zakładać finansowe zadośćuczynienie w wysokości 50 tys. zł dla członków rodzin rzekomych ofiar. „Czas, żeby Polskie państwo wreszcie oddało im sprawiedliwość i dało im poczucie, że ich ból jest dostrzegany, że ich ofiary są szanowane, a państwo polskie, demokratyczne państwo polskie przestaje raz na zawsze gloryfikować zbrodniarzy” – podsumowała Magdalena Biejat.

Ze wszystkich kłamliwych i bulwersujących elementów tych wypowiedzi warto szczególnie podkreślić przedstawienie AK jako alternatywy dla podziemia antykomunistycznego.

„POMOCNICY HITLERA!”

Żołnierze wyklęci, wywodzący się przeważnie z rozwiązanej na początku 1945 r. AK, kontynuowali walkę o niepodległość Polski z nowym sowieckim okupantem. Komuniści tłumiący trwające powstanie starali się za wszelką cenę obrzydzić społeczeństwu całe podziemie niepodległościowe. Celem było zdyskredytowanie wszystkich sił politycznych i zbrojnych, które mogły stanowić zagrożenie dla no-

wej władzy. Szczególnie zjadale atakowano przedstawicieli podziemia narodowego. Zarówno AK, NSZ oraz powojenną konspirację (WiNi i NZW) przedstawiano jako organizacje przestępcze popełniające na masową skalę zbrodnie wojenne i współpracujące w czasie wojny z niemieckim okupantem. Żołnierze podziemia mieli być agentami zachodnich mocarstw i niszczycielami „ludowej Polski” sabotującymi odbudowę kraju.

„Precz z bandytami z AK”, „Podsąds krytobójców z A.K. i N.S.Z. pomocników Hitlera!” – to typowe nagłówki gazet z tamtego czasu. Członków konspiracji traktowano jako wrogów komunistycznego państwa i „zapłutych karłów reakcji” bez względu na to, czy kontynuowali walkę po wojnie, czy usiłowali normalnie żyć.

Do tej propagandowej akcji wciągnięto także szeroko rozumianą kulturę i edukację. W rozmaitych książkach, filmach czy nawet podręcznikach szkolnych oczerniano organizacje podziemne. Polskich żołnierzy oskarżano o wiele zbrodni popełnionych rzekomo zarówno w czasie wojny, jak i po niej. Przypisywano im działania pospolitych bandytów, którzy przeciw często działali na zlecenie komunistów. Efektem miała być całkowita dyskredytacja podziemia i odseparowanie go od społeczeństwa. Monopol na walkę z niemieckim okupantem miały tylko formacje o proweniencji komunistycznej.

Atakując podziemie, zamierzano także deprecjonować jakiegokolwiek alternatywy dla komunizmu, takie jak rząd londyński, PSL czy Kościół. Poza tym kreowanie

wroga stanowiło idealne alibi dla coraz bardziej brutalnych metod działania tzw. struktur bezpieczeństwa. Nagonka nie straciła na sile nawet po ostatecznym zniszczeniu ostatnich działających w Polsce struktur podziemnych i oddziałów partyzanckich.

ZMIANA RETORYKI

Po październiku 1956 r. władze komunistyczne złagodziły najbardziej brutalne represje wobec społeczeństwa oraz byłych członków podziemia. Skończyły się procesy pokazowe, a większość więźniów politycznych wyszła na wolność. Nastąpiła także zmiana w serwowanej dotąd propagandzie. Za przełomowy uznawany jest opublikowany w 1956 r. na łamach tygodnika „Po Prostu” artykuł Jerzego Ambroziewicza, Walerego Namiotkiewicza i Jana Olszewskiego „Na spotkanie ludziom z AK”. Choć autorów ograniczały cenzura i konieczność poruszania się w ramach dyskursu narzucanego przez komunistyczne władze, rozpoczęli długą walkę o przywrócenie dobrego imienia polskiemu podziemiu. Po dojściu do władzy Wiesława Gomułki niekiedy pojawiały się treści dotąd w Polsce zakazane, m.in. o bohaterstwie żołnierzy września 1939 r., Armii Krajowej, a nawet powstania warszawskiego.

Komuniści stopniowo musieli uznać wkład AK w walkę z Niemcami, ale podkreślali „błędne decyzje” dowództwa i „zdradę Londynu”. W propagandzie pojawiały się hasła o „niepotrzebnym

rozlewie krwi” i „braku realizmu politycznego” akowców, które rzekomo prowadziły do katastrofy narodowej. Podręczniki historii i programy szkolne cały czas minimalizowały rolę AK, skupiając się na Gwardii Ludowej i Armii Ludowej jako „głównych siłach” ruchu oporu. Jednocześnie podtrzymywano narrację, że po 1945 r. wielu członków AK „zblądziło”, a ich dalsza walka z komunistami była przedstawiana jako działalność terrorystyczna i „reakcyjna”.

Nie zmienił się przekaz dotyczący zarówno żołnierzy podziemia narodowego, jak i całości powojennej konspiracji. NSZ oraz żołnierze wyklęci nadal byli przedstawiani jako „faszyści” i „bandyci”, a propagandowe książki i artykuły podtrzymywały zakłamyany i jednostronny obraz.

W ten sposób komuniści chcieli podzielić konspiracyjne formacje. Z jednej strony znalazła się AK, której dokonania częściowo uznano. Z drugiej były NSZ i powojenne podziemie, czyli „reakcyjne bandy”, „mordercy” i „zbrodniarze”. Nadal oskarżano ich o rabunki, mordowanie cywilów oraz o dążenie do obalenia władzy „ludowej” z inspiracji „imperialistów”. Pojawiały się inne znajome tezy, że antykomunistyczne podziemie na zlecenie zachodnich mocarstw dążyło do wywoływania w Polsce wojny domowej.

SPRAWIEDLIWI W CZASACH PRÓBY

Znaleźli się jednak śmiałkowie, którzy nawet w czasach głębokiej komuny próbowali pielęgnować pamięć o polskich bohaterach. Mimo represji pamięć o żołnierzach wolności była kultywowana przez część społeczeństwa, zwłaszcza w rodzinach tych, którzy walczyli w podziemiu. Niepokorni pisarze, poeci i artyści często w zakamufLOWANY sposób upamiętniali działalność niepodległościowców.

Nie można też zapomnieć o wielkim wkładzie Kościoła katolickiego w podtrzymywaniu pamięci historycznej. W homiliach i podczas uroczystości religijnych duchowni często wspominali o tych, którzy walczyli o wolność Polski. Organizowano msze za dusze poległych oraz rocznice związane z ważnymi wydarzeniami historycznymi.

Istotną rolę odegrały ośrodki emigracyjne, które przez lata mogły dokumentować historię nieograniczoną komunistyczną cenzurą. Nieocenione zasługi mają tu Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, paryska „Kultura” czy Radio Wolna Europa.

W latach 70. i 80. XX w. antysystemowa opozycja, zwłaszcza środowiska związane z Komitetem Obrony Robotników i Solidarnością, zaczęła na nowo odkrywać historię antykomunistycznego podziemia. W drugim obiegu publikowano książki i artykuły, które przedstawiały prawdziwy obraz historii. Te działania cały czas były aktywnie zwalczane zarówno przez cenzurę, jak i siłowe struktury reżimu. Osoby kultywujące pamięć o bohaterach podziemia były śledzone przez Służbę Bezpieczeństwa, a czasem aresztowane lub zmuszane do emigracji.

Współczesna lewica nadal stosuje taktykę zapoczątkowaną po 1956 r. AK ma być częścią „dobrej” historii Polski, natomiast NSZ i żołnierze wyklęci – tej „złej”

UPADEK PROPAGANDY

Przemiany ustrojowe w Polsce sprawiły, że w końcu można było mówić i pisać o podziemiu niepodległościowym. Gwałtownie wzrosła liczba publikacji na temat walk o wolność, a coraz więcej ludzi dowiadywało się o skali polskiego oporu przeciw zniewoleniu, zarówno niemieckiemu, jak i sowieckiemu. Nastąpiła fundamentalna zmiana w podejściu do podziemia. Na pierwszy plan wysunęła się potrzeba rehabilitacji i upamiętnienia tych, którzy walczyli o wolną Polskę. Coraz bardziej otwarcie mówiło się o represjach komunistycznych wobec byłych żołnierzy AK i innych organizacji niepodległościowych.

Działania AK były dobrze znane w społeczeństwie w 1989 r. Inaczej wyglądało to w przypadku zarówno NSZ, jak i po-

wojennego podziemia, które przez lata spychania na margines były znacznie bardziej zapomniane. Zaczęło się to zmieniać dopiero wraz z upływem lat. Nieoceniony wkład w ten proces mieli niezależni historycy oraz utworzony w 1999 r. Instytut Pamięci Narodowej, który zajął się badaniem zbrodni komunistycznych, w tym prześladowań żołnierzy wyklętych i fałszywej propagandy PRL.

Zainteresowanie tematyką żołnierzy wyklętych wzrosło w XXI w. Wtedy właśnie takie postacie, jak Witold Pilecki, Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” czy Danuta Siedzikówna „Inka” stały się symbolami walki z komunizmem. Znalazło to finał w ustanowieniu w 2011 r. Narodowego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” 1 marca. Było to oficjalne potwierdzenie ich roli w historii Polski.

TAKTYCZNA ZMIANA

W zaistniałej sytuacji postkomunistyczne środowisko musiało ponownie zmienić narrację. Z niechęcią podchodzono do rehabilitacji żołnierzy antykomunistycznego powstania. Wobec AK trzeba było przyjąć nową, całkowicie pozytywną retorykę ze względu na jej silną pozycję w świadomości społecznej. NSZ i antykomunistyczne podziemie wciąż były oczerniane zgodnie ze starą, PRL-owską propagandą.

Współczesna lewica nadal stosuje taktykę zapoczątkowaną po 1956 r. AK ma być częścią „dobrej” historii Polski, natomiast NSZ i żołnierze wyklęci – tej „złej”. A przecież w czasie II wojny światowej znaczna część wyklętych była członkami AK, później zaś działała w strukturach, które przejęły schedę po niej.

Zamiast uczciwego rozliczenia się z własną przeszłością i przyznania, że przez dekady fałszowano historię na korzyść komunistów, politycy lewicy wciąż próbują przekierować debatę na rzekome „ciemne karty” żołnierzy wyklętych. Niektórzy politycy postulują, by upamiętniać tylko wybrane postacie, a nie całe podziemie antykomunistyczne jako jednolitą formację. Zmasowane ataki na żołnierzy wyklętych do złudzenia przypominają naгонkę na podziemie niepodległościowe z okresu PRL. To ta sama propaganda, tylko w nowoczesnym wydaniu. 

W blasku
i cieniu
Oscarów

Co łączy Mikey Madison, Adriana Brody'ego, Zoe Saldanę i Kierana

Culkina z kinową premierą tego tygodnia – „Mickey 17”? Na pewno statuetki

*Złotego Rycerza. Wciąż pożądane, choć coraz bardziej poddawane
polityczno-finansowo-poprawnościowej presji*



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

W zdobyciu upragnionego pierwszego Oscara nie mogła Demi Moor wstrząsająca widzami „Substancja”. Podobnie, jak jej bohaterka, aktorka musiała ustąpić sile młodości, politycznych wpływów oraz finansów, wpisanych w show-biznesowe roszady. Wielką wygraną tegorocznej oscarowej gali okazała się 25-letnia Mikey Madison wraz z filmem, w którym stworzyła główną postać, oraz prezentowanym w nim światem.

REKORDY I KONTROWERSJE

„Anora” – opowieść o romansie nowojorskiej striptizerki i syna rosyjskiego oligarchy – zgarnęła w sumie pięć statuetek. W tym za najlepszy film, reżyserię, oryginalny scenariusz i montaż. Tym samym Sean Baker dokonał rzeczy, która nie udała się dotąd żadnemu z filmowców – otrzymał cztery Oscary za jeden film. Przed nim tylko Walt Disney podczas jednej gali zdobył cztery statuetki (z tym że za różne tytuły). Blisko rekordu Bakera był Bong Joon-ho, który w 2020 r. odebrał cztery statuetki za „Parasite” (ale jedna z nich była w kategorii film międzynarodowy, więc Bong Joon-ho zdobył osobiście „tylko” trzy nagrody).

„Anorze” nie zaszkodziły kontrowersje, które wzbudziła nominacja za rolę drugoplanową dla (wspieranego przez Kreml) Jury Borisowa ani udział w produkcji innego rosyjskiego aktora, Marka Ejdelstejna, chociaż z powodu dawnych internetowych wpisów z oscarowego wyścigu niemal w całości został wyeliminowany tegoroczny faworyt.

Nominowana w 13 kategoriach „Emilia Pérez” w zgodzie z panującymi w kinie trendami wspierania grup wykluczonych podjęła temat transpłciowości. W „Anorze” nobilitacji doczekał się najstarszy zawód świata. Odbierając nagrody, Sean Baker i Mikey Madison dziękowali seksworkerkom, które na



Kadr z filmu „Anora”

potrzeby filmu „podzieliły się [z nimi] swoimi wspomnieniami i wieloletnimi doświadczeniami”.

CIEKAWOŚĆ LUDZKIEJ NATURY

Dzięki zdobytemu Oscarowi 25-letnia Mikey Madison, a właściwie Mikaela Madison Rosberg, będzie mogła zastąpić w wysokobudżetowych produkcjach m.in. Natalie Portman czy Gal Gadot. W przeciwieństwie do licznych hollywoodzkich gwiazd, które dziś chętnie powołują się na swoich hebrajskich przodków, urodzona w Los Angeles Mikaela pochodzi z pełnej żydowskiej rodziny.

Jej rodzice są psychologami. Młoda aktorka często podkreśla, że to właśnie ich praca „wpłynęła na jej umiejętność głębokiego rozumienia ludzkich emocji, co okazało się bardzo przydatne w ekranowej karierze. „Wiedziałam, kim był Freud, odkąd skończyłam 11 lub 12 lat. Zawsze byłam ciekawa ludzkiej natury; tego, jak działają nasze mózgi i dlaczego robimy pewne rzeczy. Myślę, że to jeden z powodów, dla których zostałam aktorką” – mówiła w jednym z wywiadów.

INNA NIŻ W RZECZYWISTOŚCI

Mikey ma dwóch braci (w tym bliźniaka) i dwie siostry. Przez pierwszych 14 lat pasją jej życia było jeździectwo. W wywiadzie dla „The Washington Post” stwierdziła, że zanim nauczyła się chodzić, siedziała w siodle kucyka. By być bliżej koni, do 12. roku życia po-

bierała edukację domową. W jej rodzinie było wielu jeźdźców. Jeden z nich (kuzyn babci aktorki Clarence Hailey Long Jr.) stał się słynnym Marlboro Manem z kultowej kampanii reklamowej.

Mimo miłości do koni po tym, jak jej starsza siostra poślubiła autora scenariuszy, Madison postanowiła spróbować swoich sił także przed kamerą. Zaczęła od produkcji krótkometrażowych, by w 2016 r. trafić do serialu „Better Things”, a potem do kinowych epizodów. W filmie Quentina Tarantino „Pewnego razu... w Hollywood” (2019) zagrała członkinię sekty Charlesa Mansona. Trzy lata później pokazała swoje umiejętności w horrorze „Krzyk”. Rolę w „Anorze” dostała, bo jak mówi Sean Baker, na ekranie potrafi być zupełnie inna niż w rzeczywistości.

DAĆ SIĘ ZAPAMIĘTAĆ

22 lata od oscarowej gali, na której odebrał statuetkę za pierwszoplanową rolę (Władysława Szpilmana) w „Pianiście” Romana Polańskiego, Adrien Brody po raz kolejny został nagrodzony Oscarem. Tym razem za główną rolę w filmie „The Brutalist” – stworzył w nim fikcyjną postać węgierskiego Żyda, architekta, który po II wojnie światowej wyjeżdża do Stanów.

Na gali w 2003 r. 29-letni Brody dał się zapamiętać m.in. za sprawą namiętnego pocałunku, jakim zaskoczył wręczającą mu Oscara Halle Berry. Teraz popisał się najdłuższymi w historii nagrody podziękowaniami. Trwały 5 min i 40 sek., czyli

były o 10 sek. dłuższe od najdłuższego do tej pory wystąpienia Greer Garson sprzed 80 lat. Brody dołączył również do ekskluzywnego grona niepokonanych. Jest ósmą osobą, która odebrała dwa Oscary bez przegranej nominacji.

Zoe Saldña (o której pisaliśmy w poprzednim numerze), odbierając statuetkę za drugoplanową rolę kobiecą w filmie „Emilia Pérez”, niezwykle wzruszona, podkreślała: „Jestem pierwszą Amerykanką pochodzenia dominikańskiego, która otrzymuje Oscara. Mam nadzieję, że nie będę ostatnią”.

KOCHANIE, PAMIĘTASZ TO?

Przebojem w sieci stały się podziękowania Kierana Culkina nagrodzonego za drugoplanową rolę w obrazie „Prawdziwy ból”. Aktor najpierw pogratulował swemu bratu, tyle że temu z serialu „Sukcesja” (Jeremy Strong był nominowany w tej samej kategorii za udział w filmie „Wybraniec”), po czym podzielił się zabawną historią związaną z żoną Jazz Charton.

Ponoć podczas gali Emmy w 2024 r. Culkin publicznie oświadczył, że liczy na trzecie dziecko, ponieważ żona obiecała mu je, jeśli wygra nagrodę. Jakiś czas potem, gdy małżonkowie wrócili do tematu, Kieran stwierdził, że chciałby czworo dzieci. Usłyszał wtedy: „Dam ci czwarte, gdy zdobędziesz Oscara”. Teraz więc, ze statuetką w dłoni, zwrócił się do siedzącej na widowni żony: „Kochanie, pamiętasz to? Nie wspominałem o tym aż do teraz. Bez presji. Kocham cię! Zajmijmy się więc tymi dziećmi, co ty na to?”



Adrien Brody

– dodał, wywołując aplauz widowni i łajki w sieci. Kieran Culkin i Jazz Charton są małżeństwem od 2013 r. Doczekali się córki Kinsey Sioux i syna Wildera Wolfa.

RAZEM W DOMU

Pozostając w temacie rodziny – podczas oscarowego afterparty starszy brat Kierana Macaulay (słynny ekranowy Kevin sam w domu) stwierdził, że po tytuł nagrodach odebranych przez brata za rolę w „Prawdziwym bólu” Oscar był pewniakiem.

Z pewnością za sprawą statuetki Złotego Rycerza Kieran o kilka długości wyprzedził aspirujących do aktorstwa członków swojej licznej rodziny. Rodzice: zajmująca się domem Patricia Brentrop i aktor Christopher „Kit” Culkin doczekali się siedmiorga pociech – pięciu synów i dwóch córek. Wszystkie dzieci próbowały swoich sił w aktorstwie, ale to Macaulay zdobył sławę dzięki kultowym świątecznym filmom.

Kieran, który zagrał w nich kuzyna Kevina Fullera McCallistera, przez długie lata pozostawał w cieniu

brata. Jednocześnie od początku kariery miał szczęście pracować u boku hollywoodzkich sław, m.in. Sharon Stone, Charlize Theron, Tobey Maguire’a czy Meryl Streep.

Z drugiego planu na dobre wybił się jednak dopiero dzięki serialowi „Sukcesja”. Rola najmłodszego syna magnata telewizji przyniosła mu trzy nominacje do Złotego Globu oraz jedną zdobytą nagrodę. Teraz dodał do niej Oscara.



CZEKAJĄC NA BATMANA

Już ze statuetkami Złotego Rycerza (za scenariusz i reżyserię) na koncie wspomniany wcześniej twórca brawurowego „Parasite” zrealizował w Hollywood swój najnowszy film – „Mickey 17”. Do zmultiplikowanej głównej roli zaangażował Brytyjczyka Roberta Pattinsona, któremu światowy rozgłos przyniósł udział w kultowych kinowych produkcjach dla młodzieży – „Harrym Potterze i Czarze Ognia” (jako Cedric Diggory), a przede wszystkim w serii „Zmierzch”, w której stworzył postać młodocianego wampira.

Dziś aktor jak tylko może odcina się od ekranowego Edwarda Cullena. Woli być kojarzony z takimi produkcjami, jak „Lighthouse”, „Diabeł wcielony” czy „Batman”. W filmie „Mickey 17” jego bohater, by zarobić, zdecydował się... umrzeć.

„Mickey 17” trafia właśnie do polskich kin. Tymczasem Pattinson z niepokojem śledzi opóźnienia związane z kontynuacją filmu „Batman” z 2022 r., w którym wcielał się w tytułowego bohatera. Prace nad produkcją ponoć trwają, ale premierę zaplanowano dopiero na koniec 2027 r. Aktor tak skomentował te doniesienia: „Zaczynałem jako młody Batman, a przed premierą sequeła będę już cholernie starym

Batmanem. Mam 38 lat...”. Z ostatnich doniesień wiadomo, że Pattinson dołączył do obsady „Odysei” Christophera Nolana. Jej premiera jest zapowiadana na lipiec 2026 r.



Kadr z filmu „Mickey 17”



Typowy Kowalski

Gene Hackman i jego żona prawdopodobnie nie żyli od dziewięciu dni, zanim zostali odnalezieni w swym domu w Santa Fe. Śmierć słynnego aktora okazała się jednak na tyle podejrzana, by policja wszczęła śledztwo w tej sprawie



MACIEJ WALASZCZYK

Na początku lat 90. wyjechał do Nowego Meksyku, by spędzać tam czas z dala od oślepiającego blasku sławy. Eugene Allen Hackman oficjalnie wycofał się z aktorstwa w 2004 r. Liczący już 95 lat gwiazdor i jego 63-letnia żona, pianistka Betsy Arakawa, zostali przypadkiem odnalezieni przez pracowników zajmujących się pracami konserwacyjnymi. Po wstępnych oględzinach policja stwierdziła brak śladów ewentualnego przestępstwa, nie znajdując na ciałach małżonków śladów urazów spowodowanych np. uderzeniem tępym narzędziem. Wyniki wstępnej sekcji zwłok wykluczyły też zatrucie tlenkiem węgla. Ale prowadzący śledztwo zastrzegł, że zgon jest na tyle podejrzany, iż wymaga znacznie wnikliwszej analizy i śledztwa. Śledczy zabrali z domu dwa telefony, leki na ciśnienie i tarczycę, dokumentację medyczną oraz miesięczny terminarz na bieżący rok.

Odnalezione na miejscu ciało Hackmana miało na sobie ubranie, a obok niego leżała para okularów przeciwsłonecznych. Może to sugerować, że aktor upadł, co stanowi kolejny niewyjaśniony element tej tragicznej historii. Ustalono również, że piątek 17 lutego był ostatnim dniem, w którym aktywność wykazywał jego rozrusznik serca. Żona aktora najprawdopodobniej zginęła w wyniku tragicznego zbiegu okoliczności. Jej ciało znaleziono bowiem w łazience, a w jego



pobliżu flakonik leków. Znajdowało się ono w stanie rozkładu, z widocznymi oznakami wzdęcia twarzy i zмумifikowanych stóp i rąk. Patolog sądowy zasugerował, że do upadku Arakawy mogło dojść na skutek pośpiechu i emocji związanych ze śmiertelnym zasłabnięciem Hackmana. Kobieta prawdopodobnie poślizgnęła się na świeżo umytej podłodze, wskutek czego doznała niewidocznych w pierwszej chwili wewnętrznych obrażeń głowy. Istnieje także możliwość, że cała sytuacja wywołała u niej wylew, na skutek którego zasłabła, upadła i zmarła. W pobliżu ciała kobiety leżał także należący do małżeństwa martwy owczarek niemiecki. Patolog zasugerował, że zwierzę, które w powstałym zamieszaniu poszło za nią do łazienki, prawdopodobnie padło z powodu odwodnienia. Drzwi były bowiem zamknięte, więc zamknięty w łazience pies aż przez dziewięć dni nie miał dostępu do wody. Dwa inne znaleziono żywe, przez cały ten czas błękały się po posesji. Ostatecznie wyniki dochodzenia będą znane za kilka tygodni.

OSOBISTY WRÓG NIXONA

Śmierć Gene'a Hackmana wywołała oczywiście falę wspomnień i komentarzy. Nie ma wątpliwości, że odszedł jeden z najciekawszych aktorów drugiej połowy XX w. Kilku

z nich wciąż żyje, również dobiegając sędziwego wieku, m.in. mający po 94 lata Robert Duvall i Clint Eastwood, liczący 88 lat Robert Redford, Jack Nicholson, Warren Beatty, 87-letni Dustin Hoffman i Harrison Ford, mający „tylko” 82 lata.

„Śmierć wielkiego artysty zawsze jest powodem zarówno do żałoby, jak i do świętowania: Gene Hackman, wielki aktor, inspirujący i wspaniały w swojej pracy oraz złożoności” – napisał Francis Ford Coppola. Aktor zagrał w jego znakomitym i pełnym nieustającego, choć dyskretnego napięcia filmie „Rozmowa” (1974). Wykreował w nim postać Harry’ego Caula, eksperta od inwigilacji i podsłuchów, który angażuje się w próbę zapobieżenia morderstwu. Film, zrekonstruowany i w formacie 4K, wciąż można zobaczyć w Polsce w kinach studyjnych. To aktualne i trzymające w napięciu studium otaczającego nas inwigilacyjnego *panopticum*, życia na podsłuchu i podglądzie, co w latach 70. wpisywało się w polityczny kontekst afery Watergate. Dziś wiemy, że dodatkowo zmontowanej przez służby specjalne i amerykańskie „deep state”, która obróciła w niwecz karierę polityczną prezydenta Richarda Nixona. Co ciekawe, sam aktor szczycił się tym, że oprócz Steve’a McQueena, Jane Fondy czy Paula Newmana znajdował się na słynnej liście przeciwników politycznych słynnego prezydenta.

Hackman grał również w innych filmach o silnym zabarwieniu politycznym. Chodzi m.in. o „Missisipi w ogniu” (1988), obraz opowiadający o agencji FBI z wielką determinacją badającym zaginięcie trzech działaczy na rzecz praw obywatelskich w stanie Missisipi. Choć aktor był zadeklarowanym wyborcą demokratów, to w jednym z wywiadów przyznał się do poparcia republikańskiego prezydenta Ronalda Reagana, którego po spotkaniu w Białym Domu nazwał „pięknym Amerykaninem”. Jednocześnie spośród wszystkich kultowych, poruszających i dosadnych kreacji aktorskich zapisał się w pamięci szyderczą parodią właśnie polityków prawicy. Jego talent do komedii ożył bowiem w „Klatce dla ptaków” Mike’a Nicholasa z 1996 r. Hackman zagrał w niej senatora Kevina Keeleya, konserwatywnego tradycjonalistę, który wyrusza w podróż, aby spotkać się z rodziną narzeczonego swojej córki, jednocześnie uwikłanego w obyczajowy skandal przyciągający uwagę tabloidów w całym kraju. Senator Keeley nie wie jednak, że tym człowiekiem jest homoseksualista i właściciel klubu dla drag queens. Jak można się domyślić, film wpisywał się w rozpętaną przez liberałów wojnę kulturową wymierzoną w społeczeństwo popierające konserwatyistów, które skutki obserwujemy dzisiaj.

(NIE)PRZECIĘTNE KREACJE

Gene Hackman zaczął grać stosunkowo późno. Wcześniej miał się różnych zajęć, a popularność zdobył dopiero po trzydziestce. Jak głosi hollywoodzka legenda, po rozpoczęciu nauki w Pasadena Playhouse w Kalifornii pod koniec lat 50. ub.w. on i jego kolega ze studiów Dustin Hoffman zostali uznani za najmniej rokujących kandydatów do odniesienia sukcesu w branży filmowej. Dobrze wiemy, co było dalej.

Już pod koniec lat 60. Hackmanowi udało się zdobyć pierwszą nominację do Oscara za najlepszego aktora drugoplanowego w słynnym filmie „Bonnie i Clyde” (1967).

Był wcieleniem typowego amerykańskiego Kowalskiego. Lekko łysiejący, w średnim wieku, o silnych, ale niewyróżniających się rysach twarzy. Typ ani pospolity, ani przystojny, raczej wtapiający się w tłum niż się z niego wyróżniający. Kiedyś zażartował sam z siebie, że wygląda jak „zwykły górnik”. Był ceniony za wybitne kreacje przeciętnych ludzi, nie wpisując się w schemat typowej hollywoodzkiej gwiazdy filmowej. Ale mimo wszystko nią został, wcielając się w rolę skazańca, szeryfa, członka Ku Klux Klanu, hutnika, szpiega, ministra, bohatera wojennego, pogrążonego w żałobie wdowca, dowódcy okrętu podwodnego, trenera koszykówki i w końcu amerykańskiego prezydenta. Jak podkreślają krytycy, miał wielki talent do odkrywania w tego rodzaju bohaterach kolejnych warstw osobowości.

HACKMAN SOSABOWSKI

Hackman potrafił wykorzystać swój talent i wszechstronność, wcielając się w wiele trudnych ról. Jako aktor jest prawdopodobnie najbardziej znany z roli Jimmy’ego „Popeye’a” Doyle’a, twardego i wulgarnego nowojorskiego policjanta ze znakomitego kryminalnego thrillera „Francuski łącznik” (1971). Za tę rolę został uhonorowany Oscarem. Potrafił być okrutny i brutalny, choć miał także talent komediowy. Aby rozwinąć grane przez siebie postacie, korzystał bowiem z własnych życiowych doświadczeń. Jako nastolatek służył przeciw w Korpusie Piechoty Morskiej USA, a więc słynnych marines, do których dołączył w wieku 16 lat, zatajając przed komisją wojskową swój prawdziwy wiek. W armii spędził aż 4,5 roku, służąc w Chinach, na Hawajach i w Japonii, w pewnym momencie pracując nawet jako didżej w stacji radiowej swojej jednostki. Najsłynniejszym filmem wojennym, w jakim zagrał, i tak bliskim sercom Polaków, był oczywiście „O jeden most za daleko” (1977) Richarda Attenborougha. Obraz z wielkim rozmachem rekonstruował przebieg operacji powietrznodesantowej Market-Garden, w której brała udział polska 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa pod dowództwem gen. Stanisława Sosabowskiego. To w jego postać wcielił się Hackman. W filmie można zobaczyć plejadę najznakomitszych ówczesnych aktorów, zagrali w nim także m.in. Laurence Olivier, Anthony Hopkins, Sean Connery czy Robert Redford.

Już po przejściu na emeryturę Hackman napisał pięć książek, w tym trzy wspólnie z archeologiem Danielem Lenihanem. Ich tematyka obejmowała przygody morskie, historie kryminalne i opowieści wzięte wprost z brutalnych westernów. Zdaniem tych, którzy je czytali, jest w nich obecny duch przygody zaczerpnięty wprost z powieści jego ulubionych pisarzy, m.in. Stevensona, Conrada, Melville’a i Hemingwaya. Zapytany, dlaczego zajął się pisaniem, wyjaśniał, że pociągała go towarzysząca temu zajęciu samotność i wolność od wścibskich spojrzeń publiczności. Więc i śmierć nadeszła samotnie, z dala od kamer i blasku fleszy.

Katolicki ramadan

Pustynia, pokuta, kontemplacja. Czas Wielkiego Postu. Co może z nim zrobić katolik kulturowy? Jak wykorzystać te kilkadziesiąt dni, by stać się człowiekiem wierzącym, ufającym Bogu?

Zacznijmy od idei metanoi. Od zawsze intrygowała mnie jedyny raz padająca w Ewangelii fraza: nawracajcie się przez odnawianie umysłu. Była dziwna. Katolicyzm jawił mi się jako raczej religia serca, a nie umysłu. Ten fragment przykuwał uwagę. Uwagę człowieka poznającego świat poprzez szukanie mechanizmów, które należy zrozumieć, wykorzystać, użyć. Ten typ tak ma: 10 przykazań – instrukcja obsługi świata; pojąć, zaakceptować, wdrożyć procedurę. Albo odrzucić.

Potem okazało się, że dokładniejszym tłumaczeniem centralnego słowa tego fragmentu Listu do Rzymian będzie: przemieniajcie się. Przemieniajcie się przez odnawianie umysłu. Zatem duchowa odnowa człowieka ma odbyć się poprzez metanoję, przemianę (meta – gr. μετα) umysłu (nous – gr. νοῦς).

Co łączy post, modlitwę i jałmużnę? Są wysiłkiem. Jeśli są wyrzeczeniem, mogą ten trud za kogoś ofiarować.

Syn Teresy zaczął się dziwnie zachowywać. Zapušcił włosy, ubierał się tylko na czarno, izolował od rodziców i braci, słuchał agresywnej muzyki. Jego matka bała się, że wchodzi w satanizm. Rozmowy nic nie dawały. Pojawiła się agresja i autodestrukcja. Teresa rozpoczęła walkę duchową. Przed laty w kościele paulinów przy ul. Długiej w Warszawie co miesiąc miały miejsce sobotnie czuwania. Od godz. 20.00 do 3.00, 4.00 nad ranem. Teresa zaczęła na nie chodzić. Syn wiedział, że to w jego intencji, pokpiwał sobie. Po roku w trakcie adoracji Najświętszego Sakramentu Teresa usłyszała od ołtarza: „W tej chwili

uzdrawiany jest młody chłopak stojący za filarem”. Była jedną osobą w kościele, która stała. Miała kłopot z kolanem. Opowiadała mi: „Gdy ksiądz wypowiedział te słowa, poczułam, jak przesywa mnie ogień, od głowy do stóp, wstrząs i potężne ciepło. Wiedziałam, że syn został uwolniony...”. Chłopak czekał na nią w domu. Następnego dnia wyrzucił płyty z satanistyczną muzyką, po kilku dniach ściął włosy. Został całkowicie przemieniony, uzdrowiony. Wiem to na 100 proc., ponieważ potem okazjonalnie pomagał nam w ewangelizacji. Gdyby dalej był pod demonicznym wpływem, nie byłoby to możliwe.

Czy przemiana duchowa może nastąpić wbrew woli człowieka?

Bóg nigdy nie odbiera człowiekowi wolności. Wiemy to na pewno. Wystarczy popatrzeć na Syna Boga i to, co na Górze Czaszki z nim zrobiła ludzka wolna wola. Jest jednak w Ewangelii przypowieść, która sugerowałaby coś innego. Władca zaprasza w niej poddanych na wielką ucztę, wiąże się to z bogatymi prezentami dla gości, ci się jednak wymawiają, w końcu władca nakazuje sługom przymusić gości. Nie da się przymusić do miłości. Więc co się wydarzyło w tym kościele? Syn Teresy nie pragnął uwolnienia od duchowych wpływów, o nic nie prosił Boga. Ale Boża łaska znalazła dostęp do jego zniewolonego serca. Chłopak kochał bowiem mamę, był otwarty na nią, na jej miłość. Spajały ich więzy miłości. Miłość płynęła od matki do syna, od syna do matki. I Bóg wykorzystał istnienie tego strumienia, tego wyłomu w murze skamieniałego nastoletniego serca. Syn został uzdrowiony dzięki matczynej miłości.

Ela była dumą rodziców, organizowała z nimi patriotyczne imprezy, na krakowskim rynku potrafiła bronić idei



ROBERT TEKIELI

ochrony życia nienarodzonych przed agresją zięjących nienawiścią kobiet spod znaku błyskawicy. Była twarda. Była mocna. Tak się wydawało. Poszła na studia. Kluby. Potem kluby techno. Ela weszła na ścieżkę do piekła. Dosłownie. Kiedy zgłosili się do mnie jej rodzice, walka toczyła się o jej życie. Uzależniła się w skrajny sposób. Środowisko narkomanów to przemoc, wykorzystanie. Z Elą działy się potworne rzeczy, dwukrotnie ledwo uniknęła śmierci. Znalazła się w obcym domu, nieprzytomna, starszy mężczyzna i młoda kobieta. Satanistyczne klimaty. Przygotowywali się, by ją zabić. Uszła dosłownie cudem. Ale dalej ćpała.

Rodzice, głęboko wierzący katolicy, walczyli o córkę z intensywnością, która wręcz mnie zawstydzała – nie byłam pewien, czy byłoby mnie stać na takie zaangażowanie. Wtedy chodziłem na nocne pielgrzymki do Niepokalanowa. Trasa liczyła 21 km, trzy etapy, pielgrzymka trwała od 20.00 do 5.45. Niemalże wyrzeczenie. Zadzwońm więc do rodziców Eli, że do ich wielkiej modlitwy trzeba dołączyć post, wyrzeczenia, pielgrzymkę, cielesny wysiłek. Wejść na wyższy poziom walki duchowej. Włączyć do niej umartwienia. Zaangażować ciało. Tak się złożyło, że „przypadkiem” spędzili nad morzem jeden wakacyjny dzień dłużej, „przypadkiem” mogli dojechać do Niepokalanowa.

nowa na 20.00. Mama Eli miała kłopoty z nogą czy kręgosłupem, nie pamiętam, ale wytrwała. Doniosła swoje cierpienie i przez ręce Matki złożyła je na ołtarzu obok cierpienia Chrystusa.

Ela wróciła do domu, do życia sakramentalnego, do rodziny, do rozumu, do zdrowia. Oczywiście przed nią są

jeszcze pułapki. Takie potworności nie pozostają bez śladu. Zło będzie się o nią upominać. Ale to inna historia.

Piszę to w Środę Popielcową. Post to modlitwa ciała. Umartwienie. Ze śmierci Jezusa czerpiemy życie. Inwestując w pozbawienie się komfortu, przyjmując cierpienie, możemy zmie-

nić życie swoje lub kogoś, kto tego bardzo potrzebuje. Możemy stać się człowiekiem wierzącym, ufającym Bogu.

Przemiana duchowa, metanoja, duchowa odnowa. Życie od nowa. Tu chodzi o miłość.

A tytuł felietonu? Jest tylko przynętą, clickbaitem.

WOJNA CYWILIZACJI

Warte Imperia nie mają sąsiadów, których uznają za równych sobie. Rosjanie nazywają taką strefę lenną „bliska zagranica”. Niemcy są w tej kwestii jeszcze bardziej poetyccy: buforowe państwo w myśl imperialnej strategii Mitteleuropy to Pufferstaat. To kojarzy mi się z filmem „Tragarz puchu”.

Na moim biurku znalazło się właśnie polskie tłumaczenie bestselleru Friedricha Naumanna z 1915 r. **„Mitteleuropa – nowy porządek w sercu Europy”**. Książka zawiera program polityczny określający cel wojenny Niemiec podczas I wojny światowej, czyli dominację Cesarstwa Niemieckiego nad Europą Środkową i jej eksploatację przez Niemcy, aneksję terytoriów zamieszkałych w większości przez nieniemiecką ludność autochtoniczną. Dla nas przewidywano zabór jednej trzeciej kraju oraz wypędzenie z owego „pasa przygranicznego” Polaków i Żydów, zastępowanych stopniowo kolonistami niemieckimi. Kadłubowa Polska – ów Pufferstaat – miała być stopniowo germanizowana, także poprzez zmniejszenie populacji polskiej wskutek sztucznie wywoływanych klęsk głodu.

Mozaika marionetkowych państw, w tym Królestwa Polskiego, pod polityczną, gospodarczą i wojskową kontrolą Rzeszy, miała być eksploatowanym gospodarczo zapleczem imperium, a jego zasoby służyć rywalizacji z Anglią w celu uzyskania pozycji światowego hegemonu. Drenaż miał być osiągany dzięki szeregowi korzystnych umów gospodarczych z podległymi Niemcom satelickimi państwami, takimi jak Ukraina czy Polska. Liczono też, że nastroje klasy pracującej w Niemczech zostaną uspokojone dzięki aneksjom terytorialnym, dotowanemu przez państwo osadnictwu oraz lepszej kondycji gospodarczej Rzeszy, co pozwoliłoby wszystkim Niemcom, nawet tym mniej zasobnym, zachowywać niemieckie poczucie wyższości nad innymi nacjami.

W koncepcji Mitteleuropy chodziło „tylko” o ustanowienie politycznej, gospodarczej i kulturowej dominacji Niemiec między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem. Inne strategie imperialne zakładały zdobycze terytorialne na Wschodzie i przesiedlenia narodów. Każdy z wariantów

planu zakładał konieczność „jednostronnego, militarnego i gospodarczego przykucia Polaków do Niemiec”. I Ukraińców, Chorwatów, Słowaków, Słoweńców, Czechów...

Dziś trwa budowa Mitteleuropy 2.0. Nie dziwny się więc, że Niemcy traktują Unię Europejską jako narzędzie polityki imperialnej, skoro już w 1914 r. Walther Rathenau, niemiecki przemysłowiec, pisarz i polityk, zachęcał rząd w Berlinie do utworzenia unii celnej złożonej z Niemiec, Austro-Węgier, Belgii i Francji, która poprzez zacieśnianie więzi gospodarczych miała służyć do utrwalania niemieckiej dominacji politycznej w Europie Środkowo-Wschodniej. Gdzie tamtej unii celnej do „federalizacji” Europy!

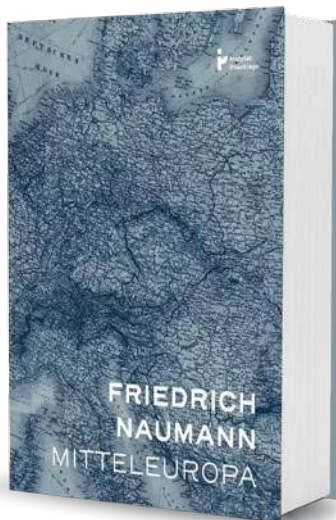
Polaków oraz Żydów Naumann chciał jedynie wysiedlać, ewentualnie wstydliwie eksterminować za pomocą głodu. Kilka lat później Himmler w niemieckim duchu imperialnym poszedł dalej. Generalny Plan Wschodni przewidywał wymordowanie kilkudziesięciu milionów ludzi. Podziwiać ciągłość imperialnej myśli politycznej i konsekwencję niemieckich elit.

Dziś Niemcy próbują storpedować amerykańskie próby związania Ukrainy z USA. Trwa gra o dominację i minerały. Zelenski się miotą. Zakotwiczenie Ukrainy w sferze amerykańskich interesów to klęska imperialnych Niemiec.

Czemu nikt nie pyta, jaki jest niemiecki pomysł na Europę? Bo poprzednie dwa nikomu się nie spodobały. Do wyboru mamy albo wpływ i kontrolę, albo terror i eksterminację. No i sztuczne klęski głodu.

Bezpieczeństwo i gospodarka są mocno związane ze sobą. Dziś Warszawa ma w tej mierze do wyboru model atlantycki lub niemiecki. Martin Adam, dziennikarz ARD, potężnego państwowego koncernu medialnego, pisze wprost: „Polska dotychczas koncentrowała swoją politykę bezpieczeństwa wyłącznie na Stanach Zjednoczonych. Za rządów prezydenta USA Trumpa nie jest to już możliwe. Teraz Warszawa musi podjąć decyzję: czy nadal polegać na Trumpie, czy na Europie?”. Na Europie, czyli na Niemczech. W razie rosyjskiej agresji dostaniemy transport hełmów niemieckiej straży pożarnej, o ile jeszcze jakieś zostały na stanie.

Robert Tekieli, Polskie Radio



Trump to Sex Pistols polityki

Brytyjski „Sunday Express” opublikował rozmowę znanego dziennikarza muzycznego Garry’ego Bushella z Johnem Lydonem, dziś 69-letnią ikoną punk rocka z Sex Pistols, czczoną niegdyś jako nieznosny i skandalizujący Johnny Rotten. Mimo że opuścił zespół już 43 lata temu, by założyć Public Image Ltd., wciąż zaskakuje, szczególnie politycznymi komentarzami. Jego poglądy zdają się konsekwentnie przesuwac w prawo – niegdyś chwalił prezydenta Obamę i faktycznie torował drogę temu, co dziś go tak uwiera. Kilka lat później nazwał Joe Bidena idiotą, ostrzegł, że demokraci chcą zniszczyć Amerykę, a dziś nie ukrywa, że cieszy się z prezydentury Donalda Trumpa, którego popiera nie od dziś, od jakiegoś czasu będąc także obywatelem USA. Z radością patrzy na frustrację jego przeciwników, dostrzega, że Trump zachowuje się nietypowo – niczym sprawny biznesmen, który zarządza, a także likwiduje szkody uczynione przez poprzedników. „Przepraszam, ludzie, ale on jest Sex Pistols polityki! Podoba mi się, że robi to, o czym mówił, nie składa banalnych obietnic. To nie jest zwykła polityka. Dlatego BBC tego nienawidzi” – mówi Lydon, nazywając Trumpa burzycielem w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

Nie podoba mu się również Wielka Brytania pod rządami tego „dziwnego człowieka” premiera Keira Starmera, która stała się „miejszem postawionym na głowie”. Bo tym, co łączy była gwiazdę punka z politykami i wyborcami „populistycznej” prawicy, jest pełne zrozumienie dla ludzi z klas społecznych, które zarówno na Wyspach, jak i w Ameryce zostały poddane ekonomicznej, socjalnej degradacji, stając się też celem szyderstw i ataków medialnych. „Nie uważam, żeby lewicowi komici byli jakoś szczególnie zabawni, gdy próbują mnie pouczać. Uważają nas za gorszych od siebie” – zauważa. On, syn irlandzkich imigrantów, był najstarszym z czterech braci urodzonych w północnym Londynie. Dzisiaj krytykuje imigrację, gdyż widzi, iż rzekomi uchodźcy wcale nie chcą stać się Anglikami, a problemy, przed którymi jakoby uciekają, przynoszą ze sobą na nowy grunt. Sam dorastał w dwupokojowym mieszkaniu bez toalety, tuż przy stadionie Arsenalu, ale jak twierdzi, już po wyprowadzce z Irlandii rodzice powiedzieli, że od teraz muszą stać się Anglikami. „To była bardzo zróżnicowana przestrzeń, ale nie potrzebowaliśmy, żeby Partia Pracy mówiła nam, że mamy być różnorodni”.



Maciej Walaszczyk

Hip-hop jest dziś wszechobecny w całej kulturze popularnej, od telewizji po sport, modę czy politykę. Wdarł się tam ze wszystkim, co jest w nim zarówno elektryzujące, jak i odpychające, kultem przemocy i wulgarną estetyką. Ciekawostką jest, że ów styl, będący odmianą typowo amerykańskiej czarnej muzyki, został faktycznie wykreowany przez żydowskich menedżerów i producentów z Nowego Jorku. Najślynniejszym „szamanem” tej sztuki był bowiem Rick Rubin, zaś najślynniejszym, a do tego białym i żydowskim zespołem – Beastie Boys z Brooklynu.

W 1983 r., będąc na trzecim roku studiów, Rubin pożyczł od rodziców kilka tysięcy dolarów, aby nagrać piosenkę lokalnego rapera T La Rocka i wydać ją w swojej nowej wytwórni Def Jam. Z miejsca stała się ona hitem i przyciągnęła uwagę żydowskiego biznesmena Russella Simmons. Obaj połączyli siły i zmienili Def Jam w fabrykę hitów. Potem Rubin wyprodukował i wydał płytowy debiut Beastie Boys z 1986 r. pt. „Licensed to Ill”, który stał się pierwszym albumem rapowym osiągnącym szczyty Billboardu. Moment, w którym Michael „Mike D” Diamond, Adam „MCA” Yauch i Adam „Ad-Rock” Horowitz wkroczyli na scenę, rozpoczął też estetyczną rewolucję, której skutki

Mistrzowie sonicznego kolażu



słyszemy chyba w każdym zakątku świata. Taki jest ich wkład w powstanie rapu czy hip-hopu, a dokładnie sztuki sonicznego kolażu z pełnymi ironii tekstami.

Przy odrobinie wyobraźni reggae, disco, punk, rock, awangardowy jazz i funky stały się budulcem tego, co znamy dziś pod tą nazwą. Jak twierdzą Horowitz i Diamond, był to mimetyczny produkt nowojorskich ulic odzwierciedlający zwinność językową i agresję jego mieszkańców. Później ktoś zauważył, że sposób przemawiania polityków zmienił się właśnie pod wpływem raperów – musi być on bardziej agresywny, prosty, rytmiczny, by trafić do świadomości i umysłów sformatowanych według skandowanych do mikrofonów rymowanek. Oczywiście skandowanych w rytm motoryki ulicznego chodu.

Książka przybliża historię słynnej grupy zrodzonej na bruku wielomilionowego miejskiego molocha pełnego muzyki, która brzmiała na ulicach, w parkach, klubach, radiu i sklepach, mieszając się w przestrzeni niczym na wielkim stole mikserskim. To setki krótkich opowieści przybliżających okoliczności powstawania płyt, koncertów, postaci i spotkań. Świat sprzed iPhone’ów i internetu.

Adam Horowitz, Michael Diamond, „Księga Beastie Boys”, SQN 2023

Ostatnia salwa

Europa jest ofiarą własnego sukcesu – globalnego kapitalizmu, wynaturzeń liberalizmu, a także pozaeuropejskich potęg, które stały się jej groźnymi imitacjami

Templum Novum”, jak patetycznie ujął jego wydawca Mariusz Bechta, oddało ostatnią salwę „kanonady narodowego romantyzmu”. Ukazał się bowiem jubileuszowy i pożegnalny tom pisma funkcjonującego na antypodach krajowego życia intelektualnego. Co nie znaczy, że zawierającego marginalne treści. Przeciwnie – przez 20 lat na jego łamach głos zabierały osoby znane i mające do powiedzenia rzeczy tyleż oryginalne, co niepopularne. Przedstawiciele postnacionalizmu, konserwatyzmu, identytaryzmu i szeroko rozumianej nowej prawicy.

Obok Marka J. Chodakiewicza, Jacka Bartyzela, Lecha Jęczyńka, Tomasza Gabisia, Bohdana Urbankowskiego pojawiali się tu Alain de Benoist, Dominique Venner, Aleksander Dugin czy Marco Tarchi. Tak jest i tym razem. Uwagę przykuwają bardzo ciekawe wywiady, m.in. z prof. Davidem Engelsem, prof. Markiem Kornatem oraz otwierająca tę edycję rozmowa z prof. Wawrzyńcem Rymkiewiczem z kwartalnika „Kronos”. A także blok rozmów z przedstawicielami młodej niemieckiej prawicy, którzy w ostatnich latach szturmem wdarli się na tamtejszą scenę polityczną.

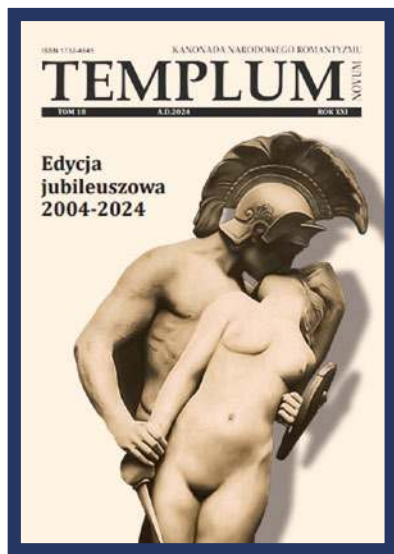
To niezwykle aktualne wywiady, m.in. z europosem AfD Tomaszem Froelichem, politologiem Benediktem Kaiserem i wydawcą Jungeuropa Verlag Philipem Steinem. Niemieccy rozmówcy opowiadają o rzeczach, których warto wysłuchać, by zrozumieć, co się dzieje za Odrą. Niemcy są kulturowo zamerykanizowani, co w przeciwieństwie do Polaków bardzo ich uwiera, oraz pozbawieni swojej tożsamości, którą pragną odzyskać. Froelich wyraża jednak nadzieję, że także w Polakach zwycięży opór wobec zachodniego „imperatywu naśladownictwa”. Jednak niemiecka prawica widzi przyszłość Europy wyłącznie w formule silnej podmiotowości politycznej i niezależności od USA, związków z Rosją, oraz – co jest warunkiem koniecznym – wyzwolenia się z gorsetu lewicowo-liberalnych ideologii. Dlatego zwycięstwo Donalda Trumpa pod hasłem „Make America Great Again” także przed nami stawia pytanie, czy to, co się wydarzyło w Ameryce, jest możliwe również w Europie. Przeważa przekonanie, że dezintegracja europejskiej tożsamości zaszła niezmiernie daleko. Mówi

o tym David Engels, dostrzegając atrofie kulturową zachodniej młodzieży i skutki afrykańsko-muzułmańskiej imigracji, które w pewnej mierze są nieodwracalne. Jego zdaniem kolejne pokolenie stoi dziś przed koniecznością cofnięcia się do szczytów narodowych partykularyzmów, a jednocześnie pielęgnowania wspólnej europejskiej tożsamości. Jest bowiem zdania, że obecnie wszyscy muszą podjąć wysiłek jej fundamentalnej rewitalizacji, a więc odzyskania pewności siebie, odkrycia historycznej dumy i duchowej misji, bez czego Europa nigdy nie wydobędzie się z „bagna nihilizmu i kulturowego samobójstwa”.

Obrazu dopełnia Marek Kornat, zwracając uwagę na totalitarny charakter współczesnego liberalizmu, który sięgając po represje karne i równocześnie posługując się środkami pokojowymi, stosuje terror intelektualny prowadzący do tych samych celów, które realizowała utopia komunistyczna. Jednak najbardziej radykalne stanowisko reprezentuje Wawrzyńiec Rymkiewicz, który nie pozostawia złudzeń, twierdząc, że Europa już się skończyła, a skala doświadczanego kryzysu przekracza nowożytny przełom, sięgając podstaw naszej egzystencji. Nasz kontynent stał się bowiem ofiarą globalizacji i dziś upada mocą wyzwolonej przez siebie dynamiki. Stało się tak, gdyż tylko w ludziach Zachodu tkwi imperatyw przekraczania granic, podboju i łamania miar. Jednak kolonizując obce cywilizacje, doprowadzili oni do zrodzenia pozagranicami Europy nowych centrów władzy, które choć nie są europejskie, stały się

imitacjami i odbiciami Europy, a ona sama „kolonią swych własnych kolonii”. Chodzi o Rosję, USA, Amerykę Łacińską i Chiny.

Zdaniem filozofa najbardziej destrukcyjną i nihilistyczną siłą okazał się turbokapitalizm, który w zwyrodniałej formie zdołał opanować i przetworzyć wszystkie sfery życia, także religię, politykę i kulturę, a nawet naturę. „Gdy zaspokoił podstawowe ludzkie potrzeby, zajął się potrzebami wyższymi konsumentów i ich pragnieniami metafizycznymi”, rozpuszczając ich duchowe siły. Dlatego w obliczu rozpadu znanego nam świata ocalenia należy szukać w naszej własnej odrębności. „Bronisław Trentowski jako pierwszy myślał o Polsce poza Europą” – podpowiada Rymkiewicz.





STANISŁAW KOCZOT

Podatek Belki, czyli podatek od dochodów kapitałowych, został wprowadzony w 2002 r. przez rząd Leszka Millera, w którym Marek Belka był wicepremierem i ministrem finansów. Początkowo podatek ten obejmował zyski z depozytów i lokat bankowych, ale wkrótce rozszerzono go na praktycznie wszystkie instrumenty finansowe – od akcji po fundusze i obligacje. Stawka podatku to obecnie 19 proc.

JAK TO DZIAŁA, ILE TRACIMY?

Podatek Belki obciąża zyski, czyli profit uzyskany z zainwestowanych środków, a nie cały zgromadzony kapitał.

Sposób jego pobierania zależy od tego, jakich instrumentów finansowych dotyczy. W przypadku lokat podatek wylicza bank, pobiera go z odsetek i sam odprowadza do urzędu skarbowego. Podobnie w inwestycjach w obligacje detaliczne, z tym że podatek potrąca Ministerstwo Finansów. W obu sytuacjach klient nie wypełnia żadnych formularzy, a całą operację wykonują za niego albo banki, albo resort finansów.

Inna jest procedura na rynku akcji czy funduszy inwestycyjnych. Rozliczenie – czyli obliczenie dochodu – musi przeprowadzić sam inwestor na podstawie PIT-8C, który otrzymuje z instytucji, w której posiada rachunek. Dokonuje się to przy okazji rozliczenia rocznego na formularzu PIT-38.

Obsługa podatku Belki jest więc dość uciążliwa dla inwestorów działających na niektórych rynkach, generuje też spore koszty administracyjne, gdyż wymaga zaangażowania do jego obsługi znacznej liczby dobrze wykwalifikowanych urzędników skarbowych. Stąd pojawiający się coraz częściej argument o niskiej efektywności podatku, który, choć zapewnia dochody budżetu sięgające w ub.r. ok. 10 mld zł, tworzy też wysokie koszty.



Podatkowa kara za oszczędzanie

Podatek Belki drenuje konta Polaków już od ponad dwóch dekad. Miał być rozwiązaniem tymczasowym, a jednak przetrwał wszystkie rządy, chociaż prawie każdy z nich chciał się go pozbyć. Przedstawiciele obecnie rządzącej koalicji obiecują zmiany w nim, ale na razie nie zdradzają zbyt wielu szczegółów

Podatek jest zabójczy dla domowych budżetów, ponieważ uszczupla i tak niski poziom oszczędności Polaków. Np. lokata w wysokości 10 tys. zł oprocentowana na 5 proc. w skali roku po 12 miesiącach przynosi 500 zł zysku. Po zapłaceniu podatku Belki w wysokości 95 zł (19 proc. z 500 zł) w kieszeni zostanie 405 zł. Z podobnym uszczupleniem profitów z oszczędzania należy się liczyć przy kupnie i umorzeniu np.

jednostek w funduszu dłużnym o niskim poziomie ryzyka, czyli inwestycji zbliżonej do lokaty.

OBIETNICA NR 37

Przy większych inwestycjach koszty podatku są oczywiście znacznie wyższe. Nic więc dziwnego, że od dobrych kilku lat eksperci proponują albo jego likwidację albo ograniczenie.



Od czasu do czasu do publicznej dyskusji na ten temat włączają się politycy, gdyż pomysł obniżania podatków zawsze jest wyjątkowo atrakcyjny. Tak było również podczas ostatnich wyborów parlamentarnych, kiedy wśród „100 konkretnych na pierwsze 100 dni rządów” Koalicji Obywatelskiej znalazła się propozycja nr 37 – zniesienie „podatku od zysków kapitałowych (podatek Belki) dla oszczędności i inwestycji, w tym także na GPW (do 100 tys. zł powyżej 1 roku)”.

Ponieważ propozycja dotyczyła bezpośrednio kilku milionów Polaków, w przestrzeni publicznej co jakiś czas pojawia się pytanie, co się z nią dzieje i kiedy zostanie wprowadzona w życie.

Na razie wiadomo, że trwają jakieś prace nad zmianą podatku, choć Ministerstwo Finansów nie ujawnia zbyt wielu szczegółów. Niemniej głos w tej sprawie zabrał zarówno szef resortu minister Andrzej Domański, jak i wiceminister Jarosław Neneman.

CO SIĘ ZMIENI?

Na razie znane są podstawowe założenia planowanych zmian: podatku od zysków kapitałowych nie zapłaci ci, który będą posiadali oszczędności i inwestycje kapitałowe nie większe niż 100 tys. zł. W ramach tego limitu z podatku zwolnione mają być zyski pochodzące z różnego rodzaju instrumentów finansowych – od lokat terminowych po obligacje, akcje i fundusze inwestycyjne – aktywnych przez co najmniej rok. Według deklaracji ministra Andrzeja Domańskiego rządowy projekt zmian ma się pojawić w pierwszej połowie tego roku. Całkowita likwidacja podatku od zysków kapitałowych nie jest brana pod uwagę.

DWA RAZY TO SAMO

Wprowadzenie zmian wydaje się realne, choć prawdopodobnie nie będą one duże. Rynek nie jest też przekonany, że kierunek zaproponowany przez obecny rząd jest właściwy.

Główny zarzut wobec podatku Belki polega na tym, że zniechęca on do oszczędności w kraju, którego obywatele posiadają bardzo niewielkie zasoby finansowe. Stopa oszczędności plasuje Polaków na szarym końcu w Europie.

Pod względem relacji aktywów finansowych do PKB zajmujemy jedno z ostatnich miejsc w Unii.

Podatkowi Belki zarzuca się też podwójne opodatkowanie dochodów – najpierw podatkiem dochodowym, a potem podatkiem od zysków kapitałowych. W związku z tym pojawia się oskarżenie o niesprawiedliwą konstrukcję tej daniny, ponieważ obciąża ona osoby, których zarobione pieniądze już wcześniej zostały opodatkowane. Ogólnie bardzo mocno uderza on w oszczędzających w twardym pieniądzu.

Jak mówił nam Tadeusz Bialek, prezes Związku Banków Polskich, podatek Belki to fatalne rozwiązanie szczególnie w takich krajach, które tak jak Polska należą do jednych z najmniej oszczędzających na cele długoterminowe w Europie. – Motorem wzmacniającym tendencje do oszczędzania długoterminowego byłoby znacznie dalej idące zliberalizowanie podatku od zysków kapitałowych niż to, co w tej chwili jest proponowane – mówi Tadeusz Bialek, choć jednocześnie zaznacza, że propozycje resortu finansów idą w dobrym kierunku.

INACZEJ DLA LOKAT, INACZEJ DLA AKCJI

Negatywnej oceny podatku Belki nie kryją przedstawiciele giełdy czy funduszy inwestycyjnych. Podatek od zysków kapitałowych uchodzi za jedną z największych barier w ich rozwoju. Problem jest o tyle poważny, że rynek kapitałowy ma spory potencjał: rozliczenia za 2023 r. przez formularz PIT-38 złożyło prawie 467 tys. podatników, a to znaczy, że grupa, która inwestuje na giełdzie czy w innych instrumentach finansowych i płaci podatek Belki – jeżeli oczywiście osiągnie jakiś zysk – jest dosyć duża.

„Rynek jest tam, gdzie jest kapitał. Dla rozwoju rynku ważne jest to, aby większa część oszczędności Polaków była lokowana na rynku kapitałowym niż na kontach bankowych. Obecna struktura oszczędności Polaków, z ponad 50-proc. udziałem gotówki i depozytów w bankach jest niekorzystna zarówno dla gospodarki, jak i samych oszczędzających, którzy w małym stopniu uczestniczą we wzroście wartości polskich firm” – pisze Waldemar

Markiewicz, prezes Izby Domów Maklerskich, w odpowiedzi na nasze pytania. IDM to jedna z najważniejszych instytucji rynku kapitałowego zrzeszająca m.in. przedstawicieli giełdy, biur i domów maklerskich oraz funduszy inwestycyjnych.

Waldemar Markiewicz apeluje o podjęcie radykalnych środków, a podstawowym narzędziem, które można wykorzystać, jest polityka podatkowa. „Efektem zmian w podatku Belki powinno być premiowanie inwestycji zwiększonego ryzyka. Obecnie opodatkowanie zysków z inwestycji w firmy notowane na giełdzie jest takie samo jak z przychodów z bezpiecznych lokat bankowych. A przecież inwestycje w firmy obciążone są nieporównywalnie większym ryzykiem niż lokaty bankowe. Przy obniżeniu podatku Belki od zysków kapitałowych jest szansa, że część oszczędności gospodarstw zostanie skonwertowana w inwestycje, czyli w kapitał dostępny dla polskich najbardziej innowacyjnych i dynamicznych przedsiębiorstw” – twierdzi.

BEZ PODATKU TEŻ MOŻNA

Czy oszczędzający są skazani na podatek Belki? Niekoniecznie, bo na polskim rynku istnieją takie produkty finansowe, które pozwalają w legalny sposób go uniknąć. Są to przede wszystkim instrumenty emerytalne oferowane w ramach III filaru, np. IKZE, IKE czy PPK.

W przypadku IKZE warunkiem zwolnienia z podatku Belki jest dokonanie wpłat w co najmniej 5 dowolnych latach kalendarzowych oraz wypłacenie oszczędności nie wcześniej niż w wieku 65 lat (zamiast podatku Belki w IKZE płaci się 10 proc. zryczałtowanego podatku dochodowego od osób fizycznych).

Podatku od zysków kapitałowych nie płaci się też w IKE (po spełnieniu kilku warunków, m.in. wypłata musi nastąpić po 60. roku życia, a pieniądze na konto powinny wpływać przez co najmniej 5 lat kalendarzowych) oraz w Pracowniczych Planach Kapitałowych (PPK), oczywiście również pod paroma warunkami m.in. wypłatą pieniędzy po ukończeniu 60 lat.

JESSE EISENBERG*

W drodze do Krasnegostawu



Jesse Eisenberg nie wygrał co prawda Oscara za scenariusz do swojego filmu (statuetkę za drugoplanową rolę w obrazie „Prawdziwy ból” odebrał Kieran Culkin), ale zdobył polskie obywatelstwo (o które się ubiegał). Podczas niedawnej wizyty w USA nadał mu je prezydent Andrzej Duda.

Rok temu aktor otrzymał tytuł honorowego mieszkańca miasta Krasnostaw, skąd pochodzi jego przodkowie. Włączono go też do rywalizacji o tegoroczne Polskie Nagrody Filmowe Orły. 10 marca, kiedy odbędzie się gala, dowiemy się, czy nominacja za scenariusz zamieniła się w statuetkę.

Urodzony w Nowym Jorku Eisenberg, znany przede wszystkim z roli Marka Zuckerberga w filmie „The Social Network”, realizując „Prawdziwy ból”, pełnił kilka funkcji: odtwórca głównej roli, współproducenta, scenarzysty oraz reżysera obrazu, w którym w sentymentalną podróż do Polski wyprawili dwóch filmowych kuzynów. W drodze do miasta, z którego przed laty wyjechała ich babka, odwiedzili kilka znaczących miejsc, podróżo-

wali polską koleją i na potrzeby filmu zaadaptowali przestrzeń lotniska w Radomiu.

Eisenberg, który dwukrotnie był w kraju nad Wisłą – najpierw w 2007 r., a następnie w 2023 r. – podkreślał w wywiadach, że „Prawdziwy ból” jest swoistym „listem miłosnym” kierowanym do naszego kraju. Przed wszystkim jednak we współczesnej Rzeczypospolitej bohaterowie filmu poszukiwali śladów przeszłości unicestwionej przez Holokaust.

Wędrując z Nowego Jorku do Krasnegostawu, ekranowi kuzyni odwiedzili Warszawę. Byli m.in. na placu



Kraśnińskich, przy pomniku Powstania Warszawskiego, którego wielkie figury chyba bardziej kojarzyły im się z fantastyką niż dramatyczną przeszłością. Tę odnajdywali w Muzeum Historii Żydów Polskich przy ul. Anielewicza czy na Muranowie. W stolicy trafili także na stację Warszawa Olśzynka Grochowska na Pradze Południe. W Lublinie, do którego potem się udali, odwiedzili m.in. ul. Grodzką. Dotarli również do Państwowego Muzeum na Majdanku.

Lotnisko w Radomiu zagrało w „Prawdziwym bólu” dwa porty lotnicze: nowojorskie JFK oraz warszawskie Okęcie. Za scenografię do filmu odpowiadała Mela Melak. Autorem zdjęć był Michał Dymek, a kostiumów – Małgorzata Fudala. W produkcję ze strony polskiej włączyła się Ewa Puszczyńska. Wśród amerykańskich producentów byli m.in. Emma Stone i jej mąż Dave McCary.

Jolanta Gajda-Zadzworna

*Amerykański aktor, reżyser filmu „Prawdziwy ból”

Kadr z filmu „Prawdziwy ból”





SŁODKO-SŁONY

Herbatka z gryki

ANNA MONICKA



WILCZYM OKIEM

Sosna polska

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Festiwal kawy na Stadionie Narodowym był jedną z najpiękniejszych i najlepiej pachnących imprez ostatnich tygodni. 180 wystawców to nie w kij dmuchał. Opiliśmy się z córką tyle różnych modnych przelewów i naparów herbacianych, że biegaliśmy jak nakręcone przez kolejne 48 godzin, niemal nie czując zmęczenia. Zabawne jednak, że najbardziej zapamiętałyśmy wystawców, którzy proponowali coś zupełnie innego niż kawa.

Przy niepozornym stoisku odbywała się degustacja napoju, z jakim nigdy wcześniej nie miałam do czynienia, czyli herbaty z luskanych i prażonych nasion gryki tatarskiej. Słomkowy, delikatny, ale o wyraźnym orzechowym smaku z lekką nutką świeżo pieczonych ciasteczek napar był przepyszny, przypominał nieco japońską zieloną herbatę genmaicha z prażonymi nasionkami ryżu. Jeden z ciekawszych, jakie miałam przyjemność spróbować, a przy tym pełen witamin, żelaza, magnezu i potasu. Wystawca zapewniał, że świetnie wpływa na nerwy, poprawia sen i zmniejsza apetyt na słodkie, chociaż zwróciłam uwagę na to, że doskonale gasi pragnienie i nie traci smaku nawet zalewana po raz trzeci, bo specjalnie oszlifowane nasiona tatarski można traktować podobnie jak zielone herbaty. Poza tym można ją popijać przed snem i nie obawiać się, że nie zmrzujemy oka. Skusiłam się na herbatkę i parzę ją rano przed śniadaniem. Nie zawiera glutenu ani kofeiny, a mimo to wyraźnie dostarcza niezłej porcji energii, bo jest bogata w białka i błonnik. Jedna łyżeczka wystarczy na trzy szklanki napoju.

Oczywiście zaczęłam rozpracowywać temat i okazało się, że w sklepach z herbatami można znaleźć soba cha, dobrze znaną w Chinach, Korei czy Japonii. Nasiono po zaparzeniu nie trzeba wyrzucać, wciąż nadają się do ciast, smoothie, kasz czy jako dodatek do owsianki. Napar jest równie smaczny na gorąco, co na zimno, więc latem będzie jak znalazł. Dzięki witaminom i minerałom podziała na odwodniony organizm jak izotonik.

Warto też samemu zabawić się w prażenie surowej gryki na suchej patelni z grubym dnem – ziarna nie będą wprawdzie tak elegancko oszlifowane, ale po pięciu minutach, gdy się zarumienią, można będzie je wykorzystać do naparu.

W zorganizowanym niegdyś plebiscycie na najbardziej polskie drzewo wygrała ogłowiona wierzba. Rzeczywiście, przyrodnicze, krajobrazowe i gospodarcze pożytki płynące z ogławianych wierzb są niezliczone: miejsca lęgów ptaków, rozrodu i zimowania nietoperzy oraz chrząszczy, urozmaicanie polnych dróg, błyskawiczna produkcja drewna itp. Miano najbardziej polskiego drzewa mogłaby jednak otrzymać także sosna zwyczajna (*Pinus sylvestris*).

Warunki przyrodnicze panujące w naszym kraju są dla sosny optymalne. Sosnowe drzewostany stanowią niemal trzy czwarte polskich lasów. Na pewien negatywny odbiór tego gatunku wpływa fakt, że w dawniejszych czasach szybko rosnące sosny masowo wprowadzano do lasów, tworząc monokultury – monotonne, mało odporne na masowe pojawy owadów, ubogie w gatunki zwierząt. Dawno temu ta praktyka została zarzucona i obecnie nie sadi się już litych sośnin, a te dawniejsze urozmaica się i przebudowuje, wprowadzając gatunki liściaste, jak buk czy dąb, które pod osłoną światłoządnej sosny mają znakomite warunki wzrostu.

Sosna jest w Polsce liczna nie tylko ze względu na działalność człowieka, lecz także z natury. Rośnie wszędzie z wyjątkiem Bieszczadów i wyższych gór (choć istnieje interesujący ekotyp zwany sosną wdziarową – od wdzierania się na wyższe położenia górskie). Dopasowuje się do różnych warunków klimatycznych i glebowych, w wielu przypadkach wygrywa konkurencję z innymi gatunkami. Rośnie szybko, dostarczając dużej ilości cenionego drewna. Do niedawna część sosen nacinano, pozyskując z nich wonną żywicę – kto wie, może warto pomyśleć o przywróceniu żywicowania, zastępując tą substancją surowce sztuczne i importowaną żywicę o gorszej jakości. Drzewostany sosnowe są również łatwe w użytkowaniu – sposobem naśladowującym naturę jest stosowanie zrębów zupełnych, po których na odsłoniętym terenie szybko odnawia się las wyrastający z nasion dostarczanych przez sosny sąsiadujące ze zrębem i z pojedynczych, okazałych drzew pozostawianych właśnie po to (takie sosny stają się również czatowniami nocnych i dziennych ptaków drapieżnych wypatrujących gryzoni).

Sosna wytworzyła w Polsce wiele wspaniałych odmian, w tym występującą na Mazurach szczególnie gonną, osiągającą wielkie rozmiary sosnę zwaną taborską.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Notoryczny kłamca

Ataki premiera Donalda Tuska na prezydenta Andrzeja Dudę nie powinny nas dziwić, co nie znaczy, że nie powinny nas oburzać. Udział Tuska w obaleniu pierwszego niekomunistycznego rządu Jana Olszewskiego w 1992 r. niestety nie zahamował kariery politycznej tego polityka, założyciela Platformy Obywatelskiej.

Wręcz przeciwnie. To był start do dalszych sukcesów zwyciężonych kierowaniem aż trzema rządami, najdłużej ze wszystkich premierów, i ważną posadą w Brukseli.

Środowiskom postkomunistycznym, którym w dużym stopniu zawdzięcza władzę, dał szansę na polityczne wpływy w interesie moskiewskiego hegemonu. Dziś wspólnie z Tuskiem mogą wreszcie powrócić, jak za komuny, do antyamerykańskiej retoryki – niby w obronie zdradzonej Ukrainy, a w zasadzie w proteście wobec antylewicowego (czytaj: antykomunistycznego) odrodzenia się Ameryki. Ponadto Tusk rozszerzył sojusz z komuną na sojusz z chamstwem i pospolitą hołotą, jak słusznie pisał prof. Andrzej Nowak.

Donald Tusk miał też aspiracje prezydenckie, ale jego przegrana w 2005 r. z Lechem Kaczyńskim o ponad 1 mln głosów wywołała wielką traumę, a w zasadzie chęć zemsty, która objawiała się w stałym podważaniu konstytucyjnych prerogatyw prezydenta oraz prymitywnym atakowaniu i ośmieszaniu go jako człowieka. Zamach na polskie elity niepodległościowe w Smoleńsku umożliwił Tuskowi nawiązanie nowych przyjacielskich relacji z Rosją.

Niestety z chwilą objęcia trzeciego premierostwa w grudniu 2023 r. Tusk powrócił do deprecjowania roli w państwie prezydenta Andrzeja Dudy. Można mnożyć przykłady, ale szczególnie ostatni zasługuje na uwagę. Andrzej Duda był pytany przez dziennikarza TVN24 o jego reakcję, jeśli Donald Trump powie: „Chcecie wojsk w Polsce, oddajcie mi swoją miedź”. „Nie ma takiej sytuacji” – odpowiedział prezydent, a dociskany, czy się tego nie obawia, wyjaśnił, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że nasz kraj jest odpowiedzialnym sojusznikiem, że to Ameryka ma raczej zobowiązania wobec Polski i że takiej sytuacji nie będzie. Co napisał na platformie X Donald Tusk? „Publicznie wyrażona przez pana prezydenta Andrzeja Dudę sugestia, że moglibyśmy oddać naszą polską miedź Amerykanom za ich wsparcie, to jednak krok za daleko”. Kłamstwo i manipulacja – odpowiedział prezydent Andrzej Duda.

Czy Donald Tusk jest notorycznym kłamcą? Przykładów jego kłamstw nie sposób

policzyć. Tylko kilka, w skrócie. Jedno ze starszych: „My tego gazu z Norwegii to tak dużo nie potrzebujemy”, „Mur na granicy z Białorusią nigdy nie powstanie”. Powstał. Gdy był w opozycji: „Uchodźcy to biedni ludzie”, gdy rządzi: „Prowadzona jest przeciwko Polsce wojna hybrydowa”, gdy walczył o elektorat: „Paliwo będzie po 5,19” (osobiście miał o to zadbać), „Wprowadzę kwotę wolną od podatku” (nie wprowadził). Będąc w opozycji, ogłosił „100 konkretów w 100 dni”. Po ponad roku rządów zrealizował tylko 13. Na spotkaniach z wyborcami krzyczał, że „Trump jest od 30 lat sowieckim agentem KGB”, a gdy mu to przypomniano, łgał: „Ja nic takiego nie mówiłem”. Już po objęciu władzy oskarżał: „PiS ukradło 100 mld zł”, tymczasem Krajowa Agencja Skarbowa ogłosiła, że „postępowania wyjaśniające dotyczą sumy 5 mld zł”.

Wszystkim zafascynowanym Tuskiem warto przypomnieć, jak w 2007 r., kiedy obejmował władzę po raz pierwszy, w swoim przemówieniu sejmowym aż 34 razy użył słowa „zaufanie”. A w przemówieniu sejmowym 13 grudnia 2023 r. powtarzając się stale frazą była: „wspólnota”, „wspólnota narodowa”.

Czy notoryczny kłamca może budować zaufanie, a tym bardziej wspólnotę narodową? Człowiek, który o swoich przeciwnikach politycznych mówi: „Chleją, biją swoje kobiety”, „PiS to patologia i sitwa”, „Ta władza [o PiS] promuje przemoc”, „Tam, gdzie najwięcej przemocy, alkoholu i cierpienia polskich dzieci, to symbol czasów pisowskich w Polsce”, „PiS to absolutne zło”, „Dojenie ojczyzny”, „Stajnia Augiasza”.

Kim w zasadzie jest notoryczny kłamca? W literaturze fachowej notoryczny kłamca jest określany jako mitoman. A mitomania to jedno z psychicznych

zaburzeń osobowości. Odpowiedź na tak postawione pytanie jest trudna nawet dla wykwalifikowanych psychologów. W raporcie Instytutu Badań Wariograficznych czytamy: „Notoryczne kłamanie może być niesłusznie zdiagnozowane u osób zmagających się z urojeniami lub też schizofrenią”. Psychologowie są przekonani, że patologiczny kłamca kłamie bez żadnego powodu, że wynika to wyłącznie z wewnętrznych pobudek, które nie są bliżej określone. Poza tym notoryczny kłamca w swoich wypowiedziach ignoruje dokonania innych ludzi. Mitoman, jak stanowi raport, „w ramach samooszukiwania zaczyna tracić kontakt z własną tożsamością”.

I wtedy na oczach milionów ludzi zaczyna obierać ziemniaki albo krzyczeć do kamery: „Łyso wam!”.

www.wojciechreszczyński.pl



OGNIEM NA WPROST

Waciaki, Baba Jaga i bonbons



Andrzej Rafał Potocki

W dzisiejszej rubryce nie będzie prób analizy wielkiej polityki. Dajmy chwilę wytchnienia stronom i zobaczymy za tydzień, czy USA i Ukraina właściwie wykorzystały darowany im przez nas czas. Na razie tylko jedna informacja, na szczęście optymistyczna: „Stany Zjednoczone nie wykluczają możliwości wznowienia dostaw broni i sprzętu wojkowego, jeśli Ukraina rozpocznie rozmowy pokojowe” – tak w każdym razie oświadczył wiceprezydent USA J.D. Vance.

O statnio przeprowadziliśmy wywiad z brytyjskim obrońcą Mariupola w 2022 r., podoficerem ukraińskiej 36. Samodzielnej Brygady Piechoty Morskiej Shaunem Pinnerem. Potrzech latach wojny wrócimy do zdobytego przez Moskali miasta i oddajmy głos tym razem Iwanowi, który mówi, że nie dał rady wyjechać z Mariupola, ponieważ musi się opiekować krewnymi w podeszłym wieku. Z dziennikarzem BBC Iwan rozmawia po rosyjsku, żeby nie zwracać na siebie uwagi, a gdy obok przechodzą ludzie, mówi ciszej. Mężczyzna ma poglądy proukraińskie i boi się prześladowań. Do Mariupola okupanci nawieźli 30 tys. Kacapów i powoli odbudowują miasto. „Nie wyjeżdżam – mówi Iwan – ponieważ wierzę, że wyzwolą nas spod okupacji. Bardzo czekam na tę chwilę, ale takich jak ja nie jest zbyt wielu. Nie ma z kim szczerze porozmawiać, trzeba uważać. Ludzie są pod dużym wpływem rosyjskiej telewizji. Obserwuję zachowanie moich sąsiadów – waciaków (pogardliwa nazwa ludzi, którzy trzymają z Roskami). Moskal zniszczył im miasto, a ci ludzie

wołają: »Rosjo, naprzód!« To jakiś zorganizowany oblęd” – opowiada Iwan. Pod wpisami blogerów z Mariupola są różne komentarze. Ktoś pisze, iż marzy o tym, „żeby to wszystko skończyło się jak najszybciej, żeby był pokój i spokój”. Komentatorzy wspominają też, że po wejściu do miasta Moskale rozdawali dzieciom słodycze. Niegdyś wuj Janusz opowiadał mi, jak we wrześniu 1939 r. do Białegostoku wkroczyli Niemcy. Na chwilę, bo potem oddali go bolszewikom. Na ulicy Słonimskiej, przy której mieszkał, zaparkował opancerzony samochód. Żołnierze w czarnych pancerniackich kurtkach siedli uśmiechnięci na masce i też rozdawali dzieciom słodycze. Choć wuj nie władał językiem niemieckim, do końca swoich dni zapamiętał słowo „bonbons”, co po polsku oznacza cukierki. Jak widać, historia lubi się powtarzać.

U Kacapów zajob sięga już zenitu. Zawody, w których występuje „druga armia świata”, codziennie stają się coraz ciekawsze. Andrij Borodin, dowódca ukraińskiej 60. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej broniącej wsi Terny w obwodzie donieckim, umieścił w sieci film dostarczony przez zwiad powietrzny jednostki. Brygada ta codziennie miele w maszynie do mięsa swych przeciwników – żołnierzy ze 144. Gwardyjskiej Dywizji Strzelców Zmotoryzowanych Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej. Na wideo rosyjscy żołnierze przywiązują do drzewa towarzysza broni, który zwinął. Składają go w ofierze nocnym ukraińskim dronom zwanym Baby Jagi. „Bohater” ceremonii Iwan Trietiajkow (ksywa „Mało”) odmówił wej-

ścia szturmem do wojennej maszyny do mielenia mięsa. Towarzysze broni przywiązali go za karę do drzewa używając drutu. „Mały” często patrzył w niebo, czy dron już nie leci. Chociaż żył, jego droga powoli dobiegała kresu. Ta wojna będzie trwała do ostatniego Kacapa.

Krótko o froncie. Na odcinku kurskim Moskale odzyskali skrawki swojego terytorium. Nieoficjalnie pojawiły się informacje, że przy okazji Ukraińcy mieli niemal okrążyć samego Aptiego Alaudinowa z jego ludźmi (wojska Kadyrowa z Czeczenii). Ostatecznie TikTok Army bohatersko wycofała się na z góry upatrzone pozycje, wychodząc z oskrzydlenia. Wołczańsk i nad Żerebce – brak większych zmian. Na odcinku srebrzańskim Moskalom po miesiącach walk udało się zająć ruiny słynnej Bihohiriwki, o którą toczyły się pamiętne walki w lecie 2022 r. Utraciwszy ją jesienią tamtego roku, od dwóch lat starali się ją odzyskać. Wiekopomny sukces. Czaśiw Jar i Toreck – stabilnie. Moskale uzupełniają siły, a Ukraińcy przeprowadzają kontry, próbując poprawić swoją pozycję. Umiarkowanie kontratakują także koło Pokrowska. Na północ od Kupiańska Ukraińcom udało się wyprowadzić kontrę, która zlikwidowała klin idący od północy na miasto. Na południe od Pokrowska Moskale próbują posuwać się do przodu. Wychodzi im to anemicznie. Jedyne kierunki, na którym mają jakieś postępy, znajduje się na północ od Wielkiej Nowosilki. Cóż, na Wschodzie bez zmian.

Współpraca: „Skipper”

Fot. Andrzej Wiktor

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Piekielny karnawał

Piszę ten felieton ostatniego dnia zapustów. Kończy się kalendarzowy karnawał, czas hucznych zabaw i rubasznych żartów, zacznie się Wielki Post, który potrwa do Wielkanocy. Karnawał to także zabawy przebierańców i odwracania znaczeń. To, co poważne, jest ośmieszane, a to, co niepoważne, traktowane serio. Ale myli się ten, kto sądzi, że karnawał skończy się tak po prostu. Bo ten prawdziwy potrwa do maja. A przebierańców mamy sporo. Tylko że nie jest to dowcipne ani zabawne.

Trzaskowski przebiera się za Nawrockiego i chwilami wręcz mówi jego słowami. Uważa zapewne, że nikt się nie pozna na tej maskaradzie. Tusk przebiera się za Kaczyńskiego, a w zasadzie nie wiadomo za kogo. Raz pozuje na tle domowego ołtarzyka ze świętościami, kiedy indziej kreśli znak krzyża na chlebie, aby zaraz potem pluć rozżarzoną nienawiścią i chęcią zemsty. To bardzo szczególny typ karnawałowicza. Jest tym, za kogo się przebiera i gdyby się nie przebierał, to by go nie było. Tusk jest własną pozą, własną iluzją. Nie jest wierny nikomu i nawet sobie. Trzeba uważać, bo ten przebieraniec silnie uzależnia, o czym przekonują przypadki Sienkiewicza, Kierwińskiego, Giertycha, Scheutyny, Kidawy-Błońskiej, Sikorskiego i legionu innych towarzyszących mu mentalnych kundli. Nie dostrzegają, że składają homagium osobie, która istnieje tylko w ich wyobraźni, bo, jak się rzekło, to tylko kostium i pozory istnienia.

Sam Tusk przestał dbać już nawet o te pozory. Nie kryje się z niczym i wprost mówi to, co wynika z jego przebrania w danym dniu. Demokracja walcząca, prawo, jak je rozumiemy, polskość to nienormalność – to tylko niektóre z jego prawd objawionych. Mamy ich słuchać i bać się władzy. A ta nic nie robi sobie z faktu, że notowania rządu są najniższe od lat, że spowodowała nadchodzący kryzys migracyjny, że PKB leci w dół, a czołowe przedsiębiorstwa, chociażby ORLEN, zdecydowanie tracą impet rozwojowy.

W tak skonstruowanym procesie Tusk i jego akolici mają tylko jedno wyjście – całkowitą pacyfikację przeciwników i wystraszenie sceptyków. Pozbawianie immunitetów, wsa-



**Aleksander
Nalaskowski**

*Jeszcze płasają,
jeszcze słyszeć radosne
śpiewy i toasty, ale czas
umyka jak piasek
w klepsydrze i nie
pozostawia złudzeń,
że po karnawale
przyjdzie czas
dotkliwej pokuty*

dzanie do aresztu, grożenie wieloletnim więzieniem stało się codziennością. Jeśli władza by tego nie robiła, jej przedstawiciele dawno by już siedzieli. Wybór jest prosty: albo władza, albo odsiadka. To wszystko przypomina jakiś makabryczny karnawał, złośliwe odwracanie znaczeń czy groteskę, a wręcz groteskę. Jesteśmy mimowolnymi uczestnikami tej zabawy, a chwilami służymy w niej za rekwizyty.

Jeszcze decydujemy o własnym domu, rodzinie, ale karnawał zabierze nam i to. Tusk zgodził się na nedorzeczne wymagania odnośnie do korzystania z paliw kopalnych, chce nam narzucić jakieś nierealistyczne normy. Jego pudelek, minister Nowacka, pomalutku zabierze nam dzieci, poddając je lewackiej

i świntuszającej indoktrynacji. Notabene szkoła bez obowiązków, zadań domowych i z okrojonymi lekturami to już tylko zorganizowana strata czasu dzieci oraz nauczycieli. Mam nadzieję, że kiedyś Nowacka trafi za to wszystko do Zakładu Karnego w Grudziądzu. Należy jej się to jak psu buda.

Gdy się nad tym wszystkim zastanawiam i wsłuchuję w głosy płynące ze strony władzy, pojawiają się myśli eschatologiczne. Czy oni naprawdę nie boją się gniewu Boga, Sądu Ostatecznego i piekła? Czy stracili instynkt samozachowawczy do tego stopnia, że bez opamiętania brną w zło i zatracenie? Przecież tu albo gdzieś indziej kara będzie nieuchronna. To tylko kwestia czasu, jak zasilą szeregi potępieńców. Wszak już Arthur Rimbaud, genialny poeta i awanturnik, pisał, że „należy wierzyć teologom – piekło

istnieje naprawdę”. Piekło to nie bajka, przypowieść czy rojenia artystów. To także nie kwestia wiary czy jakiegokolwiek religii. Moim zdaniem to obiektywny byt. Tyleż realny, co groźny. Istnieje po to, aby się go bać za życia. Tak samo istnieje szatan, władca piekiel. Tu inne porzekadło: „Największym sukcesem szatana jest to, że ludzie w niego nie wierzą”. Nie wierzyć w szatana i piekło to nie wierzyć w istnienie zła.

Świat bardzo pomalutku zmienia swoje oblicze. Budzi się z karnawałowego danse macabre. Jeszcze płasają, jeszcze słyszeć radosne śpiewy i toasty, ale czas umyka jak piasek w klepsydrze i nie pozostawia złudzeń, że po karnawale przyjdzie czas dotkliwej pokuty.

**Michał Korsun prezentuje:
Ministra Henning-Kloska nie panuje nad lasami**



Wycinki z przeszłości

W marcu 1961 r. miesięcznik „Morze” informował o powrocie do kraju arrasów wawelskich, podkreślając, iż dotarli do ojczyzny na pokładzie statku Krynica. To był koniec dramatycznej historii, bo zamówione przez króla Zygmunta II Augusta w połowie XVI w. w Brukseli arras, arcydzieło sztuki tkackiej o tematyce biblijnej i przyrodniczej, tuż po niemieckim najezdzie na Polskę zostały ewakuowane z kraju. Akcję rozpoczęto 3 września 1939 r., a 12 lipca 1940 r., po podróży przez Rumunię, Francję, Wielką Brytanię, dotarli do Kanady. Najpierw przechowywano je w Ottawie, następnie w prowincji Quebec. Zapewniono im dobre warunki, jednak tuż po wojnie obawiano się, iż trafią w sowieckie ręce. Stąd powrót skarbów na Wawel dopiero po ponad 15 latach.

(mk)



Z WOLEJA

Dlaczego było tak źle?



**Ryszard
Czarnecki**

Pół roku po letnich igrzyskach olimpijskich w Paryżu można zdobyć się na chłodniejszą analizę naszej klęski. Chłodniejszą, a nie chłodną, bo polscy kibice wciąż są pełni emocji. Klęski, bo gorszy medalowo wynik mieliśmy... 68 lat wcześniej! Z kolei pod względem klasyfikacji medalowej znalezienie się przez nas w piątej dziesiątce jest najgorszym wynikiem w stuleciu polskich startów na IO. Analiza klęski Białe-Czerwonych w stolicy Francji po igrzyskach nie była możliwa z powodu... polityki. Rząd zaczął dojeżdżać Polski Komitet Olimpijski i prezesa PKOl, bo nowe władze zostały wybrane za rządów PiS. Wówczas prezydent RP bezpośrednio zaangażował się w zmianę szefa polskiego ruchu olimpijskiego, co było zdarzeniem bez precedensu. Fatalne wyniki w Paryżu posłużyły zatem rządowi jako bejsbol do obicia i wyrzucenia władz PKOl. Jednocześnie prezes komitetu, zamiast publicznie zastanowić się nad przyczynami sromotnej porażki polskiego sportu, wołał oczywiście uciekać do przodu i pokazywać, że jest ofiarą polowania z nagonką (bo jest) oraz że władzy nie chodzi o brak sukcesów Białe-Czerwonych, tylko żeby... „osiem gwiazdek”. No i „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”. Oczywiście analizy występu Polaków w setną rocznicę pierwszego startu na igrzyskach – znowu zresztą w Paryżu! – jak nie było, tak nie ma.

A przecież musi być. Żeby było jasne: paradoksalnie należy widzieć także plusy naszego występu na ostatnich igrzyskach. Choćby fakt, że zdobyliśmy medale w znacznie większej liczbie konkurencji niż na IO w Tokio w 2020 r. (z powodu pandemii odbyły się rok później). Zdobywaliśmy też medale w dyscyplinach, w których nie mieliśmy ich od wielu igrzysk – choćby w kajakarstwie górskim czy szermierce kobiet. Wywalczyliśmy też historyczne pierwsze dwa medale we wspinaczce sportowej, w tym złoty. Jednakże „plusy dodatnie”, mówiąc słowami pingpongisty Lecha Wałęsy, nie mogą przesłonić „plusów ujemnych”.

Polski podatnikłoży olbrzymie pieniądze – i dobrze! – na sport wyczynowy. Ba, w okresie rządów PiS znacząco zwiększyły się środki nie tylko na wyczyn, lecz także na sport młodzieżowy, szkolny i małe kluby, które łowią przyszłych medalistów igrzysk czy mistrzostw świata/Europy. Należy się więc zastanowić, dlaczego jest to system tak bardzo nieefektywny w porównaniu z krajami, które mają mniejsze budżety na sport, ale większe sukcesy. Może tak jak Brytyjczycy czy Węgrzy powinniśmy się skupić na najbardziej medalodajnych dyscyplinach?

Oczekuję od ministra sportu i prezesa PKOl przedstawienia w końcu pogłębionej analizy w tej sprawie. Wolalbym jednak nie usłyszeć, że będzie lepiej, jak pierwszy „pozamiata” drugi albo odwrotnie.



*Dziś człowiek,
powiem ciut złośliwie,
nie może po prostu
żyć, ale musi sobą
zarządzać*

W poniedziałek 3 marca 2025 r. podczas X Europejskiego Kongresu Samorządów w Mikołajkach poszedłem na panel pt. „Zdrowie psychiczne w świecie ciągłego pośpiechu: jak zadbać o siebie?”. Uczestniczyło w nim pięć osób, wszystkie wprowadzone w problematykę zdrowia psychicznego Polaków.

Śluchając, uświadomiłem sobie, że myślenie panelistów przebiega według starej zasady: obserwujemy drzewa, nie dostrzegając lasu. Dyskutujący zgadzali się, że ze zdrowiem psychicznym rodaków, w tym młodzieży i kobiet, jest kiepsko. Że dotychczasowe sposoby radzenia sobie z tymi problemami są dalece niezadowalające. Że można mówić o epidemii chorób psychicznych.

OD A DO ZYBERTOWICZA

Znów nie widać lasu

Aby czytelnicy niniejszego felietonu nie czuli się zbyt zdezorientowani (na marginesie: moim zdaniem chodzi tu właśnie o dezorientację), za jedną z panelistek przytoczę proponowane ujęcie zdrowia psychicznego. Jest to zdolność człowieka do zarządzania sobą w trzech trybach:

1. relaksacji i wypoczynku;
2. zadaniowym;
3. przetrwania, tj. awaryjnym.

Jak rozumiem, problemem stało się to, że coraz mniej osób posiada zdolność wybierania trybu odpowiedniego do sytuacji i skutecznego funkcjonowania w nim. Rozmawiano, co w tej sytuacji zrobić, bo dziś człowiek, powiem ciut złośliwie, nie może po prostu żyć, ale musi sobą zarządzać.

Wskazano, że czynnikiem, który nas obciąża, jest ogromna niepewność. Zgadzam się. Że nie należy oddzielać zdrowia psychicznego od fizycznego. Zgadzam się. Że potrzebna jest praca nad świadomością. Zgadzam się.

Że trzeba nauczyć się korzystać ze świata cyfrowego. Zgadzam się.

Że trzeba rozmawiać ze sobą. Zgadzam się. Że Światowa Organizacja Zdrowia mówi, iż depresja jest chorobą cywilizacyjną. Zgadzam się.

Żeby pamiętać zalecenie Hipokratesa: lepiej zapobiegać niż leczyć.

Tego typu spostrzeżenia są słuszne, raczej znane, jednak w praktyce nic z nich nie wynika. A część spostrzeżeń wygłoszonych na panelu jest – na gruncie mojej wiedzy – wprost błędna.

Jedna z panelistek powiedziała: „Położyłam dużą nadzieję w nowym szkolnym programie edukacji zdrowotnej”. Żłudna to nadzieja – dodam – wszak w krajach uznawanych za bardziej „postępowe” od naszego taką edukację już wprowadzono, ale bez większych efektów.

Optymizm panelistki budzi też to, że istnieje mnóstwo różnych form pomocy. Dodała: należy nam ufać, bo terapeuci, psychologowie (itd.) bazują

na wiedzy naukowej. Ale tu się też nie zgadzam. Bo po pierwsze, dzisiejsza wiedza naukowa w sprawach ludzkiej psychiki jest ułomna i często zideologizowana, czego dowodem m.in. obecność tak wielu form pomocy, że często nie wiadomo, które z nich do jakich schorzeń się nadają. Kiedy np. sięgać po leki, a kiedy po terapie behawioralne.

W istocie dyskusja skupiała się na objawowym podejściu do chorób psychicznych, bez sięgania do ujęcia. W sumie rozmaite – liczne, to psycho-terapeutyczne, to farmakologiczne strategie – są niczym psychologiczne drzewa, które skutecznie przysłaniają socjologiczny las. A bez wyznaczenia jego konturów nie sposób dotrzeć do sedna problemu.

W dyskusji powiedziano np., że psychosomatycy mówią, iż najpierw jest problem psychiki. Ale socjolog Zybertowicz skonstruuje: zwykle na początku jest rozpad więzi społecznych dających jednostkom życiowe punkty orientacyjne i wsparcie w chwilach kryzysu. Dziś dramat rozgrywa się na poziomie cywilizacyjnym – chodzi o procesy, w tym technologiczne, które nie tylko pogłębiają ten rozpad więzi, lecz co więcej, nie pozwalają się im odbudować.

Chodzi o rozpad tradycyjnych więzi rodzinnych, sąsiedzkich, zawodowych, przyjacielskich. O kontakty bezpośrednie! Nie online. Chodzi też o podważanie tradycyjnych zasad określających miejsca, które w życiu społecznym pełni normalność oraz dziwaczność. Tak, dziwaczność – ma ona swoje miejsce w kulturze, ale nie należy jej hołubić.

Oczywiście ten felieton jest zbyt krótki, by oddać sprawiedliwość problemowi oraz samej dyskusji. Proszę potraktować go jako skrótowe uzasadnienie mojego sprzeciwu wobec cywilizacji jałowego pośpiechu.

Andrzej Zybertowicz

Ruszamy w Polskę, żeby spotkać się z naszymi Widzami!

Dołączcie do nas – zrobimy wspólne zdjęcie
i porozmawiamy o polskich sprawach!

Odwiedzimy kilkaset miejscowości.

Sprawdź, gdzie możemy się spotkać.



Do zobaczenia!
Magdalena Opiech

Widzimy się!
Michał Adamczyk



Szczegóły w telewizji wPolsce24, na facebook.com/telewizjapolsce i portalu wPolsce24.tv

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52telewizja
naziemna**192**

netia

32**825**

vectra

196

polsat box

65PLAY
dawniej UPC**459**

inea



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Niezależny bank centralny

To polski złoty
– własna waluta
i stabilna gospodarka

To wolność,
jaką daje gotówka
– byś płacił, jak chcesz

To rosnące rezerwy złota
– dla bezpieczeństwa
naszych dzieci



nbp.pl

Dzięki konstytucyjnej gwarancji niezależności
Narodowy Bank Polski wzmacnia Twoje bezpieczeństwo finansowe.